

EX - LIBRIS



**ANTONIEGO
—BROSZA—**

**DAR
ANTONIEGO
BROSZA**

WŁADYSŁAW ORKAN

KOSTKA NAPIERSKI

POWIEŚĆ

KOSTKA NAPIERSKI



WARSZAWA

WYDAWCA: WYDZIAŁ WYDAWNICZY UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO

KOSTKA NAPIERSKI

WŁADYSŁAW ORKAN

KOSTKA NAPIERSKI

POWIEŚĆ Z XVII WIEKU

CZĘŚĆ PIERWSZA



Antoni Brosz

WARSZAWA

INSTYTUT WYDAWNICZY „BIBLIOTEKA POLSKA”

WŁADYSLAW ORKAN

KOSTKA NAPIERSKI

KOMPLET 5 TOMIŁ WIERK



CZĘŚĆ PIERWSZA

CZĘŚĆ PIERWSZA

I.

Działo się w roku 1651, pod koniec miesiąca kwietnia, w królewskim mieście Podhala, w Nowym Targu.

Miano wieszać dwóch hersztów zbójnickich: Czepca i Sawkę.

Ostatniemi laty dwa te imiona — jedno krwawe, drugie mocarnością gromkie — wybiły się z pośród imion znaczniejszych harnasiów. Nie było dziedziny lichej, od Bieszczad do Tatr orawskich, gdzieby ich nie wydzwaniano. To też wieść o ich pojmaniu roznieśli się lotem jaskółki po Podhalu, i w dzień, naznaczony na egzekucję, ściągał naród liczny, z pobliskich i ostatnich z pod hal osiedli, do miasta.

Nie jeno sama ciekawość była tego ściągu licznego pobudką.

Wiadomo: czas to był najcięższych może dla narodu chłopskiego terminów — gdy dość skąpe przywileje, prawa i osłony chłopów, nadane im za dawniejszych królów, straciły całkiem moc

pieczęci swoich, a o wszystkim stanowiły wola i swawola panów.

Tu, w nowotarskiem państwie, w królewskiej szczyźnie, nie było wprawdzie tak okrutnego docisku bezprawia, jak w dominjach prywatnych, niemniej jednak rozmiłowani w swobodzie górale, dużo czulsi, niż chłopci nizinni, na wszelki ugniot jarzemny, dotkliwie odczuwali to ścieśnienie obręczy na nieschylnych karkach i burzyli się przeciw ręce, która ów ucisk sprawiała. — Żywi podówczas byli jeszcze i nawet w leciech nie nadto podeszłych, którzy pod wodzą sołtysów brali udział w rebelji przeciw uciążliwym rządóm starosty Komorowskiego.

Wszystko, co się buntowało przeciw nowym ustanowóm praw, jako i ich egzekutoróm szlacheckim, nie było tu wcale karygodnem, owszem najdowało tu naokół potuchę i mir. To też i zbójnictwo, niejako rycerstwo chłopskie w tej ukrainie góralskiej, było w zacy niemałej u ludu podhalańskiego. „Zbójnik, świat równa“ — powiadano.

Naród czuł w sercu, że ta dłoń żelazna prawa, spadłszy na onych dwóch harnasiów, i jego orlej swobodzie zagraża. Ciągnął więc, obawą zjęty, aby się naocznie przyjrzeć klęsce swojej i aby protestować choćby ponurą ciszą przeciw prawu, którego dotąd w krwi swojej nie uznał.

Wiadomo też: szubienica w tamtoczesnym osądku górali była jakoby zwieńczeniem honornej sławy zbójnika, i zawiśnięcie na niej wcale

imienia jego nie hańbiło; przeto ludzie, jak obyczaj każe, mogli chcieć zjazdem licznym uświetnić pogrzeb skazanych. A niektórzy nieśli jeszcze spodziewanie w sercach, iż coś się stać musi, coś się stanie, co hersztów w chwili ostatniej z pod drzewa śmierci oswobodzi. Nie mogli bowiem nijako uwierzyć, iżby telo rozgłośni i hyrni junacy, tak bez niczego dali się ukrócić.

W masie narodu, by prawdę rzec, trafili się też i tacy, którzy z uciechą skrytą wyglądali egzekucji zbójników. Byli to ci z bogatych gazdów, którzy o komory swe zasobne ciąglą po nocach mieli troskę, albo insi, z natury swej wszelkiemu buntowi wrodzy; tych było jednak znikomie niewiele.

Już od wczesnego rana dnia onego poczęło się miasto napływem ludzi ożywiać. Z trzech traktów głównych — od Waksmunda, Szaflar i Ludźmierza — ściągali chłopci gromadkami, pieszo i na wozach; nie brak też było między nimi bab i wyrostków nieletnich, którym trwoga ciekawości nie dała zostać w chałupach.

Jeszcze cień laski zegara w ścianie kościoła farnego nie stanął na ćwierci dnia, kiedy rynek obszerny zajął się już ludem, przybrał pozór jak czasu jarmarku.

Stały wozy z poodprzęganemi końmi w kilku rzędach rozciąglých podłuż zachodniej strony rynku, zaś koło nich i dalej, po całym obszarze placu, najgęściej pod stojącym na środku ratu-

szem, kupiły się gromady mniejsze i liczniejsze, żywo w kołach zawartych rozprawiające.

A nie wszystkim tu w rynku naród ściągniony był. Część znaczna, głównie starsi i kobiety, gdy zesygnowano u fary na mszę ranną, poszła za przykładem dążących z grubemi księgami mieszczan do kościoła. Wielu, którzy tu w mieście mieli znajomstwa lub przygodne interesa, roztraciło się po wąskich uliczkach. Zasię młodzież nieletnia, podrostki, obłaziła zawczasu wzgórze tracenia nad miastem, gdzie już ramię szubienicy zdaleka oczy straszycy, aby wybrać dogodne dla patrzenia miejsce.

W gospodzie Jana Węgra, która się na rynek u wylotu ulicy Ludźmierskiej otwierała, zebrala się też spora wiecha ludzi. Lecz nie było tu tak huczno, jak podczas święta lub jarmarku. Ściszona gwara bulkotała tu ówdzie przy stołach; podnosiła się i opadała w szepty, jak woda na mieliźnie; głośniej tylko westchnienia się wydierały przy rzadkim dźwięku szklenic.

Niektórzy siedzieli w zupełnem milczeniu, jakby tem winem, które stało przed nimi, postruci.

Tak w mrocznym kącie izby przy końcu długiego stołu siedzieli dwaj już niemłodzi junacy. Dzban zielony wina stał przed nimi, mało co nadpity, a oni głowy pochylone sparli na dłoniach nad stołem i patrzeli gdzieś przed się w osępieniu, srogo sumując. Niekiedy westchnienia ciężkie podnosiły im serdaki na piersiach,

lub wydobywały się jak z pod skały przytłoczone słowa:

— Tak, tak, Jasiu...

— Tak, tak, Jędrus...

I za chwilę z cięższym nawrotem to samo.

Kontrast stanowili ze sobą owi dwaj bliscy, jak się dało uważać, towarzysze. — Jędrak, zwany Chowaniec, był wzrostu wysokiego, śmigły; twarz miał białą, w kolorach, jakby się od płomienia wewnętrznego zażęgła; włosy jasne o połyskach miedzi; wąs nieduży o żółtawem odcieniu; oczy modre i nie do smutku. Gdy mówił, gdy coś wspominał, zapalały się w nich ogniki, dziwnie lekkomyślnie, dowodzące fantazji jak i zachowatości junacej. Zaś towarzysz jego, Jasiak Orawiec, był to chłop krępy, zwięzły w sobie; twarz miał napozór groźną, brwi duże, i ogromne, jak wiechy, płowe wąsiska. Do twarzy swej, tak srogiej, miał jednak nieco przykrótki wzrost. Odziać go w zbroję, posadzić na konia — byłby zeń rycerz okrutny. Lecz ktoby się złudził tą srogością, wnetby odpadł lęku, spojrzawszy w jego oczy. Były to oczy dziecka lub kobiety: łagodne, tkliwe, i tą tkliwością serdeczną aż łzawe. Cała łagodność jego gołębiego serca przez te oczy się wylewała.

Mimo tej różnicy wielkiej, jeden teraz smutek ich gniótl, niemoc jedna tłoczyła ich piersi.

— Tak, tak, Jędrus...

— Tak, tak, Jasiu... Nie będzie już z kim wylatować nad uherskie peszty...

— Hej, bo nie.

— Ani kupcom majątków umniejszać...

— Hej.

— Ani pychy żupanów ukrócać...

— Bo nie.

— Ani stromych kaszteli dobywać...

— Jędrus, nie mów, bo mi serce ze żalu rozstaje.

— Nie pójdiesz już ze Sawką po barany księcia Rakoczego...

Jasiek począł sapać, pociągać nosem i mrugać oczami.

— Pij, bracie! — trącił się z nim Jędrak.

Jasiek posłuchał.

— Telo, cobych łyzy pił — rzekł, odstawiając kubek.

Mówili półgłosem i, choć w izbie nie było gwaru dużego, słowa ich nie dobiegały uszu opodal siedzących.

Jan Węgier, chłop zwalisty, o przebiegłych oczkach, stał oparty o ladę za szynkwasem i po zierał po kątach izby z wyczekującą gotowością. Flaszki i dzbany stały napełnione, małego napoczęte.

— Nie smakuje dziś wino — ozwał się z wyrozumieniem, zwrócony do najbliższej grupy.

— Coż poradzić. Nie w każdy dzień ma i wino smak — odrzekł ktoś wymijająco.

— Jeszcze trzy godziny — popatrzał na klepsydre. — Wybrano pono z umysłu południową porę, aby mieć jak najliczniej świadków onej

srogiej egzekucji, dla odstraszenia i przykładu w tych czasach niepewnych.

— Dzieci niech straszą.

— Hej, — uśmiechnął się potakliwie szynkarz. — Powiadają, że ściągnięto na dziś do miasta wszystkich hajduków dworskich z okolicy. Z Ustupu, z Szaflar, z Gronkowa. Nawet od pana Lisickiego z Łopuszny miano pożyczyć ludzi.

— Siła biedy na jednego.

— Pono to stało się na wyrażone obawy landwójta, że ich towarzysze sprzysięgli mogą próbować odbić. He! he! — roześmiał się. — Ze samego środka miasta — z pośród pajuków i rajców — niby dziewczynę z weselnej komory. To śpas byłby!

Wodził w śmiechu przebiegłymi oczkami po twarzach gości. Jakoś nikt nie przywtórował śmiechowi jego.

— Ale przewidujący ojczaszkowie miasta — dorzucił szydnie — dobrze zaopatrzyli podziemia ratusza: drzwi grubo kute, podwójne, kraty jak w zamczysku...

Przy końcu stołu milczenie posępne dość długo stało między dwoma schyłonemi czołami przyjaciół.

— Ej, żebych tak miał moc! — westchnął Jasiak.

— To cobyś, bracie, począł?

— Ozwaliby ten ratusz, miastobyh całe ozburzył...

— Ba!

Nachylił się Jasiek jeszcze bliżej ku głowie Jędrzka i, patrząc weń temi łzawemi oczami z nad miotłę płowych, zebrał:

— Jędrus! Czyby nie spróbować?... Straż mała — ze dwudziestu miejskich. Skrzyknąwszy chłopców dobrych — aniby się postrzegli...

Jędrzkowi oczy się zjarzyły, jak ku zabawce, lecz wnet zgasły.

— Kieby nie starościńscy... Dwór blisko. A bez hałasu by się nie obeszło.

Jasiek się zmartwił.

— To też. Bez hałasu by się nie obeszło. Ale co począć? Powiedz.

— Może się co nadarzy...

— Bóg by dał, święta Anna, patrunka nasza. Jużbych jej ofiarował dziesięć świec na ontarz w mieście i jedwabiu drogiego na sukienkę z najpierwszej wyprawy do Luptowa.

Przez okno stwierdzić się dało: rynek się zagęszczał ludem. Msza ranna widać się kończyła. Fury też nadjeżdżały z wylotów narożnych ulic, wysypując na bruk nowe gromadki Podhalan.

Do gospody napływało coraz więcej ludzi. Szynkwas był już w obleżeniu, ławy wolne przy stołach zajmowano. Węgier przywołał do pomocy córkę, której zlecił stanowisko za ladą szynkwasu, a sam kręcił się wśród gości. Gwar się rozwiązał.

Wkroczył do izby, widny ponad insze głowy, sołtys klikuszowski, Piotr Czerwiński. Za nim

postępowała córka jego, Róża. Przeszli wzdłuż stołów, upatrując miejsca.

Jędrzek Chowaniec, czuły zawdy na wdzięki niewieście, wstał rycersko, by zrobić miejsce przy stole.

— Pomk sie, Jasiu — trącił towarzysza.

Węgier też krzepko posunął się ku nim i, zapraszając, wskazywał drzwi pobocznej izdebki. Jednak już przysiedli obok, a Orawiec, jak zbudzony, obejrzał się i zarumienił. Niewiast, w przeciwieństwie do Jędrzka, obawiał się i wstydził. Z niezgrabną nieśmiałością cofnął się na koniec ławy.

Węgier postawił przed sołtysem wino. Lecz ów nie śpieszył się wyciągnąć po nie dłoń. Siedział wyniosły, o długich, rzadkich, siwych włosach, o twarzy czysto wygolonej, zbrudzonej latami i jakby ogniem spiekłej. Obracał zwolna tę głowę wysoką, patrzył po czołach ludzi — a miał brwi wzniesione wgórze, oczy rozszerzone w powiekach krwawych, jakby się czemuś wciąż boleśnie dziwił.

Ludzie, siedzący pobok, przyciszyli gwarę, z trwożnym szacunkiem pozierając na tę wyniosłą, siwą postać. — Któżby sołtyś Czerwińskiego nie znał lub bodaj o nim zdaleka nie słyszał?... Wiadomo było starszym, a młodzi zaś od ojców wiedzieli: jako on w rebelji przeciw Komorowskiemu, staroście, niepośledni brał udział; jako w lasach obidowskich zasieki sztuczne poczynił i strzelcami je obsadził, aby

zatrzymać sprowadzonych przez starostę rajtarów ze Ślązka; jako ich wielu tam pobił; jako potem, podstępnie przez starostę do miasta ściągiony, więziony był i torturom srogim poddawany, co go w sile lat złamało. Stał się jak rozdarty piorunem smrek, śmiercią stygmatyzowany. Od życia też i spraw jego umysł zmierzchły odwracał.

— Pijcie wino, tatusiu.

— He? — schylił się ku córce.

Posunęła przed niego kielich z winem. Oczywiście ciekawemi przechodziła po twarzach zebranych.

Jędrak, siedzący z ukosa naprzeciw, z głową melancholijnie opartą na dłoni, zapatrzył się w piękną sołtysównę.

— Coż tak patrzycie na mnie? — rozśmiała się Róża, napotkawszy wzrok jego.

— Ej, Boże! — westchnął sobie i uśmiechnął się.

— Coż wam tak cięży?

— Świat...

— Ktoby zaś świat dźwigał?

— Dyj to. A ono by mogło być, kieby wej było.

— Zagadkami w Dunajcu gadują?

— Skąd wiecie, że ja z Dunajca?

— Po tem orlim piórku na kapelusie.

— Czy to haw ino orłowie piórka zrucają?

Nie odrazu odrzekła:

— Nad skałami orłowie kołują — na dolinach kawki a hawranie.

— A jakby orzeł na doliny spadł?... — zawisł w jej oczach ciemnych oczyma śmiałymi.

— To go ustrzelą...

Sołtys zdawał się nie słyszeć nic z przegwarki młodych, jakby tu nie był myślami obecny. A niespodzianie do ostatnich słów córki, kiwając głową wyniosłą, dorzucił:

— Tak, tak, siarką wypalą mu serce.

Milczenie trwożne chwilę przy stole powstało. Widno sołtys klikuszowski swoją wspomniął torturę.

Jasiek Orawiec, oparty brodą na dłoni, z owieszłymi smutnie wąsiskami, nie słysząc nic wokół siebie, patrzył przez okno na rynek. W pewnym momencie trącił Jędrzka i wskazał oczyma ku ratuszowi.

— Hajducy...

Dały się widzieć z poza głów skupionych koło bramy ratusza starościńskie barwy.

Jędrzek przykiwnął:

— Czas się zbliża.

— Jędrus...

— Co, Jasiu?

Pojrzeli sobie w oczy.

— Tak, tak — westchnęli razem.

Do gospody wszedł z trzaskiem szlachcic lat może trzydziestu, słusznego wzrostu, szczupły, odziany w kontusz niebieski, nieco spelzły.

Posunął się między ciżbą ludzi i pchnął drzwi do bocznej izby.

— Węgier, wina! — zawołał. A gdy ten nie śpieszył się zbyt, stanął we drzwiach bokówki i szukał go oczyma. — Miał jasnej barwy włosy, toż i wąs nieduży; urodziwym nawet byłby, gdyby nie twarz przybladła i zmętniałe omgłą oczy, które zdradzały hulakę.

Ujrawszy siedzącego wpobliżu sołtysa, postąpił ku niemu ze słowy sztucznie afektowanymi:

— Witam, panie Czerwiński! Jak zdrowie? Dawno nie mieliśmy szczęścia widzieć was w mieście. A pan Zdanowski dopytywał się już parokrotnie o was.

Sołtys zwrócił nań boleśnie zdziwione oczy i z trudem sprawiać się począł:

— Bóg zapłać... Bóg zapłać za pamięć... i panu podstaroście. On wie, że ja już nie do ludzi... I dziś jaby tu nie był, kieby nie ciekawość Róży...

— A panna Róża coraz to kraśniejsza, aż oczy bołą — rzekł młody szlachcic, nachylając się ku sołtysównie.

— Haj? Nie wiedziałach o tem — zaśmiała się.

— Uroki! istne uroki.

— Wmość już pono skądinąd urzeczon, nie ma przeto obawy.

— O, nie godzi się szydzić z rzetelnych zachwyceń serca.

— Jakożbych śmiała!

— Jak mi Bóg...

— Nie wzywaj Wmość Boga nadaremno.

— Wino podane! — oznajmił gospodarz.

— Zatem, panie Czerwiński — zwrócił się młody szlachcic do sołtysa, przybierając uprzednią powagę — prosimy nie omijać nas i odwiedzić przy czasie we dworku. Pan podstarości będzie rad powitać kuma i swoją chrzestną córkę — uśmiechnął się na odchodnym Róży.

Jędrak, który niechętnym okiem patrzył na przyśmiechy zalotne szlachcica — skoro ów odszedł, zwrócił się do sołtysówny:

— Ktoż to taki?

Róża rozśmiała się z widnej bardzo niechęci junaka.

— Pan Gosławski, konkurent, jak go w mieście zowią.

— Czyj?

— Juści nie mój, a panny z Pieniążkowic, która jest na opiece u pana podstarościęgo. Bogata panna.

— A on widać wiatrów dziedzic.

— Po czemże tak uważujecie?

— Po kontuszu.

— To też o bogaczkę się stara. Ino mu tam jakosi chropawo. Panna go nie chce, mówią.

Słowa tonęły we wstającym bulkocie rozmów, któremi przygłuszano niepokój czekania.

Przez drzwi raz wraz otwierane wpadał z zewnątrz szum gwaru stysięczniałego. Rynek cały zaciemnił się ludem.

Ktoś przybyły oznajmił:

— Rajcy przeszli do ratusza.

Padło, jak uderzenie wyroczne godziny. Poderwało Orawca Jaśka i następnie przybiło go niżej. Wiechy wąsisk zwisły ku stołowi.

— Co ci, Jasiu? — szepnął troskliwie Jędrzek.

— Mgli mie.

— Nie daj się żalości. Nie pomoże. Jeszcze też nie po zekucji. Ja mam jakiesi w sercu czucie, tak mnie pika, że *to* sie nie stanie. Co będzie, to będzie, ale cosi być musi.

Szeptał to dla potuchy przyjaciela, ale i sam się tem tużył. W naturze jego nie pobawiał długo smutek. Siłą jego była wesoła beztroska.

— A pamiętasz ty, Jasiu — mówił — jak-ś w Mikułasiu u rychtara w komorze zamkniony siedział. I już ci sie w ostatnim frasunku widziało, że cię nikto stam-tela, żaden święty-boże nie wyzwoli. A my z Frankiem Zwijacem zmówili się, psy my rychtarskie potruli i podkop my w noc ciemną popod ścianą komory zrobili...

Jasiek uściśnął dłoń Jędrzka.

— Jędrus, bracie... — oczami dopowiedział.

Dały się słyszeć od strony ratusza głucho uderzenia bębna.

Ludzie porwali się z ław. Wołano zewsząd płacić. Gwar izby otwartej buchnął z wychodzącymi tłumnie gośćmi na rynek.

W ścisłu koło drzwi naleźli się nasi znajomi razem. Jędrzek pobok pana Gosławskiego, który, nachylając się ku sołtysównie, coś szeptał jej na

ucho, na co ona, czerwieniąc się, uśmiechem odpowiadała.

Dość tego było Jędrzkowi. Bez zastanowienia, zazdrością popchnięty, ścisnął dłonią obcą ramię Gosławskiego. Nad zdumionymi oczyma szlachcica zawisły oczy jastrzębie, napastliwe.

— Co to?... — zachnął się w gniewie.

— Miejsce! Miejsce dla pana! — zawołał Jędrzek. I ruchem nakaźnym dłoni pomógł tak sprawnie Gosławskiemu wyjść, iż ten nie wiedział sam, jak wartko znalazł się za progiem.

W odruchu pierwszym sięgnął do główki karabeli — lecz, nie mogąc pomiarkować, czy to obraza istnieje, czy tak grubo okazana uprzejmość chłopska, machnął ręką i odszedł.

Zajście to trwało jeno moment; nikt nic nie zauważył, jedno sołtysówna, która też głośno się rozśmiała.

— Niebezpieczno, widzę — rzekła — wchodzić wam w drogę...

A Jędrzek przybrał minę potulnego wilczka; jeno oczy siwe śmiały się lekkomyślnie, jak dziecku, które coś spsociło.

Rozdzielił ich tłum w rynku. Róża pociągnęła ojca na przejście swobodniejsze wzdłuż ściany domów, a Jędrzek z Jaśkiem przeciskali się ku ratuszowi. Po drodze witali oczami znajome twarze junaków, które jak kąkol we zbożu wykwiły tu ówdzie wśród ciżby.

Przed ratuszem zebrała się cała Rada miejska. Stał landwójt Mikołaj Krauzowicz, Jan Bylina

pisarz, dalej rajcy-mieszczanie: Wawrzyniec Szaszkiewicz, Tomasz Rajski, Melchior Czarnota, Wojciech Bryniarski, Błażej Mroszczak, Jędrzej Czubernat, Jan Sienko i inni mniej znaczni. — W wysokich futrzanych czapach, w świtach, opuszczanych barankiem czarnym, kuną albo lisem, odcinali się wyraźnie od chłopstwa w ciemnych lub białych owczych czuhach.

Pachołkowie miejscy, zbrojni w toporki i kije, wstrzymywali z wysiłkiem napór ciżby ku sięniom ratusza.

Cichość nastąpiła w tłumie, gdy wyprowadzono więźniów.

Widno ich było zdaleka. Stali na podniesieniu, a Sawka, chłop olbrzymiego wzrostu, ramionami się wyźnił nad głowy hajduków. — Twarz miał orlą, włosy czarne, warkoczami spadające na szerokie, zciósiste ramiona. Juhaską o otwartych rękawach koszulę spinała sprzączka mosiężna. Pas mu odjęto. — Niższy odeń Czepiec, czoła włosem skrytego, twarzy ciemnej, wilkiem na boki poźierał.

Pisarz Bylina wstąpił na kamień podsienia, rozwinął papier z powagą i począł wołać wyrok.

Sprawki wywoływane „pracowitego“ Czepca Wasyla, syna dzwonnika z Grybowa, głośne w promieniach mil kilkunastu, jako to: napaści na dwory panów — w Glinniku, w Ropie, w Orzechwie — spalenie dworzyszczka w Rogach, zrabowanie Żeglec — nie znalazły snąć aprobaty w milczącym ponuro tłumie. Wiał od

nich zaduch krwi i spalenizny, który jeno pomsta wdychiwać rada. W niejednem sercu tkliwszem wzbudziły jeno otrząs grozy.

Natomiast przywrodzone na pamięć postęпки Jędrzeja z Orawy Sawki, który juhasem był długo u Rakoczego w Zborowie, nim ze zbytku sił, na zentycey uchowanych, stał się hersztem skrzyknionej drużyny, by na kasztele madziarskie napadać, odbijały się dumą i przychwałą w strwożonych sercach słuchaczy.

Lecz tak rozdalne imiona tych dwu nierównych harnasiów spotkały się w wywołaniu: we wspólnem uderzeniu ich drużyn na warowny Jamgród.

Wyrok głosił, wiadomą już poprzód wszystkim, karę szubienicy.

Gdy skończył pisarz wołanie i zeszedł między rajców, Sawka potoczył wzrokiem harnasim dokoła i gwizdnął po juhasku.

Odpowiedziało mu z tłumu parę gwizdnieć podobnych.

Na to hajducy szczerzej otoczyli więźniów, stanęli im pacholcy miejscy ku pomocy, i — na dany znak przez landwójta — ruszono naprzód.

Tłum zafalował, kołychnął się na boki i lawą sunąć począł w kierunku mostu na Dunajcu.

Jasiek z Jędrzkiem znaleźli się nieopodal wiezionych. Pchani przez ciżbę, mieli wciąż przed oczyma wysokie czapy hajduków i wyniesioną ponad nie, jak buńczuk, głowę Sawki.

W rogu rynku przed bramą zajazdu stał za-
późniony wóz, tamując pochód. Siedział na nim
chłop spasiony, gruby, iż cały półkosz był nim
pełny. Był to znany na Podhalu bogacz, Izydor
Bielski z Maniów. — Ujrzawszy prowadzonych,
począł rechotać szydnie i wołać za nimi:

— He! he!... Harnasie pyszne! zbóje!... Siu-
bienica was czeka... siubienica! lotry...

Jędrak, który akurat znalazł się przy wozie,
przechylił się i krzyknął mu do ucha:

— Na siubienicy świni nie wieszają, ba ludzi!
Śmiech dookolny przywodził Jędrzkowi.
Grubas ostał pognebion.

Pochód dosięgał mostu.

Dwaj przyjaciele postępowali teraz tuż za
plecami straży. Gdy znaleźli się na moście, skąd
odstąpił się z nagłą widok na bliskie wzgórze tra-
cienia z bielejącem pośrodku drzewem śmierci,
Sawka obejrzał się leniwo za siebie, przeciągnął
ręce skowane, aż kości zatrzeszczały, i żałości-
wie, z wysoka, rozpaczłą groźbą zaśpiewał:

„Hej!... żeby to Panbóg dał,
Coby ja się wrócił —
Rychtarem bych orał,
Husarami mlóciell!...”

Nie wytrzymał Jasek Orawiec. Nuta nakaż-
na go popchnęła. Porwał pierwszego z brzegu
pachołka straży i cisnął go przez poręcz mostu
do wody. Gdy po drugiego sięgał, przypadli haj-
ducy. Zamiótł kilkoma naraz, jednak przemoc
rąk dopadłych zaciężyła mu u ramion. Powstało

szamotanie. — Skoczył Jędrzek ku obronie przyjaciela, lecz przez zagródź straży nie mógł się przebić. — Jaśka starościńscy hajducy pojмали i powiedli go do dworzyszczu, które nieopodal mostu tuż nad Dunajcem stało.

Pochód, tem wydarzeniem wstrzymany, ruszył dalej.

Jędrzek się ważył: czy iść za Jaśkiem pojmanym, czy za eskortą hersztów. Lecz ogromniejsze przeważało. Bez towarzysza czuł się dużo słabszym i opuszczonym.

Gdy minięto most, lud się rozsypał po zboczach i załomach wzgórza, a skazanych poprowadzono na wzniesienie. Niebawem też znalazła się tam cała Rada nowotarska z landwójtem na czele. — Pod ramieniem szubienicy stał już kat gotowy, z grodu sądeckiego na ten dzień sprowadzony.

Gwar ustał. Cichość trwożna zaległa wśród tłumu. I tylko słyszeć się dało niewiadome kołatanie, jakby ktoś w kratę bił skrwawioną pięścią — a może tak serca ludziom kołatały w piersiach — i słyhać było dzwony farne, jęczące ponad miastem.

Było akurat południe. Czekało z egzekucją na pana podstarościego.

Jakoż od strony św. Anny, od dworca starościńskiego ukazał się nieduży orszak i wstępować począł na wzniesienie. — Szedł pan Zdanowski, podstarości, staruszek biały, ale czerstwy jeszcze; z nim szli panowie: Gosławski Sta-

niślaw, Chrzastowiecki, Lisicki z Łopuszny, Ustupski z Ustupu, Berwiński, dzierżawca państwa ostrowskiego, Gniewosz, pisarz komory celnej nowotarskiej...

Tych wszystkich — zbliższa albo zdalsza — lud znał.

Lecz po prawej ręce pana Zdanowskiego postępował nieznaną góralom młodzieniec, który oczy wszystkich ku swej dziwnej postaci przyciągał. — Był to panicz szczupły, mniej niż średniego wzrostu, o pięknem, bladym niezwykle obliczu. Krucze włosy spadały mu w kędziorkach ku szyi i strączkami krótszemi ocieniały czoło. Wąs mu się dopiero sypał. Bródkę miał w klin przyciętą, modą onczesną Wazów. W czarnym był stroju, szwedzkim, z białą naokół szyi kryzą, w szerokim kapeluszu z piórem, w butach wysokich, przy szpadzie. — W orszaku tym wydawał się wielkim jakimś panem.

— Czyby to nie sam król?... — szepnął ktoś z tłumu.

Poszło, jak powiew po trawie. Jakaś otucha, jakieś nadzieje tajone poczęły się rodzić w sercach za zjawieniem się na wzgórzu tej nieznannej, młodzieńczej postaci.

Orszak doszedł do miejsca egzekucji.

Na znak landwójta pociągnięto skazanych pod drzewo. Kat ujął sznur...

Groza wionęła po tłumie — tu ówdzie ozwał się szloch niewiast.

Tedy to ów młodzieniec, góralom nieznany, który przybył z panem podstarościm, wystąpił z orszaku naprzód i, zwrócony do landwójta, ozwał się w słowach spokojnych i zimnych:

— Jako pułkownik królewski, mający listy przypowiednie na zaciągi pośród góralów i Węgrów, werbuje tych dwu junaków i odbieram ich śmierci oraz wszelkiej karze.

Landwójt zdawał się nie pojmować rzeczonych doń słów. Gdy jednak pan podstarości przywołał powagę prawa na poparcie żądania młodzieńca, rad nie rad, kazał przerwać egzekucję i, salwując władzę swą, surowemi słowy napomniiał zwolnionych, by odmienili łotrowski żywot, a podziękowali Bogu i panu pułkownikowi za ocalenie.

Lud nie odrazu rzecz pojął. Dopiero, gdy słowa pułkownika, podawane z ust do ust, przeleciały po zboczach wzniesienia, i obaczono ocznie, jak uwolnieni dwaj hersztowie przypadli do stóp wybawcy — wtedy całe wzgórze drgnęło, zagrzmiało okrzykiem:

— Niech żyje królewski pułkownik! Niech żyje!

Młodzieniec tego momentu widać czekał. Bo, dotąd spokojnemu, zaświeciły się iskrami oczy — wskoczył na głaz wzniesienia i, gdy ucichły okrzyki, począł mówić...

Nie nowiną góralom były werbownicze mowy — gdy za nieboszczyka króla, a i dawniej, werbowano na moskiewską potrzebę, to na Moł-

dawca, na Turka — ale takiego odzewu dotąd nie słyszano.

Ten królewski pułkownik jakimś duchem tchnął, który włosy podnosił, a dygot serca się miał.

Nie pojmovano wiele z tego, co w uszach gromko dźwięczało — ale niektóre słowa, osobliwe, jak strzepy ogniste żagwi dopalały się na sercach, albo jak młoty nakazu dzwoniły w pamięci.

— ...testament ojców... krzywdy, o pomstę wołające... rabowanie praw... Lud, jako plewy na wietrze, ziarna pod młyńskim kamieniem... zelżywość ostateczna...

— Już też nadszedł czas... Ojczyzna w grób się stacza... Król u możnowładców w niewoli...

— Od wschodu falę gniewu... Kto stanie przeciw tamą, gdy pospolita Rzecz spróchniała?... Czerw toczy naród szlachecki...

Szła ona mowa po sercach, jak płomień po suchym lesie.

Sołtys Czerwiński, który stał z córką pobliż naprzeciw wzniesienia, począł się niepokoić, sapać, wreszcie ujął Różę za ramię:

— Chodź, chodź du domu!... Nie słuchaj!... To tak, jak wtedy, w rebelji...

Trząsł nią gniewnie. Lecz Róża jakby nie słyszała ojcowskiego wołania; z rozchyłonymi wargi, z płonącym licem, wpatrzona w pułkownika mówiącego, jak w obraz święty.

— Na was pojrzenie czasu... — grzmiały słowa. — Wyście tą tamą, która kraj osłoni... Niech runie, co się chwieje, co śmierci oddane... We was mur trwania — potęga!... Wyteżcie jeno wolę, chciejcie — rabujcie prawo ofiary — stańcie nowi rycerze!

— Tatry oto kładą cień na mile... Stańcie wy przeciw słońca duchem — cień od was padnie na poblądle wieki...

— Uwierzcie w siebie — w moc!... Któż jest naród?... Pojrzyjcie po chłopskim lesie...

Od Tatr oderwały się zżagwione obłoki i płomieniem leciały nad miastem. Zdawało się, iż od ognistych miotów mówcy niebo się zapaliło.

II.

Jaśka Orawca hajducy, pojmwawszy na moście, przywiedli na dziedziniec podstarościńskich zabudowań, które obszernym czworobokiem na równi nad Dunajcem naprzeciw kościoła farnego leżały, i tu go do aresztu, z lamusa starego na przygodne więzienie przerobionego, zamknęli.

Usiadł na jakim sprzęcie i długo siedział bez myśli nijakiej, zgasły w sobie, jakby zatracony.

Pomału — gdy zaczął rozglądać się zastanawiająco myśli w zająsci całym — jęły go martwić wyrzuty bolesne wespół ze wstydem, który wprost wytykał:

— Cożeś tym raptem zwojował? capie jakiś. Telo ino, że straż czujność zdwoiła. A potem dałeś się pojąć hajdukom, jak baran — i to na oczach wszystkich!

To go najwięcej martwiło.

— Ja nie wiem — próbował się bronić — jako się to stało. Jakby to nie ja był, ba kto inszy, co się za mnie podstawił.

— Ale tuś ty się znalazł, nie kto inszy, i ciebie sądzić będą.

— Niech mnie wieszają!

— Ba, pomalutku! — niepokój się wmieszał. — Może i to cię nie ominie. Wszczęty gwałt — zabicie człeka przy pełnieniu służby — zamierzone odbicie hersztów...

Uczuł się bardzo opuszczonym.

— Kany też Jędrak? — pomyślał. — Ja by go tak w kłopotcie nie ostawił.

— Coż twoje strapacje — warknął wyrzut — wobec ucięży tamtych? Tam też i Jędrak musiał pójść...

— Musiał, zaiście, pewnie... Dobrze, że choć on tam, skoro ja w zamknięciu — może się ku czemu przydać...

— Ku czemu-by? — wątpienie zabiegło.

— Czy ja wiem sam... Nie widno nic... Miało-żby się to stać?... Jezusie, wszyscy święci, każdyście ino jacy...

Podszedł do kraty okna i wyjrzał na świat.

Okrzyk zmieszany, wielogłośny — zdawało się: wyraz grozy — przyleciał właśnie z oddalnego wzgórza, które zasłaniał bliski dach budynku.

Zadrzał Orawiec w sercu. Lęk szepnął:

— Teraz to się tam stało...

Trwał, przylepiony twarzą do kraty, i czekał w trwodze, czy co nie zasłyszcy.

Cicho już było. Jakiś głos jeden dzwonił — czy złudzenie...

Wrócił od okna, usiadł na miejscu uprzedniem i zapadł w długie, tępe ośpienie. Oczy w rozstęp podłogi, w jakowyś dół roztoczny spały i wożyły się bez myśli na przepływających chwilach, jakby gdzieś z brzegu wysokiego patrzył na mętne, beznadziejne, leniwo płynące fale.

— Skąd jakie spodziewanie?... Wszystko skończone. Amen.

Stało mu się okrutnie ciężko. Skała, stoczona na serce, przycisła nawet łyzy. Tedy całem wysileniem oderwał oczy zbolące od onych fal beznadziei i począł niemi wędrować Dunajcem w górę — ku Tatom...

Zelzał przygniot, gdy tam się odnalazł.

Jęły mu — dziw — przychodzić na pamięć momenty dawno przeżyte. Skwapliwie począł pomagać pamięci i wskazywać miejsca pewne, gdzie się co zdarzyło.

— Jak to było z tym początkiem jego ruszenia się...

...Paśł owce na upłazie pod Liliowem. Przyszedł doń Łukaszczyk Józek, co już od kielku lat na uherską stronę z towarzyszymi chodzował, i powiada: „Podź, Jasiu, se mną!“ — „Kany?“ — „Na uherskie.“ — „Po co?“ — „Po co chłopcy hyrni chodzą. Co tu bedziesz — powiada — ziębnał w tych skałach? Czyś dziad? Tam świat otwarty — dziedziny bogate — miasta — wino — freirki...“ — Zastanowił się Jasiek. Co mu tam wino, freirki — ale by przejrzyć świat... Zdał

owce Wojtkowi Skupieniowi. Poszli. Po drodze napotkali towarzyszków Józka. I tak to się zaczęło...

Znowu zbaczyło mu się, jak to z tymże Łukaszczykiem, z Jędrzkiem Chowańcem i z Samkiem Dłuhym z Orawy wieczór do karczmy w Mikołaszu na uciechę przyszli. Pełno tam było Luptaków, mieli muzykę, tańczyli. Chowańiec z Łukaszczykiem nie dali się prosić. Tancerze boć też to byli! Nosili się, jak wichry. Luptacy, ożeżleni, że to oczy ich freirek ino za tymi skrzydlatymi lecą, z nimi ino tańcować chcą, zapoczęli zwadę. Churma się ich naleciała, zajęli sienie, dziedziniec przed karczmą. Było tam, było!... A przecie oni wieczór wyrąbali się bez szwanku.

I to mu się przedstawiło — jak po nieszczęsnej wyprawie pod Bereznowicę po statek grafa Hondrackiego, który czterdziestu juhasów uzbrojonych strzegło, obławę na nich wielką uczyniono, wsi poruszywszy na całej przestrzeni, iż się nie mogli nijak ku Tatrom przedostać. Przemykali się między dziedzinami, obchodzili czujem zasadzki przyleśne, ustępowali jak zwierze myśliwcom, klucząc, kołując, aż w lesie pod Kubisznem wpadli na drużynę Sawki — i on ich przyjął pod swoją mocną obronę.

— A dziś kto jemu obronę dał?... — podniósł się z pod skały serca wyrzut krwawy, i drzewo szubieniczne stanęło znów przed oczyma grozą.

Aby ujść tego nie do zniesienia widoku, po-

czął na nowo przemocą pamięci cisnąć się w zacień załonionych lat, czepiać się onych, jak wiążących nad osypiskiem gałęzi. Wędrować począł, niby lasem, za latami wstecz, przechodził niepoznanie od zdarzeń do zdarzeń, w coraz to gęstszą oddalenia mgłę. — Stracił się wkońcu z tym pogonem wspomnień, jak juhas w chmurach opadłych u wierchu z kerdelem owiec.

Zmierzch już na światło kraty zaszedł, i zmrok obujał kaźnię, nim się ocknął.

Usłyszał z poza ściany znajomy gwizd Jędrzka.

Dźwignął się i bez pośpiechu zbliżył się do okna. Wiedział, co mu oznajmi. — Zdziwił się też niepomiernie, ujrzawszy pod oknem twarz onego uśmiechnioną, jakby z wesela wracał.

— Jakoż ci tam, Jasiu? — spytał, widocznie z kpinami. — Dali ci co jeść? Mocny Boże, zmizerowali cię srodze; wyglądasz, jak borsuk na przedwieśniu. Nie wezwyczajonyś, widzę, do hereśtu. A jak ci tak padnie rok-dwa siedzieć..

Serce Jaśkowe się ścisnęło. Uczuł żal do przyjaciela, nic też nie odrzekł.

— To cię nie minie — kpił Jędrzek. — Ty myślisz, że mosty na to stawiają, coby z nich łatwiej było pachółków do wody spuszczać? Pan podstarości już ci to wyjaśni. A ba, i landwójt pytał się o ciebie. Strasznie się tobą ciekawi.

Jasiek się, mimo żalu, przemógł. Nie chodziło mu o się.

— Jędrzek...

— No co?

Zdawał się podпиты.

— Skąd idziesz?

— Z miasta! — odrzekł harnie.

I z uśmiechem przechwały patrzył na zdziwienie Jaśka. Wytrzymawszy go momentów kilka, rzucił zwysoka:

— Haw sie werbunek zaczyna. Chłopcy piją, jak na odpuście!

I śmiał się znów z tryumfem przeciw zdziwieniu tamtego.

— A nie mówił ci — dodał z chwalbą — że coś się stać musi, coś się stanie, co zekucję odmieni. Ja to już naprzód czuł.

Jaškowi coś poczęło błyskać przed oczami. Patrzył w Jędrka uparcie.

— Ba! Bo ty nic nie wiesz... He! Jasiu! Szkoda, że cię tam nie było!

Tu opowiedział, co zaszło na wzgórzu.

— Ale kiebyś był słyszał przemowę pułkownika!... Jaka to w nas góralach moc... Jako czas na nas przyszedł... Jako Ojczyzna patrzy... Już wiem, żebyś był płakał.

Jaškowi już i tak niewiele do płaczu brakło. Łzy radosne miał w oczach.

— A każ jest... — począł jąkać — każ jest ten pułkownik?

— W mieście był. Teraz je pewnie we dworzecze.

Nieśmiało spytał Jasiek:

— Czy możnaby go widzieć?...

— Jakoż, skoroś zamknięty.

— Też to.

— Ale wiesz, co ci powiem...? — Wytrzymał moment, gdy ten weń pilno patrzył. — Zwerbuj się.

— Ja se to już odrazu pomyślał... A ty jak?

— Jako i ty.

— Jędrus, bracie!

— Jasiu, towarzyszu!

Patrzeli sobie w oczy — ten od ziemi, a ten zgóry z kraty.

— Kie tak — ozwał się Jędrak — to ja idę oznajmić panu pułkownikowi naszą wolę i przedłożyć mu przytem twoją biedę.

— Powiedz, że pokiel życia... do ostatniego tchu!

Jędrak zawrócił ku dworowi, który w poczynałym się zmierzchu światłami okien rozblęsnął.

*

Tego wieczora dwór podstarościego licznych miał gości. Prócz panów, obecnych w południe przy niedoszłej egzekucji na wzgórzu, przybyli jeszcze: ksiądz kanonik z miasta, proboszcz ze Szaflar, pan Zduń z Raby i pan Tetmajer z Ochotnicy.

Podejmował ich pan Zdanowski w dużej środkowej izbie dworca — czem gazdostwo jego było bogate. — Stały na stole pobok butle z nalewkami, oszczypki owcze, sery białe, wędliny i ciasta różne. — Przypijał gęsto do sąsiadów i raczył za kaskami. Wyrećczał go niekiedy w tej gościnnej

uwadze pan Stanisław Gosławski, który się tu czuł niemal domownikiem.

Rozmowy żywe toczyły się około wydarzeń dnia, a głównie wystąpienia pułkownika, jego przemowy do ludu. Wypowiadano uwagi otwarcie, gdyż pułkownika nie było między zebranymi.

— Wierzcie mi, panowie — mówił Chrzastowiecki, zwrócony do pana z Ochotnicy i dziedzica z Raby — takiego ognia w słowach nie sły-
szałem jeszcze. Mnie starego, a coś za grdykę brało. Nie dziw, że lud wrażał weń oczy jak w bóstwo, a słuchał jak zwiastuna.

— Znam górali — wtrącił Gniewosz — i wiem, że siła jeno abo wzrost niezwykły może im za-
imponować. A tu młodzieniec nikłej kompleksji... Musi w nim być zaiste jakowaś moc osobliwa, która do posłuchu zmusza.

— Moc ducha — orzekł Chrzastowiecki. — Dar przezierania chłopskich bólów i pragnień. W nim to jest. To trybun prawdziwy!

— Bogdajby ten dar boży — ozwał się kano-
nik — ku dobremu był skierowany...

— Co ksiądz kanonik ma do zarzucenia słowom jego?... Że możnowładców gani? Dobrze wiemy, ile zła i nieszczęść swoją dumą a samolubstwem na ojczyznę osłabłą sprowadzili.

— Tak, tak! — poparło kilku.

— Nie przeczę — odparł kanonik zgodliwie. — Ale słowa, jak iskry, które wiatr roznosi: niewiadomo, gdzie padną. Mogą paść i na poszycie dachów! Gdybyście Wmościowie słyszeli,

jak ja tu idący słyshałem, co lud w mieście mówi, to nie wiem, czyby was to nie zastanowiło. Lud możnowładców od szlachty nie odróżnia. Panami są dlań wszyscy. Oto, co jest. Przybaczcie sobie Wmościowie niedawną rebelję przeciw Komorowskiemu staroście...

— Komorowski zdierca był i kat na ludzi! — zakrzyknął żywo pan Zdanowski.

— Nie kontruje. Aleć jest na to prawo.

— Czyż nie próbowali naprzód prawem iść gnębieni do ostatka chłopci? Pięćdziesiąt trzy gminy tego podhalskiego państwa wniosły skargi do kancelarji króla na zdzierstwa starosty. Komisja z Warszawy zjechała i, zbadawszy rzecz na miejscu, przyznała słuszość skarżącym. Ba, cóż z tego. Komisja odjechała — chłopów jeszcze bardziej opłatami a pańszczyzną bezprawną uciężono. Ślali więc deputatów do Warszawy — tam im powiadano: słuszną wasza — a starosta kazał onych deputatów w drodze ich powrotnej chwytać, wtrącać do kaźni i batożyć; jeżeli jeszcze nie co gorsze ich spotkało, gdy się krnąbrnie stawili. Wiadoma Wmościom rzecz. Król daleko — starosta na miejscu. Cóż mieli chłopci zrozpaczeni począć? Juścić pospolite ruszenie przeciw onemu zdziercy uradzili...

— Prawo to neguje się chłopstwu — zaopoznował pan z Ostrowska.

— Ba, ba! Neguj Wać, jeśli masz siłę po temu. Cztery pułki chłopci postawili — i pan Komorowski, mimo swych Wallensztejnowskich

rajtarów, musiał z Podhala, jako niepyszny, uchodzić. To widzisz, księżu kanoniku, prawo.

— Rebelja! — rzucił pan Berwiński. — Na jakimż to przywileju...

Pan Zdanowski ważny dłonią otwartą uczynił gest.

— Lepiej nie szukać. Znalazłoby się w tych izbach dymnych więcej przywilejów, niż w niejednym szlacheckim schowku. W skrzyniach sołtysich są pergaminy, nadania, dekrety — z pieczęciami, przed któremi dziad Waściby się skłonił. I lepiej ich nie wywoływać: mają one dziś jeszcze moc tajemną te papiery, choć im walor ich w przebiegu lat odjęto. To też ich ta rebelja, jak Wmość owo wystąpienie zowiesz, była oparta na prawie. Tem byli mocni. I pan Komorowski ze swoimi rajtarami musiał z starostwa ustąpić.

— A pan Zdanowski — rzekł pan z Ostrowska z uśmiechem — w bezpieczeństwie za chłopami stoi.

— Jakże? — dodał ksiądz kanonik. — Ma wśród nich za dużo kumów. Dobrodzieju mój! — łagodził staruszka. — Czy zaprzesz się? Czy nie byłeś w kumy sołtysowi klikuszowskiemu? Czy nie skumałeś się z Łętowskim?

— A, to ten... marszałek — wtrącił ktoś szydnie.

— Panowie! — począł znów z naciskiem ważnym pan Zdanowski. — O sołtysie Łętowskim

lekkie nie mówcie. To najmocniejszy w tem starostwie człowiek.

— ?!

— Marszałek? Tak. Marszałkował on w onej rebelji przeciw Komorowskiemu — i wygrał. Sam wiódł pułk, a stworzył wszystkie cztery. On posłuch ma — od Orawy po spiskie pagórza. Jego hersztowie zbójniczy słuchają. Na jego zawołanie całe Podhale się ruszy.

— Cóż to za król zaś? — ktoś mruknął.

— Sołtys, prosty chłop, choć przywilejów ma pełną na sołtystwie skrzynię. To też jest jego moc. Prawo. Na tem się w onej rebelji oparł. Ważny to człek, powtarzam. Żem z nim w przyjaźni, szczycę się tem.

Gdy pan Zdanowski przestał, podjął znów ksiądz kanonik, już z powagą:

— Co tu niektórzy z Wmościów o onej przemowie, tyle rozgłosnej, przywiedli, i com po bożku słyszał w mieście, to właśnie tamte wypadki z lat ubiegłych mi nasunęło. Takie to ogólne a mocne hasła — jak w przemowie rzeczony nieznanego mi pana pułkownika — szczególnie się w rozumach prostych odciskają. Zawiść, nienawiść, łakomstwo, poddają im swoje, bliższe namiętnościom żywionym, znaczenie.

— Lecz cóż porównywać — przerwał Gniezwoz — dzisiejsze z tamtoczesnem? Przyczyn tych niema, czasy insze, insi też ludzie. Już się to powtórzyć nie da.

Ksiądz kanonik splótł dłonie na brzuchu i, młynkując palcami, sentencyjnie przyrzucił:

— Bogu wiadomo, co być może.

Pan Lisicki, który dotąd milczał, krążąc po izbie nachmurzony, zatrzymał się i, do pana Chrzastowieckiego obrócony, rzekł:

— Mam prawdę rzec, ja takich przemówień, jak owo dzisiejsze tam, poprostu się trwożę. Ogień! Ogień! — mówisz Wmość. To prawda. Ale też tem gorzej. I słusznie ksiądz kanonik pewną wyraził obawę. Kto ogień sieje, pożar zbiera. A może to właśnie komuś dla jakichś celów potrzebne...

— I mnie — poparł pan Berwiński — owe z tak wysoka do prostych ludzi ciskane słowa apelu dziwnemi się na tem miejscu zdały. Zwyczajnie — jak dało się nieraz słyszeć przy werbunku — takich argumentów górnych nie wytańczano. Ot, żołd taki a taki, służba taka — i koniec. Ale to rzecz może temperamentu. Oficer młody, zapalony...

— To też dziwno — sarknął pan Lisicki — że w tak młodym wieku pułkownikostwa się dobił.

— Znak, że tęgi — rzucił Chrzastowiecki.

— Że w słowach tęgi, tośmy skonstatowali.

— Może również i w dłoni. Konstatować Waścibym nie radził.

— Bóg zapłać za troskliwość o moje zdrowie. Tu jednak idzie o rzeczy ważniejsze: a to o bezpieczeńność i obronę tej okrainy.

— Też dlatego ów werbunek...

— Od zbójców zaczęty!

Poczęto ich mitygować, w obawie, by na ostrzejsze nie przyszli.

— Nikogo nie potępiam, ostrożność jeno doradzam — jął pojednawczo pan Lisicki. — Wszystko, co może spokojność w tej ukrainie zaburzyć, winno naszą baczność zwrócić, bośmy jedyni stróże i obrońcy, gdy załogi ściągnione, tych tu Rzeczypospolitej kresów. W czasie wojennym, jak wiadomo, różnych niepewnych ludzi wiatr nadnosi. Już mi się ocznie dało zauważyć, gdym bawił kiedyś w grodzie, w Sączu. Jakieś dziady nietutejsze na jarmarkach się jawią — jakieś wieści płochliwe się nowią. A lud nowinom chętnie daje ucho. Pułkownik ten — czy ja wiem... skąd przybywa, co zacz, jaki jego ród...

Na te słowa pan Zdanowski żywo się podniósł i, mocno widać poruszony, począł:

— Mości panowie sąsiedzi! Słyszę tu niejakię podejrzenia co do osoby nieobecnego pana pułkownika. Otóż muszę je z całą stanowczością odeprzeć, jako dlań a mego gościa wysoce obraźliwe i nie mające by cienia podstawy. Otrzymałem ja co do jego zacności najchlubniejsze zalecenia od osób wszelkiej wiary godnych. Wiadomo mi też, że młody ów pułkownik spokrewniony jest ze sławnym z wydania świątobliwego patrona domem Kostków, gdzie lata chłopięce spędził. Młodzieniec to nad wiek swój poważny i, co rzadkie u wojskowych, wielkich cnót i po-

bożności, jawnie dających się widzieć. I ja za wielki sobie zaszczyt mam gościć w moim domu lichym tak przezacnego młodziana.

— Ale pokażże nam wreszcie, panie podstarości — zawołał pan Zduń — tego głośnego pułkownika! Słyszymy tylko o nim — to w inwektywach niejasnych, to zgoła w superlatywach — a nie widzimy go.

— Jest w kwaterze swej naprzeciw, zajęty sprawą werbunku. Panie Stanisławie... — zwrócił się do Gosławskiego.

— Byłem u niego. Na wieczerzę obiecał się jawić. Oficyna ludzi pełna, cisną się doń..

Drzwi bokówki uchyliły się. Stała w nich panna, urody tak niezwykłej, iż w izbie stało się jaśniej. Wszystkie też twarze naraz pojaśniały, rzekłbyś: nieba skraj oczom się odsłonił.

Była to panna Zofja Pieniążkówna. Ukłonem wdzięcznym przywitała panów ostatnio przybyłych; ci też posunęli się skwapliwie ku niej z muskaniem czupryn i wąsów a ukłonami. Przyczem pan Zduń z poetycką emfazą zawołał:

— Panna Zofja, aż dziw, wciąż rosnącemi powabami ku onym niebiankom olimpijskim sięga — co mówię, gasi je blaskiem — i promienieje wdzięczniej, niż Aurora o brzasku..

— A Wmość dobrodziej — odrzekła z uśmiechem — niepoprawny podchlebca.

— Psujcie ją, psujcie — wmieszał się pan Zdanowski — a to nudnego zrzędę opiekuna pocznie sobie cale lekceważyć.

— Co wuj... — miała z żywością replikować, gdy ksiądz kanonik zastąpił jej z oznajmą:

— Przywiozłem pannie Zofji piękny gościńiec z Krakowa. Książę biskup pytał się o zdrowie waćpanny, i przesyła przeze mnie ulubionej swej krewniaczce pozdrowień lik i błogosławieństwo.

— Bóg zapłać. Książę biskup łaskaw, że o sierocie pamięta. — Poczem zwróciła się do podstarościego: — Wuju, czy kazać już podawać wieczerzę?

— Moja to gosposia złota! — zażawił się podchmielony nieco pan Zdanowski. — A każ, każ, niech podadzą.

Ruszyli się niektórzy z gości wymawiać, że im już czas, że mają daleką drogę, ale pan podstarości i przykładać sobie do uszu nie dał.

— Jakożby to, moi panowie miłościwi... obrazaby to dla mnie...

Panna Zofja zajęła się zastawą.

Posunął się pan Gosławski z ochotą kredensowych usług, lecz mu grzecznie podziękowano.

Między gośćmi rozmowy się na nowo zawiązały. Zwrócono się do księdza kanonika:

— Cóż tam w Krakowie? Jakie wieści? Co mówi książę biskup?

— Wieści niedobre. Wszędy, gdzie się obrócić, słyhać jeno jedno: o wojnie z onym Chmielnickim.

— Już to kara na nas boska. Trzeci rok ta chmura krwawa nad wschodnim krajem wisi i klęskami nowemi zagraża.

— Żywioly niespokojne — ciągnął ksiądz kanonik — czując rozluźnienie stróży praw czasu wojny, podnoszą głowy buńczuczne i do gwałtów się śmielą. Łotrzykowie różni po drogach swywołą. I żaki krakowskie, zawdy do swyvoli skore, duży sprawiły temi czasy rozruch na Kaźmierzu; dopieroż ich straż miejska i biskupia do spokoju przywiodły.

— A cóż mówią w Krakowie o samej onej potrzebie?

— Powiadają, że to już ostateczna rozprawa z onym Chmielem się przygotowywa. Ma on-li przestać zagrażać całości Rzeczypospolitej, musi być doszczętnie zniesion. Panowie hetmani gromadzą wojska pod Lwowem, a na pospolite ruszenie ziem poszły już ostatnie wici.

— To też dziwno — wtrącił kąśliwie Gosławski, pozierając na Zofję — że w tym czasie tak gorącym, gdy obowiązkiem jest wojskowych stać w obozie przy znakach swych, niektórzy wysławiani pułkownicy wolą zabawiać się z góralami.

Panna Zofja, zajęta zastawą, popatrzyła nań wzgardliwie przez ramię.

— Dziwniejsze to jest — rzekła — iż niektórzy luźniejsi, bo nie mający żadnego zadania, nawet „zabawiać się z góralami“, wolą w gospodzie garncami się bawić, niż do obozu śpieszyć.

Ze Gosławskiego, jako szalawilę i hołysza, mało tu ceniono, przeto aprobującym milczeniem przyjęto aluzję ostrą. A on, skonfudowany, silił się w żart obrócić rzecz, mówiąc:

— Szczęśliwi ci wojskowi. Bohatyrowie zawsze — w polu jako i w pokoju. Na brak serc czułych nie mogą się uskarżać.

— I słusznać to rzecz — przytwierdził pan Zduń — odpłata często jedyna za trudy i rany. Nie zazdrościmy, iż tak dziś, jak od wiek wieków, niewiasty wojowników cenią. Ktoby się tam nami, dziadami kominkowymi, zajmował.

— Wmość dobrodziej — zaoponowała z żywością Zofja — nadto o sobie źle mówi. Już to wiem dobrze, że Wmość w potrzebie, kiedy padnie, nie będzie ostatni, a miejsce przy kominku nadarzy się tym, co...

— Bóg zapłać, panno Zofjo. Bóg zapłać za dobre słowo. Jeżeli te kości stare nie zawiodą, nie usiedzę na przypiecku, gdy zawołają. W tej też sprawie do pana podstarościego z panem z Ochotnicyśmy przybyli. Trza się naradzić, jak i co, z czem wystąpić, aby nie zrobić wstydu Podhalowi.

— Podobno król we własnej osobie ma stację na czele wojsk. Tak u księcia biskupa mówiono — oznajmił ksiądz kanonik.

Dały się słyszeć kroki i dźwięk ostróg w sieniach.

Pan podstarości żywo ku drzwiom się posunął.

Wszedł młodzieniec w stroju szwedzkim. Skłonił się gościom ode drzwi — bystre spojrzenie rzucił na nowo przybyłych.

— Pan Kostka Napierski, pułkownik J. K. Mości! — przedstawiał dumnie pan Zdanowski. — A to moi sąsiedzi... — wymieniał godność kolejną.

— Witam Mości panów! Zaszczyt to dla mnie prawdziwy... A Wmościów dobrodziejów miałem już honor... — mówił pułkownik wesoło, ściskając podane dłonie.

Przed Zofją złożył dworny ukłon.

— Panie Stanisławie! — zwrócił się do Gosławskiego. — Obaczno, czy ludzie jeszcze są. Powiedz, że dziś już nie przyjmuję.

A gdy ten wyszedł, rzucił się na krzesło.

— Ach! Gorący był dzień. A żałuję, że zajęty ludźmi w oficynach, nie mogłem być wśród Wmościów, tracąc przez to wiele. Bo widząc osoby tak poważne, kwiat okolicy zgromadzony, wiem już, że nie obyło się bez ważnych dyskursów.

Goście pozierali po sobie, nie wiedząc, co rzec. Ten pułkownik młody, o którym z taką swadą mówili zaocznie, oniśmiewał ich. Mimo swobodnej serdeczności, z jaką się zwracał do wszystkich, czem ujmował odrazu serca, a niechęci do zmilku niewolił, jakoweś przyrodzone mu i nakażne władztwo biło zeń, któremu mimowolnie kłoniło się otoczenie.

Wrócił do izby Gosławski.

— Odeszli wszyscy — zameldował.

— Dziękuję — odrzekł pułkownik i wyciągnął doń rękę. Poczem przechylił się w stronę gospodarza:

— Mam prośbę do jegomości...

— Służę ochotnie duszą, sercem! — zbliżył się Zdanowski.

— Oznajmiono mi, że w areszcie dworskim zamknięty jest pewien junak, który w żalości nieopatrznej pachółka do Dunajca spuścił. Prosiłbym o oddanie mi go.

— A owszem, bierz go Wmość, jeślić się na co zda. Doniesiono mi, że pachółkowi onemu nic się nie stało, gdyż do głębokiej wody spadł; strachu jeno się napił. Zaraz każę junaka wypuścić.

I wyszedł w sienie wydać odnośne rozkazy.

— A toć pan pułkownik wszystkich łotrzyków nam zabierze — ozwał się z pół-uśmiechem kąśnym pan Lisicki.

— Najtęższy z takich żołnierz — odparł Kostka.

— A cóż też z onymi hersztami pułkownik uczynił?

— Wolni są.

— Czy nie niebezpieczno puszczać ich? — zauważył pan z Ostrowska.

— Dali parol, że się na wezwanie stawią.

— Parol zbójnika...

— Jak parol szlachecki. Honorni to są chłopcy, mimo zbójeckich przywar. Nie chybią.

— Pan pułkownik nadto dobre masz o nich mniemanie.

— Boć to rycerscy ludzie, ze zbytku jeno sił do gwałtów skorzy. Czyż takich niedość i w szlacheckim stanie?

— Jakoż to?

— A pan Łaszcz? A Stadnicki? A Kossakowscy? A ilu ich tam... Gorszi oni, bo swawoli swej nie widzą ukrótu: nic im nie grozi. Taki kasztelan Śladkowski, za króla Zygmunta, sześćset burd i kryminalów wzniecił, a do kaźni mu nie przyszło.

— Szlachecka ta Rzeczpospolita — podjął odważnie pan Berwiński — krwią stanu rycerskiego utworzona i broniona. To też inne prawa ma dla swych bronicieli, a inne dla pospółstwa.

— Tak — rzekł osmętnie Kostka — to zdanie często się słyszy.

— A Wmość innego jest mniemania?

Nie odpowiedział. Właśnie bowiem służebne wniosły półmiski dymiące, a pan Zdanowski usadzał gości przy stole.

W czasie wieczerzy milczący pan z Ochotnicy zwrócił się do Kostki:

— Panu pułkownikowi wiadome są może jakie nowiny, dotyczące onej gotującej się rozprawy z buntownikiem kozackim. Radziibyśmy usłyszeć...

— Prosimy! — poparł pan Zduń. — My tu za lasami, za górami, odcięci od świata, tyle no-

win *de publicis* mamy, co z odpustu lub z jarmarku z miasta sąsiad dobry przywiezie.

— Nowin szczególnych nie mam — odrzekł Kostka. — To wiem tylko, co daje się słyszeć, że Chmielnicki okrutne wojska gromadzi, ponoć i ordy hańskie ma przyobiecane, a ze strony Rzeczypospolitej hetmani wszystko czynią, aby siły odporu zgromadzić.

— To o odporze mowa, a nie o ukaraniu buntownika? Czasy! czasy!...

— Buntownik ów, zrazu lekceważon, urósł dzisiaj w potęgę. Słysząc też, że z Rakoczym wszedł w zmwę. Gdy on siły Rzeczypospolitej na siebie ściągnie, Rakoczy ma otwartą drogę do Krakowa. Cóż go powstrzymać może?

— Nie próbowano z nim układów?

— Zapewneć. Chytry to jednak Węgier. A do korony polskiej rości sobie prawo niejaki na podstawie obietnic kilku możnych elektów. Wszak na ostatniej elekcji w Warszawie miał za sobą wcale liczne stronnictwo.

— Cóż czynić wobec tego? Tam chmura czarna od wschodu — tu wróg nowy...

Kostka ramionami wzruszył:

— Każdy winien być na swoim miejscu. A gdzie — rzecz to nakazu wewnętrznego.

Panna Zofja podniosła ku niemu oczy świeżyste:

— Rozumiem...

A gdy spojrział na nią pytająco, zarumieniła się, szepcząc:

— Rozumiem mowę waćpana dzisiejszą... tam, na wzgórzu.

— Słyszałaś waćpanna moją do ludzi przez mowę?

— Tak. Stałam na piętrze na ganku. Wiatr niósł ku mnie ogniste słowa. To było coś tak...

I, zrumieniona, zmiłkła, kryjąc błękit oczu rzęsami.

Gosławski, któremu pan podstarości zlecił nalewać gościom wino, uważając rumieńce Zofji i półgłosne szepty z pułkownikiem, to bladł, to czerwienił się, wino na obrus rozlewał, kielichy pomijał, tak, iż gospodarz żartobliwie strofować go musiał.

— Panie Stanisławie, uważaj no. Czyś się może zwerbował i animusz cię ponosi?

— A tak — rzekł Kostka — pan Gosławski zapisał się w listę; jako oficyer, rozumie się.

— Czyż naprawdę? — zadziwiła się Zofja i przeniosła oczy pytające na Gosławskiego.

Ów poprawił się miną:

— Każdy powinien być na swoim miejscu — wyrzekł z emfazą.

— Pan Stanisław jest świetny! — rozśmiał się Kostka. — Czuję, że będziemy przyjaciółmi.

Osepienie, jakie trwało przy stole po słowach uprzednich Kostki, uleciało ze śmiechem i wstającym gwarem ku stropowi, do czego przyczyniły się niemało wychylane gęsto kielichy. Pan Zdanowski, łatwo się rozrzewniający, łzawo prosił gości, przypijał.

Kostka, który wśród rozmów zmieszanych obserwował ludzi, widząc rezerwę niejaką ku sobie w oczach pana Lisickiego, zagadnął go z umysłu otwarcie:

— Toć to w gorzeckich lasach dobrodzieja, słyszę, dzików okrutna moc, i Wmość polujesz sławnie, nie wahając się iść na nie z oszczepem. Szczęśliwy byłbym, gdyby mi czas kiedyś pozwoił, wziąć udział w takich królewskich łowach.

— Ależ proszę, z całą ochotą — oświadczał pan Lisicki, mocno zarumieniony z uciechy.

Łowy lubiał i lubiał być jako myśliwy sławiony. Odrazu też stajała jego niechęć do nieznanego pułkownika.

A gdy Kostka z równą otwartością wyraził w oczy panu Berwińskiemu podziw dla świetnej administracji klucza ostrowskiego, jak również wspomniał zaszczyty wysokie, które winny spaść na światłego księdza kanonika — rezerwa wszelka wobec tak miłego gościa, chyżej niż śnieg majowy, przyśmiechom wdzięcznym ustąpiła. — I, gdy rozrzewniony całkiem pan Zdanowski wznosił kielich i zawołał:

— Zdrowie pułkownika! — wszyscy żywo odkrzyknęli i ruszyli z rumorem stołków a potaczowaniem, by się z nim trącić kielichem.

— Niezasłużony to dla mnie honor — dziękował Kostka. — Jam tu najmłodszy w tem szanownem gronie. Wyróżnić mogło mię zacne serce gospodarza chyba jako z postronia przyby-

sza, gdy tu są wszyscy bliscy, swoi, sąsiedzi. A mężów takich zalet, którzy oto gromadzą się u pana podstarościego, jako u ojczaszka swego, aby nad dobrem ojczyzny stanowią, rzadko w takim fortunnym bukicie która z ziem Rzeczypospolitej posiada. Czyż mam wymieniać Ichmości panów kolejno, ich zasługi i cnoty? Krótki jest czas. Przeto wnoszę ogólnie: zdrowie Ichmościów! W ręce zacnego gospodarza!

Pan Zdanowski już płakał. Gdy Kostka podszedł doń z kielichem, staruszek ujął w trzęsące się dłonie głowę jego i jak syna drogiego ucałował.

Wkrótce potem Kostka pożegnał się z zebranymi i, usprawiedliwiając odejście swe wczesnem nazajutrz zajęciem, opuścił gościnną izbę. Zofja wcześniej cofnęła się do swej panińskiej izdebki.

Po wyjściu pułkownika hałas się gwaru rozwiązał.

- To jest mąż dzielny!
- Takich więcej!
- Młodzieniec rzadkich zalet!
- Złote serce!

Najgłośniej ci świadczyli, którzy wprzód przeciw niemu byli. Gosławski, kiwając się, potakiwał tylko; upił się całkiem.

Kostka, opuściwszy progi dworku, szedł przez dziedziniec naukos w stronę swej kwatery, przecinając smugi światła, padających z okien.

Gdy zbliżył się do ganku oficyn, dwa cienie czarne odstały od ściany — posunęły się ku niemu.

— Kto to? — zapytał.

Cień jeden postąpił krokiem:

— Melduję posłusznie, panie pułkowniku: ja, Jędrzek Chowaniec, z towarzyszem...

— To ten... już wolny?

Jasiek z pomrukiem szczęścia przypadł do ręki pułkownika. Żałował jeno, że nie może się mu z powodu mroku przypatrzeć.

— Stawicie się obaj wczas rano — rzekł Kostka. — Pojedziecie ze mną ku granicy śląskiej. Będziecie mi pomocni przy werbunku.

— Wedle rozkazu! — wyprostował się Jasiek.

— Przygotujcie się... Tu macie na ekwipunek — podał Jaškowi sakiewkę.

— Upraszam pana pułkownika... — jękał Jasiek.

— Cóż?

— Schowajcie se to... My chcielibyśmy z ochoty...

— Sami za siebie, stać nas — dodał z pewną dumą Jędrék.

— Widzę w was junaków godnych. Zatem do jutra.

— Cześć panu pułkownikowi! — unieśli kapeluszy i zawrócili w stronę miasta, które za Du-

najcem, jak przygaszona watra, węglami okien jarzyło.

A Kostka skierował się do swojej kwatery.

Wszedłszy, zapalił świece i usiadł przy stole. Nawał dnia odpłynął, jak hałaśliwa burza — ostał z myślami sam.

— Dnia tego spodziewał się — czekał nań z niepokojem gorączki i z trwogą... Czy się powiedzie?... Czy wystąpienie jego znajdzie odźwięk, na którym możnaby budować?... I oto więcej zdobył, niż się spodziewał.

— Lud poruszony... Zapewne tam po domach żywo rozprawia, komentuje słowa na wzgórzu słyszane, słowem się ogni... Jak od zawołania trombity, pójdą powietrzem kręgi, coraz szersze... od Tatr się odbijają... spadną na doliny echem...

— A ci poczciwi kresowi szlachcice... cóż przewidzieć mogą, gdy nie widzą naocznej oto zguby, ku której ta Rzeczpospolita pośpiesza. A przecież to jeszcze ze swemi śmiesznościami perły!... Gdybyż zrozumieli, że Rzecz ta nie jest ich folwarkiem... Nie odrodzą się — darmo. Fala powstała ich zniesie...

Zadumał się całym ciężarem myśli nad zadaniem poczętem. Czuł jego wagę groźną, i niebezpieczeństwo rodzącego się elementu.

— Jak poprowadzić rzecz, aby ten żywioł rósł, przestrzenił się, a formował się w ład, jak formuje się rozsyp pułków na magiczne słowo rozkazu?...

— Mężówby trza wyszukać w otoczy onego żywiołu, którzy posłuch dookolny mają...

Wyszła mu na oczy nieznana postać sołtysa z Dunajca, marszałka rebelji, Łętowskiego, o którym to od pana Zdanowskiego słyszał: jako posłuch ma nawet wśród drużyn zbójnickich...

Zadumę jego przerwało stukanie do drzwi.

— Proszę wejść! — zawołał, dziwiąc się, kto o tym czasie późnym może go nawiedzać.

Drzwi się otwarły — wszedł i w krąg światła postąpił chłop wysoki, barczysty, w guni czarnej. Włosy siwe spadały mu z boków na ramiona. Twarz ciemną, wygoloną, o dużym orlim nosie, okalał zarost siwiejący. Spokojna moc i powaga były z tej twarzy sępiej, jak i z oczu, skierowanych ciężarem na Kostkę, który powstał za zbliżeniem tej władnej postaci.

— Kto waść? — zapytał, gdy ten wzrok sępi poczynał mu ciężać.

— Sołtys z Dunajca, Łętowski.

— A toż szczęśliwy traf! — zakrzyknął Kostka i wyciągnął dłoń do przybyłego. — Jakbym na Waści czekał... Siadajże, panie Marszałku, proszę — wskazał miejsce przy stole.

Lecz Łętowski nie śpieszył się usiąść.

— Patrzą na was... — począł z powagą surową — aby wymiarkować szczerłość zamierzeń, dotknąć się prawdy serca i poznać tego ducha, co sie na niemałe waży...

Kostka wyprostował się.

— Doniesiono mi z miasta — ciągnął sołtys — jako jakiś pułkownik królewski się zjawił, jako władą swą hersztów od śmierci wyzwolił, i jako naród chłopski wezwał do ruszenia. Wielkie to słowo. Trza dobrze ozważyć...

— Rozważyłem.

— Mnie to od lat, jeszcze od tej rebelji, krew burzy — po głowie chodzi — robotę z rąk odejmuje — po nocach budzi, spać nie daje. Więc skoro mi donieśli wasz ten apel, panie pułkowniku, zebrałem się, jutra nie czekając, dopytałem się do was — i oto jestem.

— Szczęśliwie to doprawdy...

— Jestem i powiadam: Naród się ruszy — ja w tem — ale musi wiedzieć, na co!

Kostka sparł rękę o stół, drugą ujął się pod bok, wziął królewską postawę.

— Przebaczcie, panie pułkowniku, niech wam to nie będzie za obrazą, ale powiedzieć trza otwarcie. Myśmy z łanu ludzi piechotnych, a ze sołtystwa konnych na potrzeby ojczyźnie dawali. Myśmy za Batorego króla i za Zygmunta w potrzebach pod Chocimem, pod Moskwą stawali; myśmy za Władysława ostatniego, niech się pamięć jego po wiek wieków święci, pochwały mieli za stawanie chobre pod Smoleńskiem; myśmy, kiedy trza było, do Wołoszy, na Węgry chodzili — a pod czas w domu wpadaliśmy w coraz to większą niewolę. Praw nas zbawiano, przywileje, zdawna nadane, rabowano. Do ostatniegośmy w tej ojczyźnie przyszli. Tyleśmy

się w tej Rzeczypospolitej pańskiej dosłużyli. Powiadają: szlachta broni kraju, przeto ma mieć prawa wszystkie, swoje i nasze. Niechże broni, jeśli zdole. Naród chłopski, już doświadczon, na to się nie ruszy.

Kostka utkwił wzrok mocny w oczach Łętowskiego.

— Pytasz mię, panie Łętowski, o cel... Otoć powiem. Chcę narodowi chłopskiemu dać władztwo: aby z tej Rzeczy, dziś szlacheckiej, stworzył prawdziwą i potężną Rzeczpospolitą.

— Tak wej mi gwarzcie...

Łętowski wyciągnął dłoń, ujął drobne palce Kostki i ze wzruszeniem w milczeniu uścisnął. Poczem sięgnął do zanadrza, wydobył paczkę, zawiniętą w chustę, rozwinął, i plik papierów starych położył na stole.

— Tu są oto przywileje nasze. One dadzą wystąpieniu prawo.

Kostka rzucił okiem na pierwszy z brzegu dokument.

— Wać jesteś szlachcicem?

— Wszyscy tu bezmała sołtysi na Podhalu dawni szlachcice. Ale wdzialiśmy gunie, schłopieliśmy i dołę-niedolę chłopską uważamy za swoją. Owo też „urodzony“ w dokumentach późniejszych się traci.

Przycisnął dłonią przywileje.

— Ostawiam to do wglądu. Ufam Wmości, panie pułkowniku (czyś pułkownikiem, czy, jak miarkuję, kimś więcej). Przewieram prawość

Twoją — rozumiem trudne zamierzenie. Niechajże pocznie się więc — w imię Boże. Poruszę Podhale. Rzekłeś mię, Wasza Miłość, na wstępie Marszałkiem. Będę, jak w onej rebelji, marszałkował. Mam ufanie: dadzą mi ludzie posłuch — do miesiąca pułki się zgromadzą. O wskazania zaś wszelkie przez zaufanego proszę. Z Bogiem ostają!

Łętowski opuścił pokój.

Po jego wyjściu Kostka począł w poruszeniu chodzić wzdłuż po izbie — zatrzymał się przy stole, oparł wzrok na dokumentach ostawionych — znów począł krążyć...

— Kości rzucone — wyrzekł głośno.

Podszedł do okna. Światła w dworku naprzeciw już pogasły. Jedno tylko narożne okno blade, przyciemnione zasłoną, świeciło.

— Pokoik Zofji. Nie śpi jeszcze.

I postać jej niezwyczajnie cudna stanęła mu żywo przed oczyma. Ta twarzyczka anielska, o uśmiechu słonecznego ranka — w przyglądzi złotych promieni — i te oczy świetlane, kryniczne, o błękitie najczystsze nieba...

— Nie chyl się, serce. Ogniówą masz przed sobą drogę. Niechaj śpi szczęście, szczęśliwe.

Obrócił wzrok na skupisko dachów na drugim brzegu Dunajca; z ciemni onych, niby z masy ruin, wrywała się na niebo ziskrzona topolna wieża kościoła farnego.

Spało już miasto. Tylko od ulicy Ludzimierskiej, gdzie stała gospoda Węgra, hałas stłumio-

ny dochodził — a z dalsza dobiegały śpiewy
zwerbowanych, powracających do domu.

Wiatr podjął nutę przeciągłą i nadniósł wy-
raźne słowa:

„Hej!... panowie, panowie,
Bedzicie panami,
Ino nie bedzicie
Przewodzić nad nami...”

III.

Nazajutrz rano Kostka, gdy po śniadaniu wyszedł na dziedziniec, zastał już dwóch junaków, Jędrzka i Jaśka, koło wrótni przy koniach stojących, odzianych hyrnie na pokaz, w kapeluszach z piórami orlemi, z flintami zwieszonemi pod narzuconemi czuhami przez ramię, z ciupagami i pistolcami za pasem.

Obaczywszy pułkownika, przybrali wojskową postawę i unieśli wgórę kapeluszków z orlemi pióry.

Powitał ich skinieniem głowy i przeszedł do dworku.

Pan Zdanowski po libacji wczorajszej jeszcze był w łóżku. Kazał jednak pułkownika prosić do bawialni, dźwignął się raźnie i, zadziawszy pantofle łosiowe a narzuciwszy na się starą opończę wełnianą, zjawił się w progu.

— Wypada mi — rzekł Kostka po przywitaniu — wyjechać w sprawach werbunkowych. Jak długo zabawię, nie mogę dziś orzec. Prosiłbym Wmość pana a dobrodzieja mego o zastą-

pienie mnie na miejscu. Jeśli kto głosił się będzie, odsyłać proszę wszystkich do pana Łętowskiego do Dunajca.

— Najchętniej spełnię życzenie Wmości. Bardzo to szczęśliwie, że Łętowski przyobiecał pomoc. Sam on od siebie wiele może. Ogromniem z tego rad. Więc Wmość nas opuszczasz. Z utęsknieniem będziemy czekali powrotu. Przez krótki czas, a tak nas wszystkich, mości pułkowniku, za serce ująłeś... Jedź z Bogiem. Niech cię Bóg, święta Anna strzeże od złej jakowejś przygody. Na mszę dam przed ołtarz Matki Boskiej Różańcowej na intencję Wmości.

Ucałował schyloną w ukłonie głowę Kostki i dreptał za nim załzawiony, odprowadzając go w sienie.

Kostka zбочył pożegnać się jeszcze z panną Zofją. Powiedziały mu jednak służebne, że panna poszła na mszę na Górkę do św. Anny. Tam też bez namysłu skierował kroki.

Kościółek pod wezwaniem św. Anny stał (jak po dziś-dzień stoi) na górcie stromej, położonej nade drogą tuż nad rozsiedłem dworzyszczą. Obok kościółka na wzniesieniu był miejski cmentarz.

Kościółek ten — jeszcze drzewiej, za czasów pierwszych osadnictw na Podhalu — własną pracą i nakładem zbudowali pobożni zbójnicy i ofiarowali go św. Annie, którą sobie za patronkę wzięli, aby im w ich sprawach trudnych i opresjach zdarzonych pomocą była pewną i opieką.

Ze jednak zbudowany kościółek pustym był — bo nic w nim, ani na przyciesach ściennych, oprócz ołtarza, podług widzianych na Spiszu odrobionego, nie było — a zaś w ludźmierskim nieopodal klasztorze Cystersów pełno było obrazów i wszelkiego sprzętu kościelnego, tedy pobożni zbójnicy, — według uwagi swej, iż „nie w jednym kościele mają święci mieszkać“ — napadli na on klasztor, pobrali sporo obrazów i naczyń, i do kościółka swojego przynieśli.

Zczasem, z powodu onych częstych napażeń zbójnickich, lubiący spokój oo. Cystersi przesiedli się do oddalnego Szczyrzyca — klasztor znikł, a kościółek na Górcie pozostał.

Rzadko w nim odprawiało się nabożeństwo. Raz do roku, w lipcu, w dzień św. Anny, na które, jak na odpust, naród się zbiegał; i czasem msza żałobna, gdy chowano pobok na cmentarzu kogoś ze znacznych mieszczan. Zwyczajnie był zamknięty.

Dopiero za czasu urzędowania pana Zdanowskiego, który dla św. Anny miał szczególną cześć, ożywiły się modrzewiowe ściany kościółka. Mieszkający przy farze ksiądz staruszek pensjonariusz, kapelan Bractwa różańcowego, którego protektorem był pan podstarości, uproszony przezeń, odprawiał trzy razy w tygodniu mszę w kościółku na Górcie.

Właśnie msza się kończyła, gdy Kostka stanął w progu. Kilkanaście osób z miasta klęczało we wnętrzu.

Ujrzał też pannę Zofję, na stopniu przed ołtarzem koło balasków klęczącą. Była w jupce niebieskiej, aksamitnej, futerkiem białem opuszczonej, w takimż kołpaczku; lecz najwdzięczniej stroiły ją włosy, w warkocz złoty ujęte.

Zadumał się nabożnie nad jej postacią. Poczem wzrok na ołtarz podniósł. Zatrzymał jego oczy dziwny obraz, w górną część ołtarza wramiony... Zwiastowanie. Wnętrze izby chłopskiej, świetlica. Ściany gładkie, z płazów. Obrazy rzędem na listwie pod powalą. Skrzynia w kwiaty, ława pod oknem — jeno miast stołu: klęcznik. Klęcznik był tu przewidziany. Bo oto Najśw. Panna, w stroju zamożnej dziewczyny góralskiej, niby córka sołtysia, siedząc na stołku stylowym, coś szyła sobie widać — gdy nagle wpada anioł (jakby służebna w piekarni za anioła przebrana), w katance zielonej, czerwonej spódnicy, z rozwianymi włosy i przypiętymi skrzydły. Najśw. Panna zerwała się złęknona (stolek, potrącony, leci — szycie spada na podłogę), a Ona ze wzruszeniem przyklękła na klęczniku, w trwożnym oczekiwaniu słów zwiastowania.

Rozbawiony tym naiwnym a wdzięcznym obrazem tajemnicy, nie rachował chwil, aż postrzegł, iż ludzie poczęli opuszczać wnętrze. Cofnął się więc na trawnik przedkościelny, oczekując na wyjście Zofji.

Ukazała się niebawem. Na widok Kostki niespodziany rozświekliły się błękitne oczy, oblicze owiał uśmiech, z serca naprzeciw wybiegły.

Złożył ukłon głęboki i podniósł wzrok, uwielbienia pełen, ku jej czole. Zaróżowiło się, przezyste, jak owo śnieg na szczycie w styczniowy, jasny poranek.

W pomieszaniu poczęła:

— Cóż skłoniło pana pułkownika do trudzenia się na naszą Górkę o tak ранней godzinie?

— O ranniejszej panna Zofja widać wstała, z ptaszkami razem. I ja, nie zastawszy jej w domu, musiałem, grzesznik, iść na mszę. Pragnąłem bowiem pożegnać się...

Nagła bladość zgasła róże lic. Wysiłkiem spytała:

— Waćpan wyjeżdża? Czy na długo?

— To zależy będzie od powodzenia spraw, które zamierzyłem.

Z namysłem przekonania rzekła:

— Waćpanu wszelkie zamierzenia powieść się muszą.

— Skąd pewność ta?

— Czerpię ją... w widzeniu waćpana: — wyższym nad innych, przeznaczonym na wielkie zadania.

Cień wewnętrznego płomienia przemknął po białem jego czole.

— A jeśli to złudzenie?

Zaprzeczyła głową.

— Wzrok serca nie może mylić.

— Gdybyż przecie...

— To wtedy nie byłoby nic pod niebem prawdą.

Znaleźli się poza nawą kościółka na cmentarzu.

Kostka rzekł sentencyjnie:

— Żle jest myśleć sercem. Nieochybna to droga do klęski.

Podniosła nań strwożony wzrok.

— Dlaczegoż waćpan...

Zatrzymała się.

— Myślałam o mowie waćpana wczorajszej, tam na wzgórzu... Była przecież wszystka płomieniem serca. Dlaczegoż waćpan dziś...

Kostka pochylił głowę.

— Jeśli mówiłem: źle jest — to ze względu na dobro waćpanny... a przeciw sobie — dodał ciszej.

— Nie rozumiem ja — podjęła — co zachmurzeniem zachodzi na duszę waćpana. Domyślałam się jeno czuciem serca, bo jakoż mogę inaczej, iż to cień padający od wysokich zamierzeń... Gdybyż pragnienie serca promieniem mogło stać się, by zgasić cień... Lecz samo z siebie bezradne, by to sprawić, musiałoby mieć moc przemiany: wiedzę onych zamierzeń wysokich... Mogęż je wiedzieć? Szczęściemby mi to było iść spojrzeniami duszy i wszystkim życzeniem serca... — zamilkła trwoźnie, postrzegłszy twarz jego pobladłą.

— Jeżeli komu — począł z trudem — odkryłbym zamiary swoje, to waćpannie, która je sercem wyrozumieć możesz. I, wierzę, nadejdzie czas, że to uczynić będę mógł — bez trwogi. Lecz

są rzeczy zawczesne, których myśl nieprzywykła może się przerazić.

— Niechaj więc ostatecznie tajemnicą, co w tajniach myśli waćpana urosło. Przebaczyć proszę mi nie ciekawość zwykłą... Życzeniem serca i tak będę przy waćpana zamysłach. Wierzę, wiem, że są jasne i wielkie. Może nawet przeczuwam je trochę, czego mi waćpan zabronić nie może, gdyż ona przemowa na wzgórzu tylko niewielu mogła złudzić, jakoby dotyczyła jedynie werbunku. A ja w słowach tych słyszałam...

— Cóż?

— Gromy. Zapowiedź burzy idącej...

— Nie zlekłóżył to waćpanny?

Spoczęli na głazie mogilnym.

— Przejął mię jeno lęk — odrzekła cicho — jaki idzie zwyczajnie od rzeczy śmiałych...

— Lęk ten w nas większą wagę ma, niż się wydaje. On to wołaniem serca zabiega spełnieniu.

— A gdy się serce odważy...

Spojrzał na nią z zadziwem.

— Wiara to chyba sprawić godna — rzekł.

— Tak, i ufanie.

Jasne promienie oczu oparła na jego czole.

Skłonił głowę w podzięce.

— Jakoż ten dar bezcenny zyskać może przechodzień nieznanym?...

— Serce o familję nie pyta — odgaduje.

— A jeśli się zawiedzie...

— To wtedy, powtarzam, nic pod słońcem nie byłoby prawdą. Życie kłamem byłoby. Życie by nie warto.

— Są czyny, wybiegające poza czas dzisiejszy — wyjątkowe — zjawiające się oczom, jak komety z dróg swych wypadłe, oszalałe... Godne na śmierć przerazić serce samą zjawą. Cóż wtedy...

— Próba...

— Kruche jest serce.

— Jeśli wierzy...

Spojrzał znów na nią świetliście.

— ...jeśli poza ową zamięcią ogniową widzi odrodzenie nieszczęsnej ojczyzny, odmienienie doli ludu...

Przygasły oczy Kostki.

— Za jasne światło gromów — rzekł do siebie. — Gdzież znaleźć oddźwięk, jeśli owo serce, tak nad miarę czujące... Słyszę — rzekł głośno — o odmianie doli ludu. A jeżeli ta odmiana w burzy przyjść musi, w zamięcie?... Waćpanna, jako szlachcianka, nie trwożysz się chłopskiego żywiołu?

Zofja odrzekła prosto:

— Ja z chłopstwem jestem od mała. Wykarziła mię chłopka-góralka. Z dziewczętami ze wsi się bawiłam. Rówieśnice-przyjaciółki mam w Pieniążkowicach. Gdy mnie odumarli wczas rodzice, sierotę sercem poddani otoczyli. Pokochałam ich, jak oni mnie. Dzieckiem słyszałam opowieści o rebelji zaszłej — byłam po ich stro-

nie. Krzywdy ich czułam, jak swoje. To też, gdy wczoraj, stojąc na ganku, usłyszałam słowa Waścinej przemowy, zadrżałam odedna serca. Wiedziałam ogień, wstały w bunt — z miłości cierpiących. Nie wiem, skąd Waćpan, z jakich sfer, nie mogę pojąć — mgławicę widzę naokół jego postaci — lecz czuję, że Waćpan w głąb niedoli ludzkiej zstępować musiał, by taki odzew wynieść. A lękam się przypuścić, by życie Waćpana samemu krzywdą stać mogło...

— Krzywdą stała nad moją kołyską... — wyrzekł bezdźwięcznie.

Oczy — dwa wielkie współczucia siostrzane — na jego twarzy oparła.

Podniósł się Kostka. W milczeniu minęli kościółek — szli brzegiem ponad upadzikami, skąd otwierał się widok przestrzenny na dolinę...

W dole, tuż u stóp spadziska, w planie rozłoża z góry widny, czernił dachami i wyznaczał się czerwienią ścian czworokąt dworzyszczka. Widać było służbę, kręcącą się po dziedzińcu — przy wrótniach, z końmi stojące, dwie zjawiskowe postaci junaków.

Na równinie, z poza kęp wierzb i sitowia świecały się ku słońcu wody Dunajca. Na brzegu drugim, wyższym, piętrzyły się zrudziałe domy miasta, z białą wysoką wieżą kościoła faranego.

Dalej, z poza zaplecia połamanych dachów wybiegały długimi szyjami rdzawe rolę i zieleńjące zagony miejskich gruntów, zaczem pod

nosiły się, fala za falą, coraz wyżej wzniesienia za wzgórzami, wydzwigując się wysoko lesistemi reglami ku Tatom, które na krańcu widnego południa, między niebem a ziemią, jak sen olbrzymi, białą, zimową zjawą stały.

Na wschodzie, wdali, u końca doliny siniały na świetle nieba skały Pienin, niby ruiny zamczysk, i lesiły się bliżej ku południu pagóry spiskie.

Ku zachodowi zasię przestrzeniła się równień otwarta, z poza której, jak brzegi dalekie, mgliły się kopce orawskich hor.

— Żal mi odjeżdżać — rzekł Kostka, gdy wzrokiem objął dolinę. — Dziw, przez tak krótki czas, a przylgnałem do tej ziemi, jakbym się tu był rodził. Osobny tu świat — tak przyroda, jak ludzie — serce ku sobie niewolący. Idzie zeń w duszę tchnienie wysokie orlej wolności.

— Miło mi to słyszeć z ust waćpana, boć to moja ojczyzna bliższa. Tam — wskazała w stronę zachodnią — gdzie ten słoneczny brzeg doliny, ujrzałem świat. Tam są groby moich rodziców.

— Rodzic waćpanny stąd pochodził?

— Z Pieniążkowic. Dziad starostwo to dzierżył od króla za usługi, w potrzebie wschodniej złożone, i na onej słonecznej uboczy osadził wieś, którą nazwał od swego imienia.

— Czy pan Zdanowski powinowatym jest waćpanny?

— Nie. Zaufanym był ojca; jemu też rodzic, umierając, opiekę nad sierotą i majątkiem zlecił. Księżę biskup krakowski, krewny po matce, chciał mię, już w późniejszych latach, pod swą opiekę wziąć, by mię na dworze kasztelanowej krakowskiej, albo — jeślibym ku temu skłonność miała — w klasztorze którymś umieścić, lecz wolałam w dworku pana Zdanowskiego zostać, wśród ludzi swoich, w bliskości progów i grobów ojcowskich. Nie przeczuło wówczas serce, iż tu...

Urwała spłoniona.

— Co waćpanna chciała rzec?

— Waćpanu to widnem przecie — odrzekła cicho. Spojrzała nań prosto wszystką jaśnią niebieskich oczu.

Ze czcią pochylił czoła. Wzruszenie głębokie serca bladością się na twarzy odbiło. Lecz oto cień od bliskich zamierzeń, jak cień chmury grożącej, zaszedł na jego oblicze. Począł wyspowiedź z trudem:

— Przyjść może czas... gdy wypadki postawią mię w zamęcie piekieł... że stanę się światu ciemny... że ludzie odwrócą się z żegnaniem ode mnie... że imię moje stanie się...

Tedy poczuł kwiatowy dotyk dłoni na swem ręku.

— Czemu krucze są myśli waćpana. Spójrz — wskazała ku Tatrom.

Z poza obłocznych pióropuszków, rozkwitłych nad szczytami, były snopy blasku tryumfalnego.

— Oto laur świetlisty, oto omen...

Cóż mogło upewnić bardziej duszę nad tę glorię Tatr?

Napełniły się światłem oczy Kostki. Po białym czole przebiegły płomienie. Steżał w duchu — poczuł u ramion skrzydła. Przed myślą — jako gościniec w kraj szczęsny — rozwinął się powabem trud czynu.

— Czas na mnie — wyrzekł w drzeniu.

Zstąpili ścieżką ze wzniesienia. Zeszli na wprost ku bramie dworzyszczą.

U wrót stojący junacy wyprostowali się — przed panną przechodzącą kapeluszami zamietli.

*

Kostka, pożegnawszy w dziedzińcu Zofję, wstąpił do swej kwatery i wkrótce wyszedł gośców. Podprowadzono mu konia — otwarto wrót nie. Wyjechali na szosę i kłusem ruszyli: po przód Kostka, za nim dwaj w parze junacy.

Szosa odchyłała się od Dunajca ku wsi Klikuszowej, rozłożonej kępami kilkunastu osiedli nad potokiem, zwanym Lepietnicą, którego źródła rodzą się w lesistych zboczach Gorców.

Gdy mijali wsi onej, którą wpoprzek przejeżdżali, przydrożne osiedla, Jędrak nachylił się ku Jaškowi i, wskazując bogatsze skupisko zabudowań, rzekł:

— Hań soltystwo.

Jasiek pojrzał, przykiwnął wąsami. Nie wiedział zgoła, czemu się Jędrek nad tem zastanawia.

A Jędrek wiedział, czemu.

— Hań Róża mieszkuje...

Stanęła mu żywo na widoku: strojna, rozśmiana i oczami czarnemi jak piekło kusząca.

— Ej, Boże! — westchnął. — Kieby to tak przyjść mogło... — zaśniło mu się.

Oczywistość zabiegła:

— Co ci sie też nie baży!... Sołtysówna, bogaczka — a ty co masz?

Uniósł się w sobie honornie.

— Coż to... mam ni mam — całe Podhale moje!

Zduszony sprzeciw parsknął:

— Wej to, każdy tak może powiedzieć.

Jędrek onemu zaś:

— Uwidzisz, że Róża będzie moja.

— Czyja? he? padasz — udawał głuchego.

— Moja! — wykrzyknął Jędrek.

Sprzeciw oczywisty nachylał się, rzekomo nie słysząc, to z tej, to z owej strony.

— Jak ci dam w pysk, to ci sie poprzeciwię!

Zniknął szyderca głuchy, i jechał Jędrek sam, ale mocno w sobie tą kłótnią niewidną zdrażniony. Świat mu się naraz zbrzydził. Pozierał bożkiem gniewliwie na Jaśka, który, wpatrzony miłośnie w swego pułkownika, pociągał ze wzruszeniem nosem i wąsami; wreszcie się ozwał doń:

— No i coż tak słuchasz tym nosem, jakbyś pierś matki ssał?

Jasiek obrócił twarz — dobrotliwie zdziwionym wzrokiem na Jędrzka popatrział.

Gniew Jędrzka odrazu odpadł. Uśmiechnął się oczom towarzysza.

— Wiesz co, Jędreku — począł blekotać Jasiek. — Przyszło mi na pamięć, jak my to ze Sawką na ów kaśtel wapienicki szli... i jak nas wtedy od Wagu harnicy grafa Koldrasa wrócili. Myślę: jakby tak padło z naszym pułkownikiem — nie dalibyśmy się wrócić. Z nim śmiało byłoby i na sam Budzin... Co sie śmiejesz?

A Jędreku uśmiechał się godziwym myśлом Jaśka. Lekkomysłne ogniki w oczach mu ziśkrzyły.

— Coż to świat — marzył Jasiek. — Niechby my sie ino spróbowali. Siela, to ufność, bracie. Trzoch nas tu ino, a niechby co stanęło naprzeciw — uwidziałyś. Niechby ino jaka okazja — przekonałby sie pułkownik, jakich chłopców ma, nie ułomki.

Tak ugwarzując o sobie i o pułkowniku, miśnęli wyniesienie lesiste Obidowej i przechylili się ku dolinie Raby, a poprzód jadący pułkownik, zatopiony w myślach, nie obzierał się na nich.

Aż dojechali do rozwidła szosy. Gościniec jeden szedł otwartą doliną na zachód — ku Suchej, ku Żywcowi, na Śląsk — drugi, na prawo, odginał się na północ w wąwozy międzycygorckie.

Pułkownik wstrzymał konia. Namyślał się chwilę.

— Którędy na Pcim? — spytał.

Jędrzek wskazał gościniec prawy, w międzygóry.

— Tam, panie pułkowniku, droga na Pcim.

Na ten też gościniec Kostka skierował konia.

IV.

Żył podówczas w Pcimiu, wsi górskiej, nad Rabą koło gościńca, wiodącego z Podhala na Kraków, położonej, niejaki Martin Radocki, rektor przykościelnej szkółki.

Mąż ten, acz tylko rektor szkoły pcimskiej, dużej powagi zażywał wśród ludu okolicznego.

U ciemniejszej części parafjan to już starczyło za niemały splendor, iż miał brata organistą przy samym księciu biskupie. A nie lekceważyli faktu tego i mądrzejsi chłopci, gdyż jako poddani księcia krakowskiego, w razie uciemień srogich ze strony rządców biskupich, mogli przez onego brata rektorskiego spodziewać się poparcia skarg swoich. — Martinus też, ów rektor, wiele im dobra sam czynił. Jako umiejący pięknie pisać i stylizować, pisywał im protestacje i żałoby wszelkie. Jako znający się zaś na wielu rzeczach: na ogrodnictwie, pszczelnictwie, na leczeniu statku, w wielu wypadkach z pomocą stawał im i radą. Zdaleka też doń ludzie szli, powagę jego szerząc.

Najwięcej jednak zwolenników czyniły mu występy jego kaznodziejskie. Znał on napaść Pismo, cytował je i rozbierał przy każdej nadarzonej sposobności, a, jako utajony anabaptysta, wykladał je rozumowo i z apostołskim zarem.

Gdy napotkał ludzi gromadkę na drodze albo w polu — kazał. Przytem otwarcie gromił nieprawości możnych, a śmiało wypominał ucisk i nędzę biedoty. W końcu swych kazań proroczył: że czas osądku bliski — że przyjdzie wysłannik boży, nowy Messjasz ubogich, który nieprawość pognebi, pychę zetrze, a sprawiedliwość zaginioną na ziemię przywróci.

To też nie dziw, że lud widział w nim apostoła, prościciela dróg Pańskich, niemal świętego. Przyczyniał się do ogólnego szacunku i ubiór jego rektorski: poważny, czarny, półduchowny.

Miał on Radocki w Pcimiu pobok kościoła domek o dwu izbach, z gankiem ze sieni, z ogródkiem ku gościńcowi, w którym to ogródku wszystko wolny czas na ulubionych swych koło kwiatków i jarzyn zapobiegach spędzał.

Otóż i w dzień ów kwietniowy, gdy Kostka z Nowego Targu samotrzeć w drogę wyruszył, rektor Martinus pracował w ogródku swoim. — Postaci szczupłej, lat około sześćdziesięciu, o twarzy ascetycznej, gładko wygolonej, włosach siwych, wtył głowy szczesanych, w szarym płóciennym płaszczu, narzuconym na ciemną cza-

mare, miał wygląd księdza, który się ogrodnictwem przy czasie zabawia.

Chodził wśród grządek, prostował je do linii, wyznaczał miejsca na rozsadę, nachylał się nad wynikającą z ziemi zieloną objawą, cieszył oczy, marudził — nie szła mu jakoś dziś praca. Myśli zajęte były sprawami ludzkimi.

Oto już o świcie jawili się u niego ludzie, poddani państwa lubniańskiego, ze Stróż, ze skargami na zdzierstwa tamtejszego rządcy: aby nań żalobę do biskupa podał. — Przyszła też z lamentami biedna kobieta z Krzeczowa: że jej chłopą ekonom za spóźnienie na pańskie tak srodcze skatował, iż ledwo dycha. — Z Łętowni przyszli równie z uzaleniem chłopi, iż zsypkę owsa podwójną do gumien pańskich dać musieli, choć rok ubiegły był zły, i nie mają teraz czem pól obsiać. Aby im skargę pisał — naciskali.

— Jeżeli nas tak dalej będą gnieść, jeżeli nam nie zelżą — powiadali — to chałupy ostawimy i te gospodarstwa nędzne, i pójdziemy w świat, ka oczy poniesą — do cudzych krajów, do pogonów; może tam lżej nam będzie.

Pocieszył ich, jak umiał — skargi przyrzekł napisać. Choć wiedział Martinus rektor z doświadczenia, że ze skarg i protestacyj biednego narodu djabeł podeszwy szyje.

A jutro przyjdą inisi — nowa procesja nieszczęśliwych. I tak już od lat...

Oparł się o sztachety wrót — wzrokiem bezradnym po pustym toczył gościńcu.

— I żadnej odmiany doli... Z roku na rok to samo, ba, coraz jeszcze ciężej. Lud mrze — swywola rządzi — bezprawie w karocach się rozpiera. — W oknach chałup nie ujrzysz uśmiechniętej twarzy — nie usłyszysz śpiewki w polu — sponurzał naród w niewoli.

Z poza pływów, rozpuszczonych snopów świeżo zliściałych pozadrożnych wierzb dobiegał głuchy szum Raby, która wody zmętniałe ze śniegów górskich niosła.

— Nad wodami Babilonu płacze lud łzami krwawymi. Wspomina dawne swobody — i obecne widzi uciążenie. Już łyzy krwawe rzekę przepłniły — czerwone podnoszą się fale... Skąd jaka pociecha zstąpi, skąd wybawienie?

Nad gościńcem, ginącym w zakręcie, południe właśnie stanęło.

— Chyba ów wysłannik boży, którego serce przeczuwa... zjawi się w blasku słonecznym — jako archanioł Michał, wódz białych zastępów — nieprawość zniesie, krzywdy złamie, sprawiedliwość zginioną przywróci...

Gdy tak Martinus marzył, w rozbież gościńca wpatrzony — ukazała się mu nagle dziwna zjawą...

Oto na zakręcie szosy załśniło, zatętniło — ukazał się na koniu strojny rycerz — za nim dwaj biali, skrzydlaci...

Zadygotało serce w Martinusie. Przetarł oczy — zjawą nie znikła.

Tętent zbliża się, i ów zastęp...

— Czyżby to Wysłannik... Boże!

Cudem, jak gromem przejęty, błądy ze wzruszenia rektor stał na przy wrótniach — gdy Kostka wstrzymał przed nim konia.

— Gdzie tu mieszka Martinus Radocki? — spytał z siodła.

— Jam jest — wyjąkał rektor.

Kostka zeskoczył i powitał go uściskiem dłoni. Uczynił przytem znany dobrze Radockiemu znak sekciarski.

Oszołomiony tem bardziej rektor począł:

— Z kimże mam zaszczyt...

— Bratem Leonem zwań mię Bracia — rzekł Kostka. — Pragnąłbym z Bratem Martinusem o ważnych sprawach pomówić...

Radocki, drżąc ze wzruszenia, dłonią przejście przez ogródek wskazał:

— Proszę do izby, proszę...

Weszli do domu. — Dwaj junacy zostali z końmi na gościńcu. Skracali sobie czas oczekiwania pogwarką towarzysną.

*

Po upływie półtorej może godziny ukazał się na ganku pułkownik — za nim gospodarz siwy, bez płaszcza, już tylko w czarnej półsutannie.

— Pójdę — mówił z przejęciem — od chaty do chaty — wieścić nowinę ludziom, iż dzień osądku nadszedł... A Bóg, ufam, wspomůže wyprawę moją, iż podołam dusze zgaszone rozognić.

— Niech Bóg szczęści Wmości — rzekł Kostka, wyciągając dłoń, którą rektor ze czcią głęboką uścisnął. — Miejsce zborne, jak rzekłem, pod Czarnym Dunajcem. O gotowości proszę mi pchnąć wieść posłańcem do dworca nowotarskiego. Żegnam Wmość Brata... Bóg i prawda!

— Bóg i prawda — powtórzył Martinus, chyląc się w ukłonie.

Kostka minął ogródek, wsiadł na koń. Z konia jeszcze pożegnanie kapeluszem rzucił. Ruszyli przed się, ku Stróży.

Rektor stał u wrót — zażawionemi oczyma za jeźdźcami patrzył, aż znikli na zakręcie za gęstwą zakrzewia. Tedy wzrok podniósł ku niebu:

— Dzięki Ci, Boże — wyszeptał — żeś mi w łasce Swej dał dożyć dnia tego...

*

Jeźdźcy w szybkim klusie minęli Stróżę, Myślenice, minęli dział głogoczowski i wzięli się na lewo, w stronę Radziszowa.

Z każdą milą, gdy w krakowską ziemię z leśnisteo podgórze zjeżdżali, witała ich zieloność łąk i drzew kołodrożnych coraz obfitsza, okrążyła ich miodność łagodna powietrza — wiosnę już pełną czuć było.

Niezadługo otwarła się przed nimi dolina Wisły. Z błoni, roztoczonych daleko, aż w omgłę nieboskłonu ku zachodowi, wyjawiały się lśniące

sierpy i zakola rzeki, świeciły się, oddaleniem zbladłe, smugi zatorskich stawów.

Nawprost oczu widać było, zamykające dolinę od północy, lesiste wyniesienie Bielan, z klasztorem białym na szczycie. A tuż nad wysokim brzegiem Wisły, podmywającej Bielany, rdzawił się krwawo do słońca, zamek tyniecki: własność opata benedyktyńskiego — na dzisiaj cel podróży Kostki.

Minęli wnet napoprzek dolinę i na odwieczarz stanęli w dziedzińcu zamkowym.

Kostka zapytał o księdza opata, a usłyszawszy, że jest u siebie, zsiadł z konia i udał się, poprzedzany przez braciszka klasztornego, do jego komnat na piętro.

Opat za wejściem Kostki podniósł się od stołu z nad ksiąg otwartych, pytając:

— Kogo mam zaszczyt...

Nagle wybuchnął:

— Chryste Panie! Czy mnie oczy nie zwodzają... A toż to mi gość!

Żywo naprzeciw Kostki się posunął, biorąc go w ramiona.

— Skądże mi Wmość? Z jakich stron?... Ale proszę naprzód...

— Mam ludzi z sobą — oznajmił Kostka.

Opat pojrzał oknem na dziedziniec.

— Wnoszę po strojach, że to od węgierskiej strony.

— Z pod Tatr.

— Zajmą się nimi. Proszę dalej, proszę...

Objął go ramieniem i poprowadził do komnaty narożnej, ostro łukami sklepionej, z której okna dwa, głęboko w mur ściany wnikle, otwierały widok na daleką równinę wiślańską, na zachód. — Tu posadził go przy stole dębowym, w snopie światła rozszcepionego, sam siadł naprzeciw.

Braciszek służebny wniósł gąsior z winem, owoce, ciasta. Opat nappełnił kielichy.

— Za zdrowie Wmości! najmilejszego mi gościa... Proszę, proszę — podsuwał misy z owocami.

Był on w leciech koło pięćdziesięciu, ogromnej struktury ciała. Lecz bardziej wzrost to sprawiał, niż tusza. Twarz miał pełną wyrazu. Wysokie łuki brwi nad mądrymi oczami, nos duży, orli, i wydatnie zarysowane usta nad przyciężką brodą, przydawały tej postaci wyniosłej coś z władczej powagi.

Kostka przy nim pozorniał się niemal pacholeciem. To też dziwnym wydaćby się mógł widzowi postronnemu stosunek tych dwu postaci, a tem dziwniejszym, iż gospodarz, racząc go lub zapytując, zwracał się do młodzieńca z niezwykłym wobec nieletności onego szacunkiem.

— Jestem — prawil — Wmości niewymownie wdzięcznym, iżeś mnie, starego przyjaciela, nie ominął.

— Mam prawdę rzec — odparł Kostka — to tędy droga mi wypadła...

— Z jakiegokolwiek przyczyny to się stało, jednakosć jestem rad. Pijże Wmość! Strudzony musisz być drogą — podsuwał nowonapełniony kielich. — Przyznam się, często ostatnimi czasy myślałem o Wmości.

— Dzięki za pamięć serca — skłonił się młodzieniec.

— Powiem otwarcie: rzeczy to publiczne raczej, więcej, niż skłonność serca, choć i ta była w połączy, niewoliły mię do myślenia o nim...

— Rzeczy publiczne?

— Tak. I mam ufanie, że Bóg jest przy tych zamysłach, skoro cię natchnął myślą powrotu w chwili...

— Z jakiegokolwiek przyczyny to było — repostował z uśmiechem Kostka — jednakowo wdzięczny ci jestem, Wmość księżu opacie, do brodzieju mój. Droga to rzecz: pamięć — przydał melankolijnie — a ja tego dobra niewiele w Polsce posiadam.

— Mylisz się Wmość. Oddalenie złym bywa pojaśnicielem.

— Jestem jako ten przechodzień, którego kiedyś w jakimś tam zgiełku stolicznym widziało. Czyż dziwić się może, wróciwszy, że nie spotyka witających rąk? Nic dla pamięci swojej nie uczynił...

— Są, którzy przechodniów, raz widzianych, nie zapominają...

Kostka skłonił się milcząco.

— Lecz, wybacz, niefortunnie Wmość przyrównałeś. Nie jesteś przechodniem w Polsce, owszem jednym z pierwszych jej obywateli.

— Bez imienia...

Opat opuścił głowę na dłoń.

— Możesz mieć słuszną gorycz w sercu, lecz...

— Przeciwnie — odparł swobodnie. — Nie dąsam się na los, że mnie nie postawił tam, gdzie ludzie szczęścia niejako szczyt widzą. Zyskałbym jedno, a straciłbym wiele: wszystkie leżące przede mną możliwości...

— Wybacz, Wmość, że zapytam, coś zagranicą czynił?

— Wojażowałem...

— Wiem coś o onym wojażu. Czy to nie o tym czasie akurat, przed laty dwoma, byłeś Wmość w tajemnej misji na dworze szwedzkim?...

— Ho! Skądże te wiadomości?

— Nie jesteś szarym człowiekiem, którego ludzie nie zauważają. A pono i do inszych monarchów miałeś kredytywy?

— Nie będę przed Wmością tał. Zlecono mi istotnie zadanie zaszczytne uzyskania subsydjów, a gdzieby można i posiłków, na planowaną wojnę przeciw Turkom. Król nieboszyk ufał mi — niech świętą będzie jego pamięć — lecz wkrótce potem śmierć nagła plany jego tajone przecięła...

— Nieodżałowana to strata dla nas wszystkich — westchnął opat.

— I ja przez to uderzenie losu zostałem zwolnion z misji.

— Właśnie co do lat ostatnich śmiałem Wmości stawić uprzednie pytanie.

— Co czynilem? Zaprawdę, trudno to słowy określić...

— Jeśli to ma być z racji pewnych tajemnicą okrytem...

— Otóż nie; jeno nie wiem, jakim sformułowaniem mam wyrazić to, co nie było czynem samym, lecz raczej nauką czynu... Staralem się pojąć, jakie siły tworzą historję, i czy wola jednostki może z bezwładnej masy ukształcić czynnik żywotny, nową niejako rzeczywistość, przeciwstawioną temu, choćby jak pozornie potężnemu, co ma już w sobie czerw rozkładu. Ach, do dziwnych doszedłem zrozumień...

— Patrząc na Wmości — począł opat, gdy milczenie chwilę już stanęło między nimi — i żywo mi przed oczy nachodzi ten nieodległy czas (jakże nieszczęścia go oddaliły!), kiedy świętej, nieodżałowanej pamięci król Władysław raczył mnie wezwać na radę poufną, w której brało udział kilku oddanych mu ludzi. Jak Wmości wiadomo, byłem wówczas sekretarzem J. K. Mości, i król nieboszczyk miał sposobność poznać przywiązanie me do jego osoby; stąd mię na radę wezwano. Było to wkrótce po zgaśnięciu królewicza Zygmunta. Król był mocno strapiony zgonem przedwczesnym syna jakoteż i obawą o następstwo. Zwierzył się nam z tej troski, powiadając

o kłopotach, jakie mu brat Jan Kazimierz, podówczas kardynał, zmiennością swą a obcością charakteru sprawia — i wtedy to wśród narad padło imię Wmości, jako...

— Ostawcie, proszę! — przerwał porywczymłodzieniec. I, łagodząc ostrość słów, przydał ze smutkiem: — Niechaj śpi przeszłość. Mówmy raczej o dobie terażniejszej.

Opat westchnął, podjawszy:

— Też doba terażniejsza każe przywoływać chwile te z pamięci, aby ratunek jaki najść, bo już do ostatka, jako widzim, tej Rzeczypospolitej nieszczęsnej przychodzi. Żółte Wody — Korsuń — Piławce — Zborów... Klęska za klęską!

— W relacjach do dworów zagranicznych spotkanie pod Zborowem sławiono jako wiktoryją!

— At — wiktoryja... Żal mówić. Dobrze, że się han zmiłował. Czy wiesz Wmość, za jaką zapłatą?

— Wiadome mi są punkta owego traktatu.

— A czy wiadome są i punkta sekretne, których wstyd nie dopuścił pisać?

— ?...

— Oto pozwolono w nich ordzie jassyr na ziemiach Rzeczypospolitej.

— Co Wmość powiadasz?! żeby za zezwoleniem panów senatorów, króla...

— Tak! *Oddał król siedemdziesiąt miast polskich Tatarom na łup!*

Zapaliło się ogniem oburzenia blade młodzieńca czoło.

— Hańby większej ponad tę nigdy chyba serce polskie nie doznało.

— Na nic nie przydało się — ciągnął opat — męstwo obrońców zbaraskich. I za tych okuphanowi przyobiecano, jakoby za jeńców, wbrew ich wiedzy i woli.

— Gdzie indziej wozdom takim głowyby odjęto!

— U nas sarkania trochę, paszkwilów kilka ulotnych — i na tem koniec. Jest jakaś dziwna, niezrozumiała wobec grozy upadku lekkomyślność w tym narodzie, jakoby przeszczepiona właściwość Francuzów...

— Oponuje. U Francuzów czyn równie prędki jak piosenka. Rzeczy podobnychby nie znieśli.

— Bóg nas pokarał — westchnął opat — za te przeszkody tępe, jakieśmy w swym nierozumie zamysłem wielkim króla nieboszczyka stawiali. W chwili, gdy nawa ojczysta, wśród raf niebezpiecznych płynąca, potrzebuje bystrego sternika, aby ją wywiódł z tej matni, omijając umiejętnie Scylle i Charybdy, niedołęstwo ujęło ster i prosto na zagubę tę łódź skołatana prowadzi.

— Król-kardynał...

— Bogdajby był kardynałem pozostał. Uszlibyśmy wielu niebezpieczeństw. Jakieś fatum nie szczęsne prześladowuje go, i naród z nim, odkąd los swój związał z jego losem. Były czasu elekcji starania niektórych mężów, którym dobro Rze-

czypospolitej na sercu leżało, iżby w myśl pragnień nieboszczyka króla, a nawet z krwi jego (podkreślił) wybierać, lecz intrygi niskie i zabiegi królowej-wdowy sprawiły, że z urny wyszedł Jan Kazimierz.

— Został wybrany głosem jednego szlachcica...

— ??

— Chmielnickiego.

— Ah — tak, ten głos przeważył.

Zaczem spytał młodzieńca:

— A cóż Wmość o Chmielnickim trzymasz? Musiały cię tam bowiem dochodzić sły chy o jego powodzeniach szybkich...

— Tak... imię jego głośnem jest dziś w Europie, jako ostatniemi laty imię Kromwela. Dwory się już z nim liczą i poselstwami obsyłają go, jak udzielnego pana. Co o nim sądzę...

— Mów Wmość otwarcie. Ciekaw jestem bardzo twego zdania.

— Wydaje mi się on, gdy zdaleka nań patrzę, jako nie człowiek z krwi i kości, świadom zamierzeń i celów, mający przed oczyma choćby jak odległą metę rozpedu, lecz jako element istny, na barkach krzywd niesiony — krwawiec w płomieniach — tem groźniejszy, im dalej posunięty — jako pożar, sam z siebie i z niszczenia rosnący, któremu kres niewiadom. Bohdan Chmielnicki, to bicz Boży i krwawy gniew ludu!

Opat, z głową na dłoni, wpatrzony przed się:

— Tak, tak — powtórzył. — Bicz boży i gniew ludu... Ramię wysokie pomsty. Stąd siła jego, moc — dokonane przewagi. Bo też, na Chrysta Pana! — podjął żywo — ciężkie przewiny naszych panów legły na ziemiach ruskich. Przez lat dziesiątki na tych polach siała krzywda swawola — to też zbiera w odplacie ogień. Tacy Potoccy, Kalinowscy, Zbarazcy, Koniecpolscy, — ba wielu ich tam tych królewiat — znaliż jaki hamulec praw w swych samowolnych rządach?... Cóż im prawa, dekreta, ustawy? Cóż im król we Warszawie, niemocen zgoła ich samowładny tyrańskiej ukrócić? Oniż tam byli na okrajach udziałnymi pany. Znaną jest rzeczą, jako cmentarze i cerkwie, ku zgorszeniu chrześcijańskiego narodu, żydom puszczały w dzierżawę; jako na slobodach osiadłym kozakom odejmowali dane przywileje, niewolnymi ich czyniąc. A ich słudzy, dzierżawcy, starostowie, ośmieleni pańską samowolą, pobłogi wszelakiej pewni, doreszty ugniatali naród poddany, łupiąc jego dobytek ostatni, iż niejednemu, może cnotliwemu przódy, nie pozostawało nic inszego, jeno droga w step. Okopisto tych krzywd było, to też przepelniło się.

Podniósł się ciężarem całym i, sapiąc gniewnie, przeszedł parę razy wzdłuż po miękkim dywanie komnaty.

— A i na ziemiach rdzennych polskich inaczejże się dzieje? Czyż i tu naród biedny nie

jest uciskany srodze, pominawszy może królew= szczyzny, choć i w tych starostowie dzierżawni dla zysków swych śrubami danin poddanych ściskają. A smętniejsza rzecz, jako się słyzy, iż w duchownych, biskupich i opackich włościach najsrożej lud jest ciemiężon.

Usiadł ciężko zpowrotem i w przestrzeń od= dalną, a zbliżoną oczom, wzrok rozszerzony pu= ścił; troska pojęła myśli w widzenie onych spraw...

— Przepaść otchłanna stanęła między dwo= ma członami tej ziemi. Z jednej strony wszyst= koposiadacze — z drugiej niewolni oracze. Roz= dwoj ten gruntuje się, z krzywd i bezprawia po= wstały, sankcje prawne zyskuje, ba, wiarę, jakby naturalnym, od Boga stanowionym był porząd= kiem. — A przecież nie tym torem Polska w swój żywot państwa wkroczyła. Kmietów wiece były stanową praw. Z nich władza władających szła. I był związ mocny wszystkich używających Sło= wa, którzy się czuli Jedno wobec Niemych — była Jedność w narodzie. — Aż się począł stan rycerny, nobilitacjami, łupem wojennym i nada= niami wzmożony, wydzielać, garnąć władę, przy= wileje k'sobie, a stopą, żelazem obutą, spychać oraczy wdół. Począł na zjazdach ustawy kłaść, swywoli swej rosnącej przyjazne, a lud, ze= pchnięty w chłopów, czem ciśnieij ogranicza= jące. Od stanu rycernego odepchnięty, płużnej jeno i już niewolnej pracy przypisany, miał je= szcze lud furtę otwartą do szkół powstałych

i rzemiosł, jako i do duchownych zaszczytnych dostojęństw. Ale już oto w początku zeszłego stulecia polecono starostom wydawać kmieci, zbiegłych na nauki. Reasumowano też konstytucję z wieku poprzedniego, słowy — jak czytamy — temi: „aby ludzie narodu prostego do głównych kościołów i katedr dawani nie byli, jeno ludzie narodu a krwie szlacheckiej“. Wkońcu ogłoszono kodeks — jak mówią Volumina leg. statutu ecclesiorum — że „plebejusz, starając się albo wstępując na dostojęństwo duchowne, musiał być wywołany z rodzicami i dobra wszystkie na rzecz skarbu tracił“. — Tak więc i tę furkę jedyną — jakiegoś światła i oddechu — chłopu zamknięto: aby się już na wieki odgradzić od niego, i aby, jak przykuty do wiosel galery, na wieki w każdej ciemnicy pozostał. — Cóż już po tem. Gdy niżej praw strącony, niewolnikiem rzeczywistym stał się dawny kmiet, łacwo już było wydać prawo, że „plebeja głowa, jeśliby się o nią kto upomniał jak o szlachecką, nie ma być wcale płaconą, zaś petent ma podlegać odsiadzaniu w więzy“.

Sapał gniewnie i trząsał się w rozgorzałem sercu.

— Tak to tę przepaść otwarto... Z jednej strony wolności wszelakie — z drugiej kaźń. Naprzeciw nędzy ostatecznej — przepych. Mówią wprawdzie, że gdzie indziej jeszcze gorzej, we Francji...

— Nie zdaje mi się to być — rzekł Kostka. —

Tam swawola panów krępowana jest przez powagę króla. Widać też z zauważeń Francuzów, bawiących różnemi czasy w Polsce, że stosunki tutejsze uderzyły ich jako niezwyčajne. Na przykład: Pani de Guebriant, która towarzyszyła w przyjeździe do Polski Marji Ludwice, w wrażeniach swych zaznacza, „największy zbytek u góry, a nędzę u dołu“. To samo pan Delarac w swoich „Anegdotes de Pologne“ powiada, iż „Polacy świecą przepychem wśród swej nędzy“. A pan Solignac pisze: „Dwa są szczególnie stany w Polsce ostatnim sposobem sobie przeciwne: szlachta, której wolność jest nieokreślona, i chłopstwo, którego niewola jest prawie bez granic“.

— Tak, tak, niestety. Postronni gorszyć się muszą, widząc od środka te wolności sławione Rzeczypospolitej. Nobilis urodzony, pychą nadęty a próżny, wszystkim tu jest. Dla niego chamów Pan Bóg stworzył, który też w jego pojęciu stanowem jest „pierwszym szlachcicem w niebiesiech“. Nobilis jeno na tej ziemi w „złotej wolności“ chodzi, i nic mędrszego w swej politicis nie umie, jak „na sejmie prawa tronu, a na włóści prawa ludzkości ścieśniać“.

— Dwaj są w tej Rzeczypospolitej szlacheckiej niewolni: chłop i król — zauważył Kostka.

— Tak jest w rzeczy — przyświadczył opat. — Król też nieboszczyk tę niewolę swoją dotkliwie czuł, gdy poselstwu kozackiemu miecz jako obronę jedną przed uciskiem wskazał. — Aleć już

onej pychy ukrótu oznaki dają się widzieć. Bóg posyła ostrzeżenia. Klęski ostatnie, od onego pogardzanego chłopstwa poniesione, czyż nie zastanowią? Gdy z jednej strony ucisk, deptanie, pogarda — z drugiej łaćwo hoduje się pomsta. A gdy się poczuje w sile — krew może wypełnić snadnie głębioną przez wieki przepaść. Memento mamy niedawne: wojnę chłopską w Niemczech. Memento drugie, naoczne: one ukraińskie bunty. Łaćwo, przy takim stanie rzeczy, i tu ogień ów wschodni może się — nie daj Bóg — przerzucić, a wtedy...

Nasuwającą się wizję przerażną wzrokiem twardym odepchnął.

— Gorzej byłoby — rzekł Kostka — gdyby pożar ów zwycięstwem wojsk ukraińskich, nie mając tamy odporu, przelał się na ziemie polskie.

— Boże chroń! — wstrząsł się opat.

— A okrutna tucza, jako słyhać, zbliża się od ściany wschodniej...

— Następstwo to wiktoryi zborowskiej. — Odrazu widnem było, że onego musowego paktu, pod patronatem hana zawartego, obie strony nie myślą dotrzymać. Nadto potężnym stał się już Chmielnicki, nadto rozgoryczoną szlachta utratą swych obszernych dominjów wschodnich, iżby się traktatem owym kontentować. Cały rok przeszły był pełen błyskawicznych oznak, iż do ostatecznej rozprawy przyjść musi. By tę groźbę, wiszącą u granic wschodnich, w inszą stronę

obrócić, powzięto pewien plan o wielkich zarysach — ale cóż, jako zwyczajnie, spóźniony.

— Liga przeciwturecka?

— To właśnie. Głównie pod naciskiem ś. p. kanclerza Ossolińskiego, aby wojną z wojny wyjść domowej, wrócono do bohaterkiej myśli króla Władysława. Czas zdawał się być ku temu sposobny. Pośród plemion bułgarskich gotowało się powstanie. Rakoczy donosił, że zawarł z hospodarem Maciejem konfederację tajną przeciw Turkom. Cesarz pomoc przyrzekał, to samo Wenecja i księżęta włoscy. Czyniono starania, by cara moskiewskiego, ba nawet hana pociągnąć do Ligi. Do Chmielnickiego słano posłów, by go skłonić do zaczepki Porty, do wypraw Kozaków Siczowych na Czarne morze. Jeśli Portę zaczepi — myślano — rozprzęgnie się sojusz jego z Krymem. Nie znano tego człeka. Chmielnicki oświadczał posłom królewskim i weneckim wszelką gotowość współdziałania, ofiarowywał się hana, gospodarów obydwu pociągnąć, śledził gorliwie — jak pisał — „świętobliwe zamysły J. K. Mości“, a tymczasem działał potajemnie z większym, niż kanclerz, skutkiem. Bo oto nowy rok ten zobaczył Ligę stworzoną — lecz nie przeciw Portce, ale przeciw Rzeczypospolitej! Chmielnicki związał się jeszcze ściślej z hanem, odnowił traktaty z Portą, porozumiał się z Moskwą, przeciągnął groźbą i obietnicami Rakoczego i gospodarów obu na swą stronę — żelaznym pierścieniem sojuszów

zamknął Rzeczpospolitą, od Smoleńska po słupy południowe Karpat. Mgła złudzeń opadła z oczu — zobaczono z przerażeniem groźną rzeczywistość. — Rzucono się więc z pośpiechem do gotowania sił odporu. Sejm pozwolił zaciągi. Hetmani gromadzą wojska pod Sokalem, a jak słyhać, na pospolite ruszenie ziem poszły już trzecie wici. — Oto stan rzeczy. Bóg wie, co niedaleka przyszłość nam zgotuje... Człowiek, pomny niedawnych pogromów, trwoży się w sercu. Tem więcej, że hetman kozacki urósł w tym czasie w potęgę: do trzystu tysięcy rachują jego siły, a wspomaga go han z 200.000 ordy. W głowie się mroczy...

— A jakież siły — spytał Kostka — według wiadomości Waszej może stawić Rzeczpospolita?

— Też stąd trwoga i obawa o całość — odrzekł opat. — Mam relacje z pod Sokala od pana Lanckorońskiego. Hiobowe to są wieści. Wojska wszystkiego nie liczą więcej nad 30 tysięcy. Litwa nie nadciągnęła, bo, jak hetman Radziwiłł donosi, wobec podejrzanego gromadzenia się wojsk moskiewskich nad granicą, musi swych grodów strzec. — Więc tylko koronne siły. Ale, co gorsza, żołnierz niezaopatrzony, głodny, domaga się z kilku kwart niewypłaconego żołdu; rozprzęga się i burzy. Nierząd, niekarność w obozie. Gdyby — mówią — Chmielnicki nagle obóz podszedł, to rozsypałoby się to, jak piasek.

A pospolite ruszenie?... Wiemy niestety aż nadto, co o niem sądzić. Ściąga to powoli,

jak z mazią, z kuchniami, służbą, bebechami, z całym balastem taborów — obóz napelnia się wrzawą, hałasem pijaństwa, kłótni, tumultów, bijatyk — jarmark istny. A gdy im co nie po woli — zaraz sejmikowania, koła generalne, rozkosz. Powojują gardłami z takim stukiem i hukiem, dopóki prowjantu zwiezionego starczy, a później — gdy na takich przewagach obozowych zbiegnie im czas powołania — rwą się z powrotem do ciepła kominków, do pierzyn, i żadna siła, nawet salus zagrozone Reipublicae, o której tyle krzyczą, nie w mocy ich zatrzymać!

W pijaństwie, obżarstwie i pieniactwie zniknęła dawna ambicja rycerska, zniknął honor szlachecki. Wieluż to, jak widzimy, czyni sobie dziś proceder z tak zwanych besserunków: po liczków płatnych, otrzymywanych od magnackiej dłoni. Tak to, tak — do takichesmy stoicyzmów doszli. Cóż prawić o rycerstwie? Sława wojenna tkwi na zardzewiałej broni przodków — w zbrojowniach. Dziś — słusznie powiada pan Kochowski:

„Takeśmy zniewieścili, tak dalece zmiękli,
Żebyśmy się dziadowskich rynsztunków prze-
[lękli“.

— Cóż więc — podjął Kostka — jeśli za naj-
ściem sił Chmielnickiego rozsypie się wojsko
zniechęcone, jeśli potopu onego spróchniała ta-
ma szlachecka nie wstrzyma?...
.....

Groźne pytanie zawisło w powietrzu.

Opat, po chwili zastanowy:

— Właśnie doszliśmy do krawędzi: „Cóż, jeśli...“ Pytanie owo, lęk niosące, przejmowało i przejmuje serca i umysły mężów, którzy dalei i głębiej sięgają wzrokiem, niż powszechność, a którym całość tej ojczyzny najwyższą jest troską. Z tej troski mandat biorąc, szukają w rozumach swych wyswobodzenia łodzi państwa z onej groźnej otoczy rań, w jaką ją lekkomyślnie niedołęstwo pchnęło.

— Jakież ratunek widzą?

— Powiem Wmości otwarcie: zmianę sterownika.

— Śmiały krok. Lecz czyż niewolny — a tak kimeśmy króla rzekli — może sterować?

— Jezuiti nim kierują, schlebcy i podwiki. Lekkomysłność zbrodnicza i dewocja u steru. Mężowie warci odsuwani. Malkontentów liczba coraz wzrasta. Nigdy takiego nie było rozdźwięku między narodem, a tronem. Paszkwile ostre, oskarżenia, listy otwarte latają. A on jakby się wzięwał drażnić ludzi. Wrogami sobie uczynił: marszałka, podskarbiego, hetmanów obu, pana krakowskiego... ba, cały szereg zasłużonych mężów. To też nie dziw — gdy urazy łączą, a do tego przybywa obawa o los kierowanego zgubną dłonią państwa — iż malkontenci skupiają się i za innym poczynają oglądać się panem. W sercach zaś mężów, o humory one pańskie i zaszczyty pokupne niedbałych, ponad wszystkie te

mniej ważne sprawy wydzwiguje się trwoga jedna o całość zagrożoną. Czują oni — podniósł się — iż u steru dziś trza wodza, któryby natchnął naród wiarą, rozpadłe siły powiązał, zapalem swym je ożywił i powiodł ku zwycięstwu!

— Za późno. Fala idzie...

— Rozbije się o granit oporu.

— Tama spróchniała: rzekłeś...

— Duch odradza...

— Spróchniałość grobom przynależy.

— Żywie jeszcze naród!

— Niech udowodni.

— Wodza trza, któryby one żywotne promienie związał — któryby dowód ten ujął jako szablę w rękę... Troska serc szukających — w dzisiejszej pograży — dumą przebiega żywot nieboszczyka króla: jego powagę u postronnych — zwycięstwa świetne nad Moskwą — jego dalekobiegle, bohaterskie plany — jego wreszcie tak śmiałe wskazanie buntu krzywdzonym... i z myślą o tym duchu — rosnącym, gdy nas odszedł — ku tobie zwraca się... Lwie Aleksandrze — schylił się ku siedzącemu.

— Zawołałeś mię na pamięć krzywd...

— Na pamięć ducha tamtego! Zdecyduj się — żebrał.

— Do planów tych nie przyłożę ręki.

— Kraj w niebezpieczeństwie. Ostawiony błędnemu sterowi, na zgubę pewną przyjsć musi. O całość wszystkiego idzie.

— Całość ta nic mnie nie porusza.

— Czyż obcym ci ten kraj? — sprostował się opat.

A Kostka w dalekiem zapatrzeniu:

— Jest mi ten kraj, jak morze widziane z brzegu... Słyszę jeno szum powierzchni — i jęk rozpaczny głębi. Inne ja mam zamierzenia...

Opat zbliżył się z żywością.

— Rozumiećbym je pragnął...

Kostka obrócił nań wzrok zamyślony:

— Wmość jesteś szlachcicem... To żadną miarą tego rozumieć nie możesz. Chyba... kiedyś — złagodził.

Zaczem wstał i podszedł do okna. W zadumie patrzył na światła zachodu.

Opat chodził z pochyloną głową wzdłuż komnaty. Po chwili zatrzymał się obok Kostki.

— Rzekłeś Wmość na wstępie — zagadnął — że masz ludzi z pod Tatr, i że stamtąd od granicy jedziesz. Wybacz Wmość, iż spytam ciekawy, co-ć tamtą stroną wiodło? A jeśli i to jest tajemnicą...

Kostka wyciągnął do opata dłoń.

— Nie chowajcie urazy... Są rzeczy, które dziś wydać się mogą szalone. Nadto głęboko w przesądach stanowych tkwimy. Nawet ci, którzy stanu swego zgniłość i spróchniałość widzą. Zadość wystarczającą wydaje się im naprawa. Przed zepchnięciem trumien w grób, zawadzaających rozpędowi życia, cofnęliby się ze strachem. Oto dlaczego...

— Nie chowam żalu — rzekł opat i uściśnął serdecznie dłoń Kostki.

— Pytasz Wmość, co mię stroną tamtą pro-
wadziło?... Aby odpowiedzieć szczerze, muszę
wrócić do lat ubiegłych, których chcę zapomnieć,
a które mię wzruszeniem wołają — do czasu me-
go chłopięctwa. Będąc przy dworze, jeszcze za
Zygmunta, widywałem na pokojach i w dziedziń-
cu zamkowym różnych ludzi, swoich i obcych,
w strojach cudzoziemskich i w kontuszach —
cały barwny korowód, oczy chłopca wszędobyl-
skiego ciekawiący. Nieraz, pomnę, zaczajałem
się w kurytarzach, aby przyzierać się ludziom,
do kancelarji króla zdążającym. — I wtedy to
tam zobaczyłem górali z pod Tatr... W swych bia-
łych, obcisłych strojach, topolowo rośli, o twa-
rzach orlich i oczach — choć z prośbą przycho-
dząc, jacyś władno=nakazni — wydali się mi he-
rosami z bohaterskiej baśni. Wierzyć nie chcia-
łem, kiedy mi mówiono, że to chłopci, poddani
króla. Wymarzyłem sobie ich rasę białą, nad-
ludzką, na wysokiej, słonecznej dolinie, zamknię-
tej białymi wieżycami Tatr, panującą. Śniłem
o nich po nocach — z ich postaciami łączyłem
moje młodociane plany — zostali mi też głęboko
w pamięci. Gdy więc nadszedł czas, kiedy w mę-
ce myśli, już dojrzałej, wykwitły plan trzeba
było na ziemi i przez ludzi począć wykonywać —
ku tej dolinie wysokiej, ku tym herosom śnio-
nym ufność mię pchnęła. Pomyślałem: jeśli przez
ten lud osobliwy nie sprawię, co przedsięwzię-

łem, to przez żaden inszy. I oto tam skierowałem kroki...

Umilkł, zapatrzony w zachód, a oną ziemię wysoką i Tatry białe — jak zjawione zakłębciem — widzący. Zaś opat, czując wagę zapoczętych zwierzeń, ze drzeniem czekał dalszych wypowiedzi...

Nie wysłuchał nic z onych. Młodzieniec, przeniesiony myślą na Podhale, majaczyć począł do światła:

— W męce lat piastowałem sen mój, nim się wolą nie zrumienił, by urósć w czyn. Czynowi, wypieszczonemu krzywdą, ramię poddam, podłożę ducha całego. Niechaj się stanie. Uderzę surmą o skały — śpiące zbudzę — Bolesławowe zastępy wywołam... Wylecą orłowie biali — załopotają skrzydłami. Szum się poniesie — polecą wieści budzące. Wici po górach zapłoną — zorzą do szyb zaświecą. — Ockną się ludzie w chatach — oczy w zdumieniu przetrą — wyjdą jak z grobów na światło, prawdziwie z martwych powstałi...

Stojącemu w oknie odbłask zorzy zachodu spłomienił oblicze — koroną ogni krwawych siadł na włosach.

*

Na drugi dzień rano Kostka, już na wyjeździe, poprosił opata o inkaust i pióro. Skreśliwszy przy stole zdań kilka, podał rękopis opatowi.

— W podzięce za gościnę — rzekł.

Opat przeczytał:

„Ja niżej podpisany zalecam, aby ten konwent tyniecki ze wszystkimi wsiami wcale nienaruszenie zostawał od przechodzących żołnierzy, pod komendą naszą będących, a to pod utraceniem gardła, ktoby się inaczej śmiał poważyć“. (Toż samo po niemiecku.) „Dan w Tyńcu, w maju 1651 r. Aleksander Lew ze Sternberku“.

Przeczytawszy to, obrócił oczy zdziwione na Kostkę. Poczem, uścisk żegnalny dodając, rzekł:

— Jakiekolwiek są zamierzenia Wmości... wiem, iż zrodzone z prawdy serca. Przeto niech Bóg im pomaga!

V.

Tymczasem na Podhalu hyr po dziedzinach szedł o „pułkowniku królewskim“, który miał władę skazanych wyrokiem hersztów od drzewa śmierci odjąć.

Którzy byli obecni przy niedoszłej egzekucji w mieście, szeroko rozpowiadali o wydarzeniach dnia onego. Jako na wzgórze za miasto skazanych wyprowadzono; jako katowie sznur już gotowali; jako już żadnej nadziei dla hersztów nie było.

Jako wtedy zjawił się, niby anioł z nieba, ów nieznany nikomu młodzieniec, jako pułkownikiem królewskim się ozwał, egzekucję wstrzymał i hersztów zdrowiem salwował. Jako prawo musiało się przed jego powagą ugiąć; jako landwójt, rad nie rad, musiał od wykonania wyroku odstąpić; jako nawet sam pan podstarości skłonił głowę swą siwą przed wymogą władną pułkownika. A potem przemowa jego do narodu...

Tu się rozchodziły opowieści świadków; — różni różne rzeczy przytaczali. To, że Tatarzy

mają w Polskę potęgą całą wpaść, i naród wszystek powołany, aby im stanął tamą. To, że Rakoczy zdradziec chce z Węgier sięgnąć po Kraków: przeto lud górski skrzykuje się ku obronie granic. To, że król we Warszawie, więziony przez możnych panów, odwołuje się przez pułkownika swojego do chłopów; co na Podhalu, gdzie król był uważany za jawnego lub skrytego przyjaciela ludu, chętny znajdowało odzew. To wreszcie, że taki czas nadszedł, iż naród chłopski, dotąd ciemiężony, ma wszelakie wolności otrzymać.

Szerzyły się i krzyżowały w powietrzu one wieści, a ponad niemi dzwoniło imię „królewskiego pułkownika“, obrońcy chłopskich swobód. Postać jego, w opowiadaniach wyobraźnią prostą przybierana, rosła w baśniową zjawę.

— Strój ma spaniały. Na kapelusie pióro rajskie, diamentową spinką przytwierdzone. Szabla kamieniami drogiemi sadzona, śrybne u butów ostrogi. Blask idzie odeń. Oczami jak popatrzy, to serce ustaje bić: taką ma we spojrzeniu władzę. Wyrostu je niedużego, ale jak pocznie przemawiać, to się widzi: do obłoków rośnie...

Potęgowano tajemniczość onego pułkownika i to, że niespodzianie zjawił się — tak odbijający — na Podhalu, i nagle znowu zniknął, niewiadomo, gdzie.

— Nie pułkownik to zwykły być musi — szepotali ludzie między sobą — ba może jaki bliższy zaufany króla, przezeń tu do nas wysłany,

aby się wywiedział, czy w razie czego damy za niego swoje zdrowie, abo też może i sam królewicz, kto wie... co między naród prosty zstępuje, by się dowodnie przekonać o wszystkich krzywdach i cięśństwach, aby potem wiedział, jak sprawiedliwie rządzić.

Niedługi uszedł czas, a urosła już legenda o pułkowniku.

Ze wszystkiego pomieszania naród rozumiał coraz wyraźniej to jedno: że trza się stroić, trza być w gotowości. Co padnie. A już słyszano — podawano sobie z dziedzin do dziedzin tajemnie — że odkaz cichy do pogotowia powszechnego dał sam marszałek Łętowski.

Więc kto jeno czuł się w sile, a miarkował, że czasu gorącego, gdy nadejdzie, w izbie nie usiedzi — ciupagę hartował, strzelbę czyścił, kierpce na zapas szył, sery i placki babom spsobić kazował.

Kto nawet, nie wchodząc do chałup, z zewnątrz pod ten czas Podhalowi uważniejby się przyjrzał, łacwo dałyby mu się uwidzieć oznaki powszechnego na jakąś odmianę czekania i gotującego się poruszenia. — Choć już wiosna, krótka na tej wysokiej dolinie, była w pełni, niktó się jakoś nie śpieszył do pola. Tu ówdzie ziemia czerwieniła się posianemi lub zoranemi świeżo zagonami — ze rzadka widzieć się dało na polu oracza — przeważna część pól płowiała nieruszaniem tłokami; co, przy znanej gorączce wiosennej górali, dziwnem i niezwykłym było. —

Nawet wypęd majowy owiec na hale, o całe dwa tygodnie przyśpieszony, nie miał tej wiosny takiej wagi, jak po insze lata. Poszły kierdele z juhasami młodocianymi, bez otrąbień, jakby na bliżkie pastwiska.

Natomiast jarmark lub odpust, gdy się temi czasy zdarzył, tłumniejszy był o wiele i huczniejszy o sto, niż zazwyczaj. Młodzież, zwerbowana w mieście lub gotowa do werbunku, piła hucznie na ochotę: noce jęczały śpiewami przelewnymi lub zgiełkiem próbnych bijatyk.

Słysząc też było o niezwykłym wzroście drużyn zbójnickich, lecz — co dziwniejsza — ani o jednym znikąd przez onych napadzie. Wieściom o ich potędze, dochodzącym z lasów, najchętniej młodzież ucha podawała. Starzy zaś, czując, co się święci, schodzili się na ważne posgvary, a gdzie powagą sołtys był, do niego szli na urady.

W Czarnym Dunajcu na sołtystwie drzwi się nie zawierały. Szli ludzie z zaufaniem do Marszałka z oddalnych wsi, nawet od Szczawnic, Krościenka, pytać się, co czynić mają. — Łętowski zbywał ich półtajemniczymi słowy, co wagę chwili tem bardziej w rozumieniu ich utwierdzało. — Głosili się też doń gęsto, przez pana Zdanowskiego odsyłani, młodzi junacy, chcący się zwerbować. Tych, po wpisaniu na listę, odsyłał sołtys do drużyn, które się podług zarządzenia pułkownika pod wodzą onych zwolnionych harnasiów, Czepca i Sawki, formowały.

Wieczorem zaś, nieraz do późna w noc, odbywały się w domu Marszałka urady, do których niewiele osób przypuszczano. Brali w nich jeno udział prym na Podhalu dzierżący sołtysi i ważniejsi z okolic gazdowie.

Narady owe częste u Marszałka, jako i wstające wrzenie wśród młodzieży, nie uszły uwagi księży, którzy też kazania ostrzegawcze poczęli z ambon głosić, a odwiedzać się w sąsiedztwie i naradzać między sobą, czyby nie było wskazaniem o owych niepokojących oznakach władze najbliższe przestrzec.

Jednego dnia do pana podstarościego do dworu przyjechał pleban ze Szaflar. Gdy go pan Zdanowski, witając w progu po obyczaju serdecznie, do bawialni prosił, zrobił tajemniczą minę i oznajmił, że ma ważne bardzo rzeczy do zakomunikowania. Gdy więc gospodarz pociągnął go do swej ubocznej izdebki i, usadziwszy na kanapie, spytał, coby miał takiego do rzeczenia, tedy ów począł:

— Przychodzę z oznajmą rzeczy, jakie się jawnie dają postrzec, a które najwyższym niepokojem umysł i serce, dobrem ogółu przejęte, poruszają. Oto jakby jakiś bies między naród prosty wszedł — iż odmienił się przez czas niedługi do dziwu. Parafji swojej poznać nie mogę. A słyszę od sąsiadów, że i u nich to samo. Zmowy jakieś podejrzone, zebrania, narady, stronienie od plebanji — wszystko to wielce zastanawia. Roboty teraz w polu — nikt jakoś się nie śpieszy.

Jakby na coś ważnego czekano. Młodzież po karczmach pije — dzień ode dnia, nocami hołofy, krzyki, noszenie się po wsi ze śpiewami — a słyhać, ten i ów z prymniejszych przymyka do drużyn jakichś, które się po lasach tają. Coś niedobrego się przygotowuje. Oby Pan Bóg nie dopuścił, patronowie święci swem wstawiennictwem przemienili. — Może Wmość pana już doszły słuchy o onym po wsiach niepokoju. Ja uważałem za obowiązek swój, jako bliski sąsiad i powinny wobec dobrodzieja mego, przestrzec zawczasu, nim zło się nie wzmoże. Co Wmość sądzi o tem — jakie kroki przedsięwziąć dla utłumienia niewiadomego nieszczęścia — co czynić?

Pan Zdanowski na to jakby nigdy nie:

— Napije się dobrodziej wiśniaku?

— Napiję się, owszem, ale chciałbym przódy...

— To, co mi tam ksiądz bajdurzysz — wpadł tedy pan Zdanowski — to, wybacz Jegomość, wróble o tem pod strzechą wiedzą. Bo cóż w tem osobliwego? Starzy radzą — mają czas. Zaraz tam jakieś zmowy! Młodzi piją, śpiewają — to zawdy czynili. Przystaną, jak się ustatkują. A że ich natura krzepka do lasu ciąga — nie dziwota. Pojunaczą i wrócą do ożenku.

— Gdybyż to moje tylko postrzeżenie — opamięnowując urazę, podjął pleban — nie wygłaszałbym się z tem, by mi omylności płoczej dla poniżenia szaty duchownej nie przydano. Ale to samo twierdzą również i księża sąsiedzi...

— To samo twierdzą, no więc nic nowego. Zwyczajne rzeczy i tyle, jeno je strach niewczesny w kolorach niezwykajnych widzi. Ja tu, księżę dobrodzieju, codzień mam liczną procesję ludzi — to z tem, to z owem przychodzą — a nic szczególnego w zachowaniu ich nie postrzegam.

— Twierdzą — ciągnął niezrażony pleban — którzy pamiętają żywo rebelję, że właśnie podobne oznaki poprzedzały dni wybuchu.

— Ba, ba! głupstwo wierutne. Wówczas była przyczyna — starosta ździeca był w mieście. Dziś przeciw komu byłaby ta rebelja? przeciwko mnie? który jestem zapanbrat ze sołtysami...

— Dużo właśnie daje do myślenia, że u sołtysa w Dunajcu, zwanego wszechnie Marszałkiem, odbywają się narady tajne, w których biorą udział znani z lat rebelijnych buntownicy.

— Wolno mu gościć ludzi w swoim domu.

— Powiadają, że z drużynami się znosi, że je gęsto ludźmi swoimi zasila...

— Sprawy to werbunkowe. Oddziały owe formują się na zarządzenie pana pułkownika.

— Dziwnem to właśnie się wydaje i wielce zastanawia, że owa cała po wsiach, spokojnych przódy, odmiana i tajne po domach spiskowania zaszły od czasu, gdy ów pułkownik tu się w mieście zjawił...

Pan Zdanowski poderwał się żywo, zapezrzony:

— Co Wmość?... Co ksiądz znowu... Co za podejrzenia, plotki?...

— Ja nic — cofał się pleban. — Powtarzam jeno to, co w opinjach zebrań dekanalnych dało się słyszeć.

— Tam to widać spiski prawdziwe się czynią, a to przeciw obronie państwa i powadze króla J. Mości, podkopywanej w osobie pułkownika jego. Robota to, mimo może intencyj najlepszych, szkodliwa. Boć wiadomem jest, jakie niebezpieczeństwo grozi od tej ściany. Za poduszczeniem Chmielnickiego, gdy wszystkie siły wyszły do obozu, Rakoczy łącno może pokusić się o Kraków. A pan Platemberg, czorsztyński starosta, żadnej obrony nie zarządził, nawet zamków granicznych — słyszę — nie opatrzył, odbieżawszy je lekkomyślnie. Cóżby było, gdyby Rakoczy nagle wpadł od Węgier? Strach pomyśleć. Bogu dzięki i przewidującej trosce króla J. Mości, że posłał pułkownika swego, aby obronę zarządził. A nie znalazłby lepszego wśród setek dla onego zadania pilnego. Ledwo zjawił się — już naród poruszył, werbunek tłumny ogłosił, a teraz na Śląsk pomknął zaciągi poczynić. Ino patrzeć, jak wnet siła stanie. I zamiast wdzięczności dla onego, prawdziwie jak z niebios zesłanego zbawcy, który o bezpieczeństwie naszym myśli, jeszcze podejrzenia niskie... To już za prawdę jakieś czartowskie mamidła. Ani mi ksiądz z tem nie przychodź, bo mię kolera bierze...

Rozstali się też niebawem wcale ochłodle. Nawet pan Zdanowski nie odprowadził podług

zwyczaju gościa na przedgancze. Zawrócił z sieni do bawialni i ciskał się po izbie, wyfukując gniew.

— A to mi!... patrzcie, co to zazdrość ludzka. Że lud ku niemu z całą ufnością — zaraz bunt, zmowa. Od plebanji stronią? Juści... Chłop czuje swych przyjaciół. Wejdz ty jeden z drugim w jego kłopoty, poradź, stań przy nim obroną — a obaczysz. Rękami cię czarnemi na czoło wyniesie — serce wdzięczne podłoży...

Weszła Zofja. Obaczywszy onego alterację niezwykłą, zatrwożyła się.

— Co wujowi?

Pan Zdanowski rozpogodził się odrazu.

— Nic, nic królewno moja. Zirytowali mnie. Głupstwo.

Panna Zofja pokręciła się po izbie.

— Cóż ja to chciałam zapytać... Czy wuj przypadkiem nie ma wieści od pułkownika?

— Cha! cha! przypadkiem... — rozśmiał się rumieńcem panny. — A zdrajce oczywiste liczko zbarwiły...

— Ludzie się on zwiadują — rzekła w pomieszaniu.

— No, no, nie tłumacz, serce — począł do brotliwie. — Wszystkich on nas tu oczarował, ten piękny pułkownik. Wszyscy za nim tęsknimy, za wyjątkiem chyba... ale o tych tam... Nawet ja stary nie uszedłem, widzisz, onych uroków. Jakby mi co zadał. Przyznam się otwarcie: pokochałem go, jak syna. I jeżeli to w wyrokach

Boskich, nie życzyłbym sobie dla królowny mojej lepszego nadeń obrońcy...

Panna poniżyła się do ręki starca. On też ze wzruszeniem ucałował róże jej czoła.

— Szczęśliwy zamknąłbym oczy, że przyrzeczenie, dane rodzicowi twemu...

Roztajał w sercu. By otężyć, przeszedł po izbie parę razy, strzepując chustką łzy z powiek.

— Wieści wprost odeń nie mam. — Lecz to wiem, że bawił w Tyńcu u opata, poczem na Śląsko udał się dla poczynienia zaciągów. Miesiąc już minął od jego wyjazdu. A tu się nie wiele tymczasem zrobiło. Sawka, Czepiec, zapadli gdzieś, ani o nich słycho. Coś tam pono żywiej Łętowski w Dunajcu się rusza, trzebaby mi się z nim zetknąć — a tu sprawy gospodarcze jedna za drugą zachodzą, dnia niema wolnego, by się poza dom wychylić. Mówią, że tam gdzieś po wsiach jakieś skupiska, narady — ale co to — rezultatu żadnego nie widać. Trzebaby coś przedsięwziąć... Każ mi też, serce, zawołać pana Stanisława.

— Pana Gosławskiego niema u siebie.

— Gdzież on?

Panna Zofja wzgardliwie wzruszyła ramiony.

— Tam, gdzie zwyczajnie: u Węgra.

— Zaopuścił się od jakiegoś czasu...

— Co gorsza, w jakieś dziwne towarzystwa się wdał. Włóczy się za nim. Tu nawet do oficyjn zachodzili — postaci obce, nietutejsze... Miałałam już dawno wuja przestrzec. Niech wuj za-

wezwie go, rozmówi się z nim w cztery oczy. Ja nie mogę — nie chcę go widzieć.

— Hm... no tak... rozumiem...

Pan Gosławski rzeczywiście dni całe i nocy większą część spędzał w gospodzie Węgra. Zrazu niby służbowo, jako pozostawiony w mieście oficer werbunkowy, lecz wnet urzędowanie owo przeszło w stateczne pijaństwo. Już od rana nie trzeźwy, plątał się po szynkowni, przysiadł się do towarzystw, jakie się zdarzyły — a że zaczepny był i prędko urażliwy, przychodziło nie raz do awantur słownych i bijatyk, przyczem trafiło się, iż poturbowanego siłą wyrzucono na ulicę. — To było w czasie, gdy borgiem trwał; gdy i gospodarz lekcewał jego wiatrem podszytą kontuszowość.

Nagle, niewiada, jakim cudem, odmieniła się fortuna. Począł rzucać pieniędzmi, począł płacić, — nieraz całej karczynie stawiał, ktoby jeno był. Tedy zbiegano się z miasta — hucznie było — na rękach go noszono. A on cyganów sprowadzał, grać im kazał, pił i hulał do upadłego.

Były znów dni, gdy zamykał się w bokówce i pił samotnie, na umór. A wzdychania jego ciężkie i desperackie: „Gorze! gorze!...” wydzierały się na izbę szynkowną.

W takich chwilach, odwagą pijacką pobudzanym, postanawiał stanowczo z Zofją się rozprawić. Lecz gdy do dworu powracał, słabł w zamiarze, albo też nie mógł jej w osobności spotkać. Widocznem było: unikała go.

Nareszcie raz, gdy wracał z oną mocną postawą z miasta, napotkał ją przy furcie ogrodu. — Na powitanie skinęła mu głową i chciała go wyminąć. Zastąpił jej rezolutnie.

— Jedno słowo, panno Zofjo, jedno słowo...
Zmierzyła go zgóry oczyma.

— Jeżeli waćpan masz co do mnie, to proszę do dworku. Wuj też czeka, dawno za waćpanem posyłał.

— Na miłość Boską! — złożył dłonie. — Czy waćpanna nie widzi, co się ze mną dzieje?...

— Widzę, że Waćpan winem podniecony...

— Piję, bo muszę, bo mię rozpacz szarpie, bo szaleństwo mózgu się ima...

— POCO tu nadużywać słów. Skłonność to raczej zgubna, z którą walczyć trzeba...

— Panno Zofjo! Czyż godzi się za moje służby wierne, tyloletnie...

— Czegoż właściwie waćpan chcesz?

— Litości!

— Lituje się nad waćpanem, gdy go w takim widzę poniżeniu...

— Słowem jednym możesz mnie wydobyć, jak duszę z czyścica... Wybaw mnie! — runął przed nią na kolana. — To słowo jedno rzeknij...

— Powstań waść.

— Nie odejmuj nadziei...

— Nigdy żadnej nadziei waćpanu nie czytałam — nie rozumiem...

Ruszyła ramiony i odwróciła się, by odejść.

— To tak?... — podniósł się. — Wiem ja, kto wkradł się zdradnie w zaufanie waćpanny. Człek niewiadomy, kto wie, jakiej kondycji... Ale ja się potrafię zemścić. Niech się strzeże!

Spojrzała nań wzgardliwie przez ramię.

— Litowałam się nad waćpanem, — a teraz pogardzam nim. I nie chcę go widzieć. Słyszysz waćpan? Nie chcę go na oczy widzieć.

Zastąpił jej we furtce.

— Puść mnie waść! — odepchnęła go, aż zatonął się na sztachety, i pobięła przez ogród do dworku.

VI.

Kostka zostawił na Śląsku Chowańca, aby rozproszone zaciągi pozbierał i na Podhale je przywiódł, a sam z Orawcem Jaśkiem ruszył pod koniec maja ku Tatom.

Po drodze zatrzymywał się w ważniejszych pogranicznych miejscowościach górskich, jako to: w Wiśle, Istebnej, Milówce, werbując Podhalanom pokrewnych górali.

Tak przybył dnia jednego pod wieczór do Żywca i stanął na noc w gospodzie. A że na drugi dzień jarmark był w mieście, z dużym ściąganiem górali okolicznych, polecił obębnować warunki werbunku — a iż, ktoby chciał, aby się doń do gospody głosił.

Wszedłszy rano na rynek, obaczył tłumne zbiegowisko, otaczające lirnika. Dziada z poza głów tłumu nie mógł dojrzeć — słyszał jeno w przestankach brzęk liry i głos donośny, który rozpowiadał:

— Schodzilech dalekie kraje, slyszalech, co wróżą wróże, co pustelnicy, od Boga wiedzący, przepowiadają...

— Podniosą się doliny przeciw pagórom, uboży przeciw bogatym, niewolni przeciw panom. Nastanie wojna okrutna, jakiej świat nie widział...

— Wspomoże Pan słabą rękę pastuszą Dawida, iż pokona groźnego, w stal odzianego Gołjata. I wyprowadzi Bóg z prostego ludu hetmana, a możnych upokorzy, iż mu strzemię przytrzymywać będą...

— Narodzie biedny, słuchaj! Już dudni ziemia od wschodu, zbliża się noc zawieruchy... Kto noc tę prześni w chacie, dzień trupem go zastanie...

— Gotuj się, narodzie biedny! Bóg posyła ci orędzie mściciela...

Kostka, zdumiony wielce słowom onego lirnika, począł rozgarniać tłum, by go naocznie obaczyć. — Ustępowano mu skwapliwie: ciekawość tłumy ku niemu się skierowała. — Skoro tylko dziad postrzegł kapelusz z piórem poprzez głowy, zmienił zaraz przygrywkę i począł śpiewać chrypliwie „pieśń o leśnym bednarzu“.

Mógł mu się teraz Kostka przyjrzeć. I on też lustrował go jednym okiem; drugie miał przewiązane; włosy rozwiane, brodę siwo-rudą. Z pozoru — zwyczajny lirnik odpustowy. Lecz owo oko jedno patrzyło nadto śmieie, a ogień jego ciemny nie mówił o starości.

Zdało się w pewnym momencie Kostce, jakoby ów dziad nie dziadowski, ciągnąc chrypliwie nutę pieśni, okiem tem przemawiał doń porozumiewawczo. Z niesmakiem przeto oddalił się rychło, przyczem zauważył jakieś karty ulotne wśród ciżby.

Powrócił do gospody. Gdy zrzucił płaszcz, kilka kart białych wypadło na podłogę. Podniósł je, zdziwiony — były podobne tym, jakie w tłumie na rynku zauważył. Jakaś ręka tajemna musiała mu je do płaszcza, gdy o ciżbę się ocierał, wsunąć.

Były to odezwy jedno-brzmiące. W poruszeniu najwyższem odczytał:

„Bohdan Chmielnicki, wiadomo czynię wszystkim poddanym korony polskiej, że za szczęściem i błogosławieństwem, od Pana Boga nam danem, pod moc i władzę naszą podbiwszy ziemie teżże korony polskiej, uwolnić was wszystkich obiecuję od ciężarów i robocizny. Będziecie tylko na samych czynszach we wszelakich wolnościach, tak jako szlachta byli, tylko żebyście nam wiary, jako ruscy nasi poddani, dochowali, panów swoich żebyście opuszczali, przeciwko nim powstawali i do nas się w jak największych kupach gromadzili“.

Odczytawszy to, Kostka za głowę się chwycił.

— Piekło! piekło!... Czegom się właśnie obawiał... W okropny to sposób podcina mój plan.

Począł po izbie chodzić w podnieceniu.

— Tak, jakbym jego planom szedł na rękę — dla niego czynił... Bo tak to istnieje wygląda... Czy lud pojmie, zrozumie różnicę?...

W ciężkiej udreće myśli opadł znów na ławę.

— Co czynić, by zapobiec... Czas niepomierne krótki.

Począł spojrzeniem wewnętrznym obejmować rzecz — łączyć dalekie z bliskim — rachować siły sposobione...

Wyszło mu na oczy jawą, jako oparcie jedyne — wyspa skalna na morzu niewiadomych sił, gród niepołomny — Podhale...

Oteżał w sercu.

— Zastępy czynić, siły krzesać. Zawieruchę — zawierusze, piorun — piorunowi przeciwstawić!

Zabrał się raźniej do poczętej pracy.

Jednak, gdy, siedząc przy stole, układał werbunkowe listy, przed myśl nasuwał mu się natrętnie ów uniwersał Chmielnickiego.

— Straszny to człek, gdy aż tu ramiona jego podpalające sięgają. Wartoby sprawdzić, w jak dalekim promieniu owa agitacja się szerzy. Ów dziadłirnik na rynku coś o tem musi wiedzieć. I tu zapewne on nie sam. Owe rozrzucone karty...

W pewnej chwili doleciał go hałas gwałtowny z dziedzińca.

Wypadł z izby obaczyć, co się dzieje — i oczom jego przedstawił się taki oto obraz:

Jasiek Orawiec, który miał rozkaz wartować przed gospodą i werbujących się do pułkownika przepuszczać, starał się wypchnąć za bramę dziedzińca jakiegoś człeka obcego, o żebraczym odzieniu, jednym oku a siworudej brodzie, w którym Kostka poznał odrazu lirnika.

Napróżno jednak Jasiek, mimo swej siły niezwykłej, mozolił się z nim.

Ów dziad stał rozkrzyżowany w bramie, niby pień w ziemię wrosły o dwu żyłastych ramionach, i nie dawał się wyważyć.

Jaśkowi żyły na czole nabrzmiały, wstyd go pobudzał.

— Coż ty se myślisz... mnie się opierać? — mówił, dysząc. — Ja cie tu wnet panie święty...

Zobaczywszy Kostkę, puścił owego człeka i jął przedkładać:

— Do J. W. pana pułkownika się napierał. Powiada, że ma interes. Jaki dziad może mieć interes?... Mówię mu: odejź! — A ten nic, ino się pcha i jeszczeby się stawiał! To jakaś potwora dziwna — dodał ciszej. — Sił ma za trzech chłopów, a dziad je. Takie dziady u nas nie bywały. Czy nie śpieg jaki...

Kostka skinął na obcego, który kłaniał się od bramy, a Jaśkowi rzekł:

— Gdyby się kto głosił, to zatrzymaj i nie wchodź, aż cię zawołam.

Poczem skierował kroki swe do sieni, a dziad za nim.

Jasiek stał zadumiały, nic nie wiedząc, co o tem sądzić. Nie mogło mu się w rozumie pomieścić, żeby pułkownik, miasto wyjechać na dziadzie...

A Kostka, znalazłszy się w izbie, wpadł na przybyłego za nim, który zatrzymał się u progu.

— Czego żądasz? Kto jesteś?

Dziad skłonił się z udaną pokorą.

— Lirnik, panie.

— Kłamiesz. Słyszałem cię na rynku. A oto — pokazał — manifesty, które rozrzucasz. Sprawa krótka. Każę cię zakuć w dyby!

Lirnik wyprostował się.

— Nie zrobisz Wmość tego — rzekł.

— A to czemu?

Gość szybkim ruchem zdjął brodę i przesłonił z oka. — Przed zdumiałym Kostką stanął junak dorodny.

— Stasienko!

— Jam ci jest. Czy każesz mnie, towarzysza dawnego, kuć w dyby?

Kostka, w pierwszym poruszeniu serca miał rzucić się z uściskiem ku niemu, lecz po słowach onego opanował się. Rzekł zimno:

— Właściwie rzeczy to nie zmienia. To, co w tem przebraniu dla pogrążenia mej ojczyzny czynisz...

— Jesteśmy na jednej drodze...

— Cóż ty o drodze mojej możesz wiedzieć?

— Czyż nie buntujesz chłopów przeciw szlachcie?

— Tworzę z bezwładu siłę nową naprzeciw... Zresztą moje zamiary nie są dość lekkie, by je wiatrom powierzać.

— Jak bądź, nie powinniśmy być wrogami.

— Nie był mi wrogiem twój ataman, dopóki możnowładców wojował. Lecz teraz, kiedy całości mojej ojczyzny zagraża...

— Krzywdą cię karmiła ta twoja ojczyzna...

— Krzywdą jest moją. Nikt poza mną nie ma prawa w jej imię... — rozgorzył się.

— Ja też w imię krzywd mego ludu...

— Czyż ta ziemia go skrzywdziła? Skąd masz prawo siać tu oto takie rzeczy — machnął w powietrzu manifestem — nadużywać goryczy ludu tego dla swoich celów?

— Prawo wojny...

— Bądź szczęśliw, że ta wojna nie jest na przecięciu moich myśli-błyskawic, i że wspomnienia z lat dworskich...

— Ja też — podjął ów skwapliwie — z zaufaniem do ciebie się odniosłem, pomny tych chwil, gdyśmy to na dziedzińcu zamkowym w palcaty się bijali, a wieczorami...

— Złuda to senna — przeciał Kostka.

Przetarł dłonią czoło, usiadł. Stasiencie wskazał miejsce naprzeciw. Przyglądał się mu.

— Dziwno mi, że w takiej oto sytuacji... Długą uczyniłeś w tak krótkim czasie drogę: od pałacu dworskiego do rebelji...

— Poszedłem za snem swoim.

— A tak, pomnę: śniłeś sławę kozacką. Lecz to...

— Jak ty owych herosów białych. Znalazłeś ich —

— Znalazłem. A cóż opiekun twój?

— Pan wojewoda kijowski? Cóż — boleje i płacze. Nie dla jego kompromisowej natury to czas. Mówi: jakby mu duszę napoły przecięto... Tu cerkiew, lud swój, rodacy — a tu Rzeczpospolita. Na rozdwoju, na wadze, jak na krzyżu rozpięty — ani w tę, ani w tę stronę nie może się przechylić.

— A ty, widzę, nie ważyłeś...

— Rzeczpospolita, poznana od środka, nie mogła, przyznasz, dla gwałtownego krwi pociągu stać się przeciwną wagą. Ta twoja Rzeczpospolita szlachecka...

— Moja Rzeczpospolita jest we mnie.

— Wybacz, nie chciałem cię urazić. Nie wiem, nie rozumiem twych zamiarów. Co do mnie, widzę naprzeciw siebie stojące: młode, wyzwalające się, rozpętane życie — i hałaśliwą, buńczuczną trumienność. Wybór nietrudny. Ta Rzeczpospolita...

— Gdy mowa o całości, to wiedz: mocniejsza ona, niż się z pozoru wydaje. Ma siły ukryte w głębi, mogące się śmiało przeciwstawić onemu, jak go zowiesz, wyzwalającemu się czy rozpętanemu żywiołowi. By je tylko wczas zbudzić...

— Ja sił tych nie postrzegam. A te, które się dają objąć okiem, starczą na kondukt pogrzebowy Rzeczypospolitej.

— Za pewna siebie pewność.

— Rachunek prosty. Możemy odrazu sprawdzić. Ile król może wojska swego postawić? Marne 12 tysięcy. Do tego zebrać musi stany o pieniądze na zapłacenie zaległego żołdu. Wiesz, co się dzieje pod Sokalem? Bunt wśród kwarcianych chorągwi. Pospolite ruszenie? — to piasek, od lada wiatru zależny. A Chmiel dziś — to potęga! U niego w namiocie beczki złota na zapłatę sprzymierzeńców. Tupnie — i krocie tysięcy wyrastają, jak z pod ziemi. Czarownik on prawdziwy.

— Wiem o tem. Widzę rozrost żywiołu, niby powódź — i widzę spróchniałość tamy...

— A czy wiesz, jaki pierścień żelazny dookoła was powstał?... Otóż słuchaj. Zawarty ścisły sojusz z hanem, umowa z Portą, z Moskwą, z wojewodą multańskim Bassarabą, z Rakoczym siedmiogrodzkim, z baszami Sylistrji, Budy, z murzami nogajskimi... Z pół miljonem wojska Chmiel wyciągnie. Rakoczy wpadnie z boku od południa — a ja cały pułk ludzi swoich rozsypałem po Polsce, aby w sposobnej chwili gmach walący się podpalili... Zagłada nieochybna.

— Pożar pożarowi przeszkodzi. Gdyby tylko nadażyć...

— Z czem?

— Mówię tak do myśli swojej...

— Lwie Aleksandrze...

— Zapomniane to imię.

— Wiem, że nienawidzisz tej szlacheckiej Rzeczy tak samo, jak ja. Przystań ku nam. Chodź z nami! Sprawa to już nietylko wschodnich ziem. Urasta w sprawę krzywd powszechnych — zatacza kręgi daleko, gdzie jeno pod stopami czuje ogień buntu. I znajduje zwolenników nawet wśród szlachty zbiedniałej. W Wielkopolsce pomagają mi Kułakowski, Grzybowski — szlachcice. Nawet tu na podgórzu, nawet w samym Nowym Targu wśród twoich ludzi...

— Kłamstwo.

— Chcesz dowodu? Oto jest.

Sięgnął w zanadrze i podał Kostce papier.

— Gosławski?! To już zaprawdę...

Przebiegłszy wzrokiem pismo, podparł czoło znużone. A ów napierał dalej:

— Kostka! Na przyjaźń dawną... Na pamięć onych sekretnych rozmów wieczornych... kiedy to budowaliśmy swoje szczęśliwe królestwa — marzyliśmy o sądzie nad bezprawiem. Dziś ten czas sądu nadszedł. Chodź z nami!

Kostka wstał i rzekł twardo:

— Nigdy! Nigdy lud mój nie będzie u twego ludu w niewoli.

— Któż o tem mówi?

— Oto ten manifest — wskazał.

— A czyż dziś nie w stokroć gorszej znajduje się kaźni? By go z niej wyzwolić...

— O tem on sam pomyśli.

— Hetman mój...

— Hetmanowi twemu, gdy jesteś przy nim radą, powiedz: niechaj krzywd cudzych nie podejmuje. Mogą go łącznie przywalić. A jeśli przez politykę niegodną to czyni — to sam dzieło podcina. Kupić może kilkunastu, kilkuset nawet szlachciców, nawykłych do besserunków, albo ludzi słabych, jak ów Gosławski...

— Nie wszyscy za złoto służą. Wielu deklaruje się z ochoty. Gosławski — no, ten hołysz, przytem hulaka. O pannę ponoć się stara, a raczej o jej majątek, bo Pieniążkówna ma pieniądze...

Kostka gniewem wybuchnął:

— Nie śmieć swym dworskim szydem!... Nie śmieć lekko o onej pannie, której nie znasz...

Ów jął się, zdziwiony, sprawiać:

— Ależ ja ani myśli... Wybacz, nie wiedziałem... Z gorącości twej wnosząc...

— Nic nie wnoś.

— Niechaj więc. Wracając do onego Gosławskiego — człek to jednak niepewny. Równie może iść z tobą, jak i zdradzić. Od niego właśnie miałem wieści o twych ostatnich poruszeniach... Dlatego z umysłu ten kierunek wybrałem, wiedząc, że cię na tej drodze spotkam. Spotkanie owo nasze — mam ufanie wciąż — owocem będzie na przyszłość. I mogą wielkie wyniknąć stąd korzyści dla stron obu. Planów twych to nie poderwie — jakiegokolwiek są — a sądzę, jeszcze im w wielkim stopniu pomoc może. O po-

ruszenie ziem tych chodzi — o ten lud górski, tak dzielny i bitny, prawie że wyjątkowy na obszarze Rzeczypospolitej. Królewszczyzny tu jednak — lud przywiązany do króla, niełatwy. Trzeba też wyjątkowej mocy oddziaływania. Cóż nam Gosławski? Człek mierny — bez znaczenia. Co innego, gdybyś ty...

— Przestań! — warknął Kostka.

— Powiem ci rzecz dużej wagi — już nie od siebie. Hetman gotów byłby podzielić się z tobą władzą. Zostałbyś ziem tych hetmanem...

— Przestań, mówię! Za długo cię słuchałem. A czas mój krótki. Bądź zdrow!

I nie czekając, aż się ów zbierze, wypadł w sienie z wołaniem:

— Jasiek! Siodłaj konie! Ruszamy...

Ruszyli też niebawem, gościńcem w stronę Suchej. — Minęli wkrótce Suchą, Maków, Jordanów, Chabówkę.

Śródwieczerz był, gdy stanęli na przechylnym grzbiecie Obidowej.

W myślach Kostki wieziony czad rozmowy rozwiął się, jak dym zdmuchnięty powietrznym przeciągiem — gdy przed oczyma roztoczył się dolinny kraj Podhala...

Słońce zaróżowione zawisło nad pogórzami Orawy, obsiewając je opylą mgławą, iż tonęły w niej, ledwo czubami lesistemi widne.

W dole bór ludźmierski dymił — tajały w różowych oparach wiosny pola rozbiegłe zago-

nów — ścieliły się długą równią czarnodunajec-
kie łąki.

Naprzeciw — w obrzucie różowego słońca,
ścianą zębatą ku powale nieba wiecznymi śniegi
wydźwignioną, załamami ostremi skrajaną —
zjawą nieziemska Tatr...

Olśniony Kostka ramiona przeciw wyciągnął.

— Kraju mój, kraju! — rzucił.

A Jasiek zaś w milczeniu zszębiałe oczy swe
o Tatry oparł. Znajome upłazy witał — ścieżka-
mi dobrze znanymi ponad przepaści wędrował...

Stali tak chwilę niekrótką.

Znagła poderwali się, jak ptaki w odlot —
powietrzem też na dolinę ku Miastu zlecieli.

VII.

Pod ten czas na sołtystwie u Łętowskiego w Dunajcu zebrało się jednego odwieczora ludzi znacznych grono.

Byli to ci ze sołtysów jakoteż gazdów ważniejszych, którzy radę Marszałka stanowili. Więc towarzysze jego i współwódcy z przeszłej rebelji: Klemens Mientus z Witowa, Grzegorz Dzielski z Działu i Mikołaj Szatanik z Rogoźnika. Sołtysi: Jan Chochołowski, Józef i Jochym Odrowążcy, Melchjor z Długopola, Wojciech Ra-
tułowski i Filip Groński z Gronia. — Dalej gazdowie-chłopi: Krzysztof Nowobielski, Jędrzej Jarząbek z Bańskiej, Staszek z Maruszyny, Wojciech Prokopczyk, Piotr Giela, Szymon Oschen-
da Tatar i Urban Warpetra.

Wszyscy oni już byli w leciech dość znacznie podeszłych, spraw wszelkich bliskich i wielu dalszych świadomi. Niektórzy z nich za panowania jeszcze Zygmunta III piechotnie, i to nie raz, do Warszawy do króla chodzili, aby tam na miejscu przed onym sędzią najwyższym za prawem swo-

jem i swoich krajan mówić. Stamtąd też przywozili przywileje różne, jako ów Jarząbek z Bańskiej, któremu to w kancelarji królewskiej pod jego dyktandem własnem cyrkiel na polanę Żywańska wypisano i pieczęcią u spodku potwierdzono.

Zwołał ich Marszałek odkazem, aby się doń na odwieczarz wyznaczony zeszli; jako słychno, że pułkownik spodziewany wrócił, jest w Mieście i ma w dniu tym na sołtystwie w Dunajcu się jawić.

Bardziej też uroczyściej, niż kie indziej, usposobieni przybyli.

Zasiedli długie ławy pod gładzonymi płazami świetlicy i w powadze, zcicha między sobą pogwarzując, czekali, co im w rzeczy Marszałekowieści.

A on zasię przy stole, czołem na pięści oparty, trudził się nad papierami, które mu pobok siedzący, Klemens Mientus witowski, jako nauczny pisma, wskazem palców tłumaczył.

Nastrojenie było poważne w świetlicy i ciachość — przy sciszonych ze rzadka ozwaniach — jak owo przed ranną mszą w przymierzchłym kościele, gdy wewnątrz ludźmi jeszcze niezajęte, a jeno w ławach pod chórem dziadowie wcześni zasięda.

Z okna, utwierdzonego kratą, przeciskało się światło odwieczorne ponad białemi głowy gazdów na przymierzch świetlicy i z przygasłej czerwieni płazów ściennych wyjawiało wyraż-

niej: żółte szafy limbowe, kwiaty zielonych skrzyń, rok na rzeźbionym sosrębie, rząd złocistych na szkle obrazów, schylonych pod powalą, i rząd onych siwizną srebrzonych, pod ścianami na ławach siedzących postaci.

W pewnej chwili Łętowski głowę z nad stołu podźwignął — po twarzach gazdów wzrokiem rachującym poszedł.

— Wszystkaście? — spytał.

— Wszystka — odrzekł z powagą za wszystkich wysoki, biały Jochym z Odrowąża.

— Otóż, moi mili kumowie i wy przyjaciele nie dalsi — rozpoczął — wezwalech was na dzisiejszy wieczór, abyście w obliczności pułkownika, kie sie ma osobą zjawić, obecnością swoją zadokumencili, jako naród wszystek okoliczny w gotowości jest i jako sie na wezwanie, kiedy sposobność sie zdarza, za prawem swoim stanąć wagował nie bedzie.

— Bo nie! — przyświadczył prędki Szatanik.

— Nie wszyscy onego pułkownika znacie. Niech was to tedy nie dziwuje, jak obaczycie personę młodzieńczą i miernej zgoła postawy, bo ducha jest on nad podziw mocnego, jak to słyszącym go w Mieście podczas onej egzekucji niedoszłej dało sie snadnie uważać.

— Tak, tak! — poparło z gorącością kilku.

— Pułkownikiem sie zwiestuje — ale nie trzeba dużo spraw i ludzi przeznaczyć, by z jego więzienia sie jako i z mowy zmiarkować, iż poza owem pułkownikostwem kryje się coś o wiele wyż-

szego. Nie bagatelną będzie też uwaga, którą ktoś słyszający go w Mieście, a dawniej we Warszawie u króla bywający, podniósł, iż tego pułkownika pacholeciem na zamku królewskim widział.

— I mnie tak się wydało — oświadczył Jarząbek. — Ale upewnićbych nie mógł: lata przecie...

— Jak bądź jest — ciągnął Łętowski — tajemnica to jego, którą zapewne z ważnych przyczyn do czasu jakiegoś skrywa. I nie ciekawość prosta, a ludziom zwyczajna, każe nam w domysła gonić. Nas obchodzi rzecz z tej strony: że jeżeli to prawdą jest, co pozór wszelki nasuwa — że on pułkownik-orle z wysokiego ku nam zleciał gniazda, by nas ku swobodzie pozwać — to za jego poczynaniem stoi ktoś, kto się jawnie odsłonić nie może, bo równie jest skrepowany jak my, i w gorszej może niewoli...

— Niech żyje król! — wykrzyknął Szatanik.

— Za królewską ponoć to poręką, jeżeli otwarcie chcecie, ta sprawa tutaj się sposobi. Ale to ma być do czasu tajonem, pokieli rzecz gruntu nie nabiere, nie wzrośnie w siele widoczna. Nie może król ruchawce dawać i mienia. Sprawa, jeśliby się, broń Boże, nie powiedła, będzie jako bunt sądzona — i król w sądy nie wstąpi. To se niech każdy uważy, na co się waży. Insza rzecz, jak pójdzie dobrze, jak ogień z tej tu watry rozniesie się i na dalsze ziemie, zhartuje w jedno siły — jak sprawa wyjdzie

zwycięską — tedy i prawo przy niej stanie, i król się ku nam przysiądzie. Daleki to skok, ba, kiebyż skok — trud krwawy przez ogień, wodę, może i przez śmierć niesławną... To też niech każdy uważy. Czas jeszcze. Kto ma jakie wątpliwości, niech powie — natośmy tu są.

Przestał i wzrokiem po ławach potoczył. Nikto się nie odzywał.

Tedy powstał Wojciech Ratułowski.

— Kie czeladnik — rzekł — koło Gód się zgodzi, już potem przez cały rok o tem gwary nima. Raz się zgodził, i koniec. Mająż gorsi być gazdowie od czeladników?... Straszycie nas, panie kumie, tem owem, śmiercią, sądami — dyć to nam wiedno, że nie na wesele idziemy. W rebelji ubiegłej też nie było tańca — a stanęliśmy. Tak i teraz. Przedłożyliście nam rzecz, dalimy wam na to rękę — i nie cofniemy.

— Nie cofniemy! — poparły głosy liczne.

— Moi mili kumowie — podjął znów Łętowski — ani mi w myśli postało posądzać kogo z pomiędzy was o strachotę abo łomność słowa. Ale tu jest taka waga, że se trza dobrze ozważyć, nim się stąpi. By później kroku nie żałować, bo krok musi być śmiały. Wielom oto wydawać się może, iżę sprawa, o której ninie mówimy, to to samo, co rebelja ubiegła, którą wszyscy żywo mamy w pamięci. A to dużo rzecz insza. Wtedy chodziło o to, żeby starostę ukrócić, żeby ździercę, który nas ciemiężył, z Podhala precz wygo-

nić. I to się stało. A dziś już nie jeno o Podhale idzie, bo o całą tę ozległą Rzeczpospolitą. Ludowi po wszech ziemiach ciemżonemu rękę po- dać, sprawiedliwość wygnaną przywrócić, pra- wu moc jego znowią — oto nasze zadanie na te- raz. Stokroć ono cięższe, niż rebelja rzeczona. Dlatego dobrze musimy rzecz w głowieh ozwa- żyć. Teraz czas wagi — potem już działania. Kto co ma, niech wypowie — natośmy tu są- razem.

Przestał i słowa nieletkiego od zebranych czekał.

Ozwał się biały Jochym z Odrowąża:

— Ja uwazuję: jak kum Marszałek rzecz ozważył, to ona ta już na wszystkie ozważona strony. Próznobymy głowy mozolili. Co przed- sięwziął, niech z Bogiem prowadzi — my z bra- tem po sąsiedztwie za nim.

Józef brat jeno przykiwywał głową. Zwy- czajnie Jochym zań, jako starszy, i za siebie mó- wił. Byli ze sobą jedność.

Zkolei poważności począł Melchjor sołtys z Długopola:

— Dziad mój — niech Bóg świeci nad jego duszą — z Polski tu jako szlachcic na Podhale przybył, Długie pole to wyrobił, na co przywilej za usługi od króla samego dostał. Bywał on sam w potrzebach, gdy zawołano, a skoro w siłach podupadł, konnego za się swoim kosztem sta- wiał. Toż i ociec nieboszczyk — niech pamięć jego trwa — choć go starosta daninami gnębił,

obowiązek swój pełnił sumiennie, na każdą potrzebę ojczyzny żołnierza z łanu dawał. Nic to nie płaciło. Pieczęcie straciły walor, nadania myszy zlizwały — do chłopów nas wpisano. To my też są pośród chłopów — ręką i radą. Nie o przywileje już chodzi, ale o prawo. Prawu rabunek się dzieje. Żle w Polsce, może gorzej, ale i tu niedobrze. Nie mam nic przeciw Zdanowskiemu — człek poczciwy, Bogu ducha winny — nie on rabował nam prawa, nie on też w siłę je przywrócić. Nad nim stoją możniejsi — tych to jest rzecz. Tych się o prawo spytamy. Zechcą je przywrócić z dobrawoli — dobrze, a nie — to se je sami weźniemy. Natośmy się zajęli...

Urwał — oczyma mocnemi dopowiedział.

Jan Chochołowski, na którego kolej była, nic nie miał woli rzec. Filip tedy Groński głos zabrał:

— Wspomniał tu kum Marszałek o Rzeczpospolitej. Nawet wagę na to przyłożył sielną. Co mi dziwno — niech przebaczy. Bo coż nas — powiem — Rzeczpospolita obchodzi? Rzecz to szlachecka, nie nasza. Myśmy tu są królewscy, Podhalanie. Jak nam starostowie króla dokuczają, to my im też. Jako i z tym Komorowskim było. Ponizać się, ani praw se rabować nie damy. Co zaś do tego, żeby dalszemu narodowi iść z pomocą — to trza się istnie zastanowić. Co warce — powiem — naród, co się potulnie da gnębić? Ostatnio to już dziada spomagać, jak je w opresji. Dziada się niewiele skrzepi, a same mu się wpaść może. Co inszego, jakby się naród

on opatrzył, sam się chciał z pańskiej opieki wyzwolić, nas tu wzywał — tedyby podumać można. Ale co się po Łachach spodziewać?... Zdanie moje: ciężarów inszych na się nie brać, o swoje się starać. I koń, jak je przeciążony, nie ujedzie, wartko ustanie. Nie mówię, broń Boże, tego, coby my mieli zamysła swe cofać, ino powiadam: daleko nadto nie patrzmy, swojego brońmy.

Gdy ów skończył, dźwignął się Krzysztof Nowobielski. A był wielgi, sosrębu niemal sięgał. Wszystkich ku niemu się skierowały oczy, co on zaś powie. A on zaczął:

— Nic nie mam naprzeciw temu, co tu pan Marszałek prawił, wszystko mi się to udaje — ino jednego ni mogę dobrze wymiarkować. Mowa o tem — co słusznie rzeczonem było, że wagę stanowi, a co już sołtys z Gronia z inszego punktu uważyli — iż na Polskę mamy się sposobić, Rzeczpospolitą onę pańską do porządku przywieść. Niechajże będzie. Nic przeciw temu nie powiem. Ino to mi się nie zdaje, żeby Rzeczpospolita miała być głównie na uwadze. Ja tak zprosta uważuję, że nim brać się do robienia porządku w powszechności, to naprzód trza od swoje obory zacząć...

— To! to! — wypadło z chłopskiej ławy z kąta.

— Dlatego zacząćby może naprzód od Podhala. Spraw tu dość, które mocno dają się we znaki. Nima poprawdzie tych krzyczących przy-

czyn, jakie rebelję przeszłą spowodowały, starosty nima na miejscu — ale uciążień rozmaitych nie brak. Małe one mogą się wydawać temu, kto ich na własnej skórze nie doznaje, ale nam — pojrzał po chłopskiej ławie zwysoka — setnie dokuczają. A odnosi się to wszystko do onych nam zrabowanych praw, o czem to hań sołtys z Długopola tak mądrze powiadali. — Weźmy skraja prawo polowania: czyje je jest?

— A ryby!

— A polany! — dopowiadano. Na ławie chłopskiej szum powstał. Marszałek w kąć z uwagą popatrzał. Uciszyło się odrazu.

— Nie będę tu przytaczał — kończył Nowobielski — wszystkich zakazów i utrudnień, jakie naród biedny cierpi. Znaie je dobrze, nic wam tu bowiem nie jest obce. To więc jeno powtórzę: od Podhala trza zacząć — na swojej ziemi naprzód skradzione prawa przywrócić. A potem będzie, co będzie.

Klemens Mientus, prawa ręka Marszałka, pisarz Rady, pośpieszył z odpowiedzią.

— Ozwały się tu głosy, których pojrzanie na rzecz słuszne — ba ino telo chybne, iże z niskiego wierchu brane, przez to i niedalekie — mogłoby zmylić niektórych. A to: iż poza Podhalem nic nas winno nie obchodzić, i że o swoje ukrzywdzenie winniśmy naprzódy iść... Na to wielegodnym przedmowcom odpowiem: Nie możemy plecami do Polski stanąć i nie dbać zgoła o to, co naród chłopski na ziemiach sąsiednich

cierpi. Pospólna to nasza chłopska sprawa. Przyrodzony też to obowiązek: bliźniego w niedoli spomóc. A zaś rozum przydaje: razem stworzyć siełą, która jedna zdolna ugruntować zdobyte prawa. A tak Rzecz ta, dziś szlachecka, stać się może naszą spólną pospolitą Rzeczą. W takim rozumieniu sprawy nie można też wyłączości czynić — nie można zamknąć się w swoiźnie, jak w koszarze ogrodzonym, z myślą: już my śleobodni u siebie. Baczcie na to, kumowie: Bezprawie wolne ma drogi — płoty przechodzi, ba, mury obala... Zewsząd do nas, wyłączonych, a przez to i nie dość mocnych, cisnąć się będzie. Bezprawiu urwać gałąź, to nic. Trza je tam łamać, ka jego korzenie — iść za nim karczunkiem, tropić je po wszystkich ziemiach, aż do skutku. Pojrzymyż na prawo przyrodzone: Jednakże ziemie te wszystkie ścina mróz, gdy podmucha wionie od północy — jednakże słońce je przysiada — jednakże pogoda je grzeje. Tak i porządek, prawo. Złe jest — to dla wszystkich, a dobre — wszyscy je czują. Stąd, moi mili, czyniąc inszym, czynimy sobie. Więcej — utrwalamy rzecz, jaką czynimy. Tworzymy grunt i siłę. Siła zaś — jak słusznie kum Marszałek podniósł — zniewoli ku nam prawo.

Poparł jego wywody Jarząbek z Bańskiej temi słowy:

— Kiedy my z Grzegorzem Michną i Wawrzyńcem Rafaczem z Dunajca skargę przed obliczność świętej pamięci króla Władysława za-

nieśli: iż mimo glejtów królewskich słudzy starościńscy wracających z Warszawy deputatów chłopskich na drodze chwytają, wiążą i do ciemnic wtrącają... „Jakoż to“ — pytamy się — „Najjaśniejszy panie, to nima na to prawa?...“ Król Władysław gorzko się uśmiechnął. „Prawo, prawo“ — powtórzył. — „Nie macie siły, to wszystko“. Nic tu do onych słów królewskich dodawać nie trzeba, ino je jako wskaz wielemowny przyjąć.

Zebrani przymrukiem zgody a potakiwaniem przyświadczyli. Nikto już z Rady nie zabierał głosu.

Tedy Marszałek się ozwał:

— Dziękuję wam za wypowiedzi otwarte. Więcej nawet te mi przypadły do smaku, które przeciw memu zdaniu zdawały się mówić. Człek, moi mili, mylny jest i do śmierci się nie przeuczy. Wiele może on przez swój, z jednego doświadczenia zrodzony pogląd pominąć. Zachęta i zgoda wszystkich utwierdzać może go w błędzie — sprzeciwy zaś każą mu się w sobie zastanowić i tor dziełania sprawdzić. Jak bądź, wiadzę, wszystkim leży na sercu przemiana, wszystkich nas jednoczy mocna wola: walka o prawo. Drogi każdy może widzieć różne — byle cel jeden. To na dziś dość. Bo skoro walka się zapocznie — posłuch już prawem.

Łomot kopyt doleciał z podworca.

— Oto i pułkownik! — przerwał Marszałek. Żywo naprzeciw w sień pomknął.

W zmierzchu wieczornym świetlicy gazdowie poruszeni na wejście onych czekali.

Za moment też Łętowski wprowadził gościa.

— Niech żyje nasz pułkownik! — zahuczała izba.

Służebna wniosła kaganki, zawiesiła je w rogach na ścianie.

Przy świetle roznieconem Marszałek radę przedstawiał — podług starszości, kolejną.

— Miło mi Wmościów... Słyszałem już... wiem... — ujmował serca słowem grzecznem Kostka i dłoń drobną podawał w uściski mocne, ufne.

— Ich Miłość siądą — poprosił Marszałek, wskazując krzesło przy stole.

— Cóż panowie uradzili? — spytał, usiadłszy Kostka.

— Rada krótka. Jako było rzezonem, tako i jest. Naród w gotowości, czeka jeno wezwania.

— Na jakie siły liczyć można?

— Oto jest raport — wskazał Łętowski papiery. I, gdy Mientus kaganek ze ściany podał, wymieniać kolejną począł: — W drużynie Sawki ludzi dwiestą. W Czepcowej drużynie sto. Pod Łukaszczykiem sto dwaścia. Zwerbowanych, ktorzy do czasu w domu przyostali, bedzie nad tysiąc. Mało tego nie dużo. Ale pospolitego narodu, jak hasło ruszenia padnie, zbierze sie kilka tysięcy. Oto somsiedzi zaświadczą — wskazał ławy — gotowość swoich osiedli.

— Gotowi są — przyświadczyły głosy.

Odkazowali też do mnie wójcia z Zawoji, ze Sidziny, od Jordanowa, od Żywca, że — jak czas pozwania przyjdzie — razem z gminami ruszą.

— A czy od Pcimia głosił się kto?

— Byli, byli. Tam duża poruszka sie stroi. Jakiś ksiądz rektor — powiadają — ich pobudził. Ale to biedne, nędzne.

— Tam, wybaczcie Ich Miłość, w płócienkach samych chodzą — objaśnił z ławy Nowobielski.

Kostka papiery przeglądał.

— Tu jest — wskazał Łętowski — wykazane, kielo dla drużyn wydano: owsa, mąki, chlebów gotowych, soli, gorzałki przepalanej, piwa... To musi być zapisane, by utraty niczyjej nie było, bo to dla pospólnej sprawy.

— Wszystko w porządku — zamknął wykazy Kostka. — Dziękuję, panie Marszałku — podał dłoń Łętowskiemu. — I Wmościom dziękuję za pomoc — zwrócił się ku ławom. — Kiedy widzę was tu razem zgromadzonych, najpoważniejszych mężów z okolicy, sprawie poczętej wierznych i zaufanych, tedy skorzystam z momentu dobrego, by w zaufaniu słów kilka, dotyczących sprawy, powiedzieć. Jak wam panowie wiadomo, werbunek na tej tu ziemi podjęty jest, na podstawie listów przypowiednich, dla obrony granic tych odkrytych przeciw spodziewanemu od Węgier najściu Rakoczego. Zapewne też pan Marszałek wyłuszczył panom dalszy cel akcji...

— Wiedzą, wiedzą — potwierdził Łętowski.

— Więc nie obcem wam jest, iż obecna potrzeba wschodnia, a to wojna z ukraińskim hetmanem Chmielnickim, powołała wszystką szlachtę ku osłonie Rzeczypospolitej. Tama owa — jak ze wszystkiego widno — naporu żywiołu nie wytrzyma. Przed ludem polskim w tym momencie trzy leżą prace: obrona odkrytych granic — otrząśnięcie się z niewoli szlacheckiej — i wraz stanięcie siłą zwartą przeciwko zalewowi żywiołu wschodniego. Nadto to wielkie zadania na jeden czyn... Lecz — na Boga! — takimi czynami wkracza się na arenę dziejów! Lud musi w jednym dniu odrobić wieki! Musi tym czynem pokazać, że wart wolności. A rzecz jest osiągalna — gdy oto myśl ją obejmuje. Myśl rozwidnia drogę — duch idzie przodem — wola pełni. Nie dojrzą może górności tej sprawy oczynizinne. Wam to, skrzydlatym orłom skalnym, dane przodownictwo w czynie. Abyście przez mgłę zamętu widzieli wciąż niegasnący wysoki cel... — Przed jednym chcę was przestrzec. Zapewne zdarzy się wam spotkać ludzi nieznanych, lirników, którzy wieści nowotne siać będą, uszom chłopskim ponętne. Wiedzcież tedy, iż to ów hetman kozacki, za prawem wojny a chytrością swoją, ludzi tych wszędy po Polsce rozesał, aby nieśli odeń ludowi polskiemu rzekome wyzwolenie. Posłuchu wieściom tym nie dajcie. Nie może iść wyzwolenie od powodzi, która potopem zagraża. Wolność, skarb nieoceniony, nie bywa darem sąsiada. Własną krwią i trudem

własnym musi być zdobyta. — Tedy to jeszcze powiem. Jeśli gdzie lud nieopatrznie da się onym podmowom poruszyć — aby więc nie było pomieszania, a dla nieświadomych wniosku, iż nasza sprawa z tamtą jest w pojedni, taki ma być naszych ojawień znak: wieniec ze świeżej wiośnianej choiny, utwierdzony wysoko na tyce. Jako wolność i pęd życia nowego niesiemy. W dzień zaś wystąpienia, wszystkie wsi i dziedziny, które z nami się oświadczą, mają chaty zielenią umaić. Bowiem to ma być święto Ducha, który między lud zstąpi.

Przestał Kostka, i cichość nastąpiła w świetlicy. Łętowski spytał:

— Jakie hasło i czas ruszenia?

— Ogień na Trzech Koronach, widny na całym Podhalu, oznajmi czas ruszenia.

Powstał.

— Pana Marszałka Łętowskiego mianuję pułkownikiem sił, które się tu, w Czarnym Dunajcu zgromadzą.

— Ich Miłość... — skłonił się Marszałek.

— Dziękuję panom wszystkim — miał się ku żegnaniu.

— Ich Miłość nie pogardzą zakąską w mojej chacie prostej...

— Czas na mnie — odrzekł Kostka. — Ale — przydał z uśmiechem — jeśli pan pułkownik prosi...

Usiadł zpowrotem.

Łętowski w sienie pomknął, — niebawem wrócił z dzbanem i kubkami. Za nim weszły dwie niewiasty, niosąc na tacach glinianych: chleb, bryndzę, kołacze, sery. Skłoniły się przed Kostką, gdy soltys je przedstawił:

— To moja żona druga, Stopczyzna po mężu. A to córka z nieboszczki, Anna.

Witał je Kostka serdecznie i siedzieć prosił. Wymówiły się wdzięcznie zajęciami.

Łętowski porozlewał sławne wino węgierskie do kubków, porozdawał gazdom, poczem ujął swój kubek:

— Na cześć i zdrowie Ich Miłości, tymczasego pana pułkownika, który z wysokich gniezd ku nam lichym zstąpił, aby nas na światło wywieść. Niech żyje! Niech nas prowadzi!

Zebrani, wstając, powtórzyli okrzyk.

Na to, jakby wywołany, zjawił się w progu stary kobziarz-grajek. Głęboki ukłon ku stołowi dawszy, podszedł zwolna ku skrzyni, sparł się na niej i jał dziwny instrument nastrajać.

Łętowski podał staremu kubek wina, poczem nalewał dalej w okrąg, raczył gościnnie, prosił.

Kobziarz rozpoczął granie. Zrazu próbował fujarki, siły miechu — wreszcie poprawił się na skrzyni, wziął oddech i podjął nutę.

Proste, ubogie to było, ale dziwnie swą wyśpowiedzią o dawnych, minionych czasach niewołące. Stłumione tony fujarki snuły opowieści smętne, jak przy dogasającej gdzieś w kolebie watrze:

O dziewczynie, która pasła wołki pod jaworem, gdy się zjawił on: los jej i nieszczęście; to o Janicku, zbójniku, przez zdradę kochanki w komorze liptowskiej porubanym; to o śmierci grafa słowackiego, Lukasa z Orawy, któremu król budziński z pozdrowieniem wino zatrute przysłał; to o wielkim morawskim kneziu Światopełku, którego władza po morze hrwatskie sięgała...

Szła nuta prostej fujarki w coraz to dalszą, odleglejszą przeszłość.

Czar zwolna obejmował Kostkę. W zasłuchaniu urocznem patrzył na wida-kobziara — na tę świetlicę, kagankami słabo rozwidniałą — na rząd obrazów, złocących się w górze pod powalą — i na tych nieruchomo siedzących herosów, których oczy gdzieś daleko w przeszłość za nutą staroświecką poszły.

Stały mu oto jawą: dawne słowiańskie posiadłości, drewniane świetlice knezie, bardy wędrownie i chrobackie siwowłose woje.

VIII.

Zjawienie się wtórne na Podhalu tajemniczego „pułkownika“, który podczas swej nieobecności w legendę, oddalającą rzeczy, jał się już ponosić, przybliżyło z mgły omawiań rzeczywistość zbrojną i zwyraźniło ożywieniem przygotowania czynione. — Młodzież, wyczekująca ostatniego hasła, a już uchwalowaniem przydługiem i wojowaniem hałaśnem po karczmach w rozpędzie pierwszym przyosłabła, teraz smagnięciem wtórnego pozwu w honorze czułym odproszczona, jęła się tłumnie na listy wpisywać.

Werbunek raźnie postępował.

Kostka z ogniem gorączki rzucił się do pracy. Załatwiwszy się wkrótce z bliższą okolicą miasta, poszedł w Podhale dalej. Obejmował działaniem półjawnem coraz to dalsze kręgi. Nosił się, jak wieść podpalna, ze wsi do wsi, z dziedziny w dziedzinę, płomieniem przerzucał się w najdalsze kąty Podhala. O zachodnią połąć spokojnym był, ostawiając ją pewnej opiece Marszałka. Zato na wschodnie krańce baczność szczególną

obrócił, zwłaszcza na wsi poddane państwa czorsztyńskiego, gdzie z ważniejszymi sołtysami bliższe nawiązał stosunki.

W pracy tej — dziw — najgoręcej dopomagał mu Gosławski. — Po rozmowie poufnej, jaką miał z nim po powrocie Kostka, zmienił się do niepoznania: jak baranek, z wełny rozodziany. Stał się „pułkownikowi drogiemu“ oddanym, z przyjaźnią dlań nieugasłą jak i wiernością do zgonną głośno się wszędy oświadczał. I nie opuszczał go krokiem. Jeździł z nim razem do sołtysów, do bliższych i dalszych dziedzin, załatwiał chętnie sprawy kwater, posłańców, werbunku, a wesołością bawił go podczas chwil odpoczynkowych. Stał się więcej niż pomocnym, niezbędnym prawie.

Jasiek Orawiec, który się zaś do „pułkownika swego“ jak dziecko przywiązał, i rozumiał, że mu wszędy jako ordonans służebny towarzyszyć będzie, teraz u boku jego przez Gosławskiego pana zastąpiony, czuł tę odmianę, jak zawód losu, boleśnie. W dworcu bez żadnych zadań na czas rozjazdów Kostki ostawiony i na bezczynność samotną jako na areszt otwarty przez życzliwość onego skazany, utyskiwał załośnie w obolałym sercu i dni całe przepędzał w gniotącej nudzie czekania. Dawszy jeno koniowi jeść, godzinami siadywał w progu kwatery pułkownika, w nadziei wątlej, że rozkaz jaki nadleci; albo też, gdy czekanie zbyt mu uciążyło, szedł w miasto i włóczył się, żując trujące rozżalenie, zaopu-

szczony, osmętniały — wąsiska mu jeszcze niżej zwisły.

— Kieby choć Jędrak był — byłoby się choć przed kim użalić. Niechby się już i podśmiewał, jak to on zwyczajnie...

Ale Jędrka nie było. Nie wrócił jeszcze ze Śląska. Musiał więc Jasiak sam swoje opuszczenie dźwigać.

Kiedy jednego popołudnia po ucieży bardzo długiego rana wyszedł w miasto i włókł się podobnie zesmętniały, z oczami na bruk spadłemi, poboczną rynku, usłyszał nad sobą:

— Jasiak! Co tak te skale rachujesz?..

Pojrzał mętnie, jak zagnała zbudzony.

— Józus! to ty?... — zakwilił.

Stał przed nim junacki chłop, rostu i wieku Jędrka, o włosach i wąsach czarnych, o twarzy równie poczerniałej, jakby prochem w postrzale zbliśka osmalonej. Strój miał na sobie hyrny: serdaczek na ramię zarzucony, kapelusz z orlim piórem, spinkę na piersiach świecąca, pas szeroki, zbójnicki, srebrnemi witkami nabijany, i zbrój za pasem, pistole; ciupagę kutą dzierzył w dłoni.

Był to Józek Łukaszczyk, herszt drużyny, towarzysz dawny Jaśka.

— Uściskali się serdecznie.

— Jakoś mi marnie wyglądasz — rzekł Łukaszczyk, przyjrząwszy się Jaśkowi. — Co cię tak ścięło?

— Eh, nic takiego — wymijał Jasiak.

— Mnie nie zmylisz. Widzę, że ci coś dolega. Ale co tu będziemy na rynku rozprawiać — podź do Węgra, siądziemy, napijemy się. — He, Boże! Jasiu! — objął go ramieniem. — Dawno my się nie widzieli...

Podeszli do gospody. Łukaszczyk zawołał wi-na. Siedli na boku przy stole. Przyzierali się sobie: Józek z uśmiechem pod wąsem, który twarzy jego ciemnej nie rozwidniał, Jasiek z tkliwością we wzroku. Gdy przyniesiono wino, Józek roz-lał je do szklenic.

— Zdrowie, bracie!

— Daj ci Boże... Jaż mi — począł jąkać — jaż mi koło serca raźniej, kie cie widzę.

— No to powiedzże teraz, coś taki zatracony chodził? Baby ni masz, wiem, ani majątków — coby cię gryźć mogło?...

Jasiek, jak mógł, nieśmiało opowiedział swoją obecną niedolę.

— Telo ino? — roześmiał się Józek. — Pij, bracie! — trącił się z nim. — Że masz czas, to cię więdze martwi. Inszyby se to chwalił. A jak ci tu tak źle w mieście, to wiesz co: podź se mnąm w las, bedzie nam weselej. Naiste mówię, ni masz tu co więdnać — haw u mnie ruch, jak w piekle — odmłodniejesz. Zbier sie bez zastanowy — jak wte, baczysz, pod Liljowem — i hajda!

Jaśkowi oczy chęcią się ziskrzyły, lecz wnet głową odkręcił.

— Ni może to być. Służba...

— Sam powiadasz, że cie nie potrzebuja.

— Kie ja se już tak postanowił, że pułkownika nie opuszczę, pokił tchu...

Tu opowiedział Józkowi, jak go pułkownik z heresztu wyzwolił.

— Ale nie ino temu... Takiegoch już ku niemu serca nabrał, że...

— Tak mi praw. Nie o żadnej służbie. — Wiedne to już z dawności, to twoje serce. — Nibyś chłop poziorny z wierchu, a w rzeczy baba.

Jasiek wstydliwie oczy spuścił. Żal się go stało Józkowi.

— No, no, baczę ja, jakieś w karczmie w Miukułaszu, kie nas churma obstała, Liptakami prał... Byliby nas przysiedli, kieby nie ty. A co do tej miętkości... to jakbyś był inakszy, nie byłbyś znowu Jasiek. Towarzysz z ciebie najlepszy. Zdrowie twoje!...

Wypili.

— A Jędrak nie wrócił jeszcze?

— Nie.

— Jego nam brak. Kieby my sie tak wetrój zesзли...

— Toch se akurat pomysłał. A jakoż tobie, Józus? Słychno, drużyne masz wielga...

— Bedzie ponad sto. Z dwunastomach jeno był, i tych dumalech po ujęciu Sawki do domów ozpuścić, kieby dostalech od Marszałka z Dunajca odkaz, by sie stroić — że sie na duze zanosi. Obejrzałech sie za ludźmi — wnet miałech

chłopców pół kopy. Głosili się, Marszałek też co dnia kogoś mi dosyłał — i nazbierało się.

— Toś možny teraz harnaś. A baczysz, jak my to we trzech...

— Inszy dziś wiatr, insze na oku sprawy.

— Tak, tak, wiem — na duże się stroi...

— Kieby już nadszedł czas... Bo to zgłęba, powiem ci Jasiu, z tak liczną kupą. Starać się o wszystko trza — a przykaz ostry: sposobów dawnych ani ani... Dlatego do miastach przyszedł, może się co dowiem. Nie słyszałeś tu, Jasiu, zbliśka, na kiedy co postanowione?

— Niewiada mi nic o tem. I nikto pewnie nie wie. Chyba pan Zdanowski, abo i Gosławski, jeśli im pułkownik zwierzył.

— A co ty, Jasiu, o tym pułkowniku...

— Jakto: co? — przypatrzył się Jasiek.

— No, ja wiem, boś powiadał. Ale bo, widzisz, mnie dziwno...

— Coż ci dziwnego?

— Ten przystrój niby cały. Niewiada gdzie, jak, przeciw komu...

— Dowiesz się, jak czas nadejdzie.

— Kieby już nadszedł.

— On tam ozważa — naprzód widzi. Myśli w nim biją się, jak sępy, a ani uznać po nim. Tyś go nie widział?

— Nie.

— Toć też to...

Tu jał z gorącością słać pułkownika — jaki

je jest, jaki ma przywład wysoki, jakie wzięcie, jaki je pański z pozioru, a nie gardzący nikim.

Józek z uwagą słuchał, fajeczkę mosiężną ssał, przykiwywał.

— Musi być, wiera, nielada człek, skoro sam Marszałek za nim. Ino mi to dziwno...

— Coż? — powiedz.

— Słychno o Rakoczym. Przeciw niemu, jak mówią, ten przystrój. Mając tele siły — na takiego, jak powiadasz, człeka — nie czekaćby, aż Rakoczy przyjdzie, ale wpaść nań znienacka, zaświecić mu pod siedmi grodami... Co, Jasiu? Jakby tak na nas...

— Nie nasza to rzecz.

— Dyć nie nasza, ale sie gwarzy.

Jasiek chciał Józka koniecznie do pułkownika, do jego słuszności czekania przekonać. Jak mu to powiedzieć, by zrozumiał? Wysilił głowę — dojrzał...

— Wiesz, patrz... — wzniósł rękę. — On je jak orel, co sie na powietrzu waży, nim spad odmierzy...

I dłonią wagę skrzydeł pokazywał.

— Być to może, ale mi dziwno...

Nie dał się ku zmartwieniu Jaśka jego niezłomną wiarą przejąć.

Parę dni Łukaszczyk Józek bawił w mieście. Spotykali się co dnia. Długo we wieczór i w noc siadywali w kącie gospody, uchwalując przy winie węgierskiem o tem i owem, wspominając różno-szczesne na Liptów wyprawy. — Jasiek

ożywił się znowu, nabrał przy towarzyszu miłym dawnej ślebotnej beztroski.

— Co to świat? — powiadam ci, Józus — co to strapacje wszelkie? Razemeśmy, i już jes dobrze. Jedyna rzecz: towarzyszowi w oczy sie popatrzeć. Dusza sie cieszy.

Nadeszła wieść, że pułkownik ma lustrować oddziały gotowe. Łukaszczyk musiał do swojej drużyny wracać.

I znowu Jasiek ostał sam, posmętniał.

Jakaż też była jego radość, gdy pułkownik, wróciwszy do miasta, zapowiedział mu, że pojedzie z nim do drużyny Sawki. — Gosławski miał porządkować listy werbunkowe.

Drużyna Sawki, najliczniejsza, miała się w lasach pod Falsztynem taić.

Dużo z południa czas się schylił, kiedy Kostka z Orawcem, minąwszy Waksmund, Ostrowsko i osadę Dębno, jadąc lasami w stronę Spisza, zbliżyli się przypuszczalnie do obozu Sawki.

Cisza panowała w lesie na ich drodze. Nic bliskości oddziału licznego nie wskazywało. — Już też Kostkę począł niepokój oblatywać, czy drogi nie zmylili, co w słowiech, zwracając się do Jaśka, wyraził.

— Widzi mi sie, Ich Miełość, dobrze jedziemy — odrzekł ów z przekonaniem, gwoli uspokojenia pułkownika, bowiem sam nie miał pewności.

Naraz usłyszeli nad sobą gdzieś w koronach wysokich jodeł żalosne kwilenie orła. Odpowiedziało mu dalsze, i dalsze — jakby echa.

Jasiek przystanął, nasłuchiwał.

Zaczem dobiegł ich uszu z głębi lasu przeciągły gwizd juhaski.

— Już o nas wiedzą — rzekł radośnie Jasiek, drżeniem serca odgadując zbójnickie sposoby. Palec zgięty wziął w zęby i świsnął przeraźliwie.

— Cóż to? — obrócił się Kostka.

— Daję znać, że my tu są.

Jakoż wkrótce wyłoniło się naprzeciw nich z lasu dwu białych, rosłych junaków. Znieruchomieli żołniersko i wraz unieśli kapeluszy w górę.

— Coście za jedni? — spytał Kostka.

— Z drużyny Sawki — odkrzyknęli.

— Gdzie wasz herszt?

— Niedaleko stąd, na polanie. Tędy, Ich Wielmożność...

Zawrócili w kurytarze leśne i poczęli kroczyć naprzód, wymijając pnie, sami w gibkości i roście do drzew młodych podobni.

Niebawem światło zieleni przejrzało przez szczeliny lasu — kilkadziesiąt jeszcze stąpnieć konia — i oczom Kostki odsłoniła się polanka — na niej, jak zakłębieniem sformowana, biała ściana ludzi z olbrzymim chłopem pośrodku: drużyna Sawki...

— Niech żyje wódz!

Potężny okrzyk trzystu piersi uderzył o głębię lasu. Jak chmara ptactwa, podleciały kapelusze w górę.

Zaczem zbliżył się komendant olbrzymi. — Stojąc na ziemi, prawie z siedzącym na koniu się równał.

Kołpak harnasi zdjawszy z głowy, schylił się w niskim przed Kostką ukłonie, iż czarne warokocze włosów z ramion mu spadły. Poczem wyprostował się postawą.

— Melduję Ich Wielmożności: Trzystą ludzi na placu, sześci na warcie, ośmi w mieście za prowiantem, czterech za amunicją; razem trzysta i ośmnaście w drużynie, dostatnio opatrzonych, ducha dobrego.

Kostka skinieniem podziękował, zbliżył się do oddziału.

— Jak się macie, chłopcy? — rzekł.

Na te proste słowa, rozśmiały się miłośnicie oczy junaków — okrzyk wtórnie odbił się o ścianę lasu.

Przejechał wzdłuż szeregu, lustrując ekwipunek. Wszyscy byli jednako odziani: w białych, krótkich przez ramię zarzuconych czuhach, z wełnianą torbą juhaską przy boku, z pistoletami za pasem, niektórzy z flintą na ramieniu, z ciupagami w dłoniach; pióra jastrzębie i orle zdobiły kapelusze. Wszyscy też byli dobrani, jak świece, oczy postawą junacką cieszący.

Kostka zsiadł z konia i słowami wyraził pochwałę Sawce.

— Ich Wielmożność zechcą obaczyć ich sztuki...

Na znak Sawki rozsypał się oddział, zabarwiła się ruchem polanka.

Rozpoczęły się próby koleją. Szli naprzódy za pasy, po dwóch, po czterech i gromadą całą. Potem strzelanie do celu. Cel się nadarzył: jastrząb, ledwo znaczny w obłokach. Spadł do nóg Kostki. — Potem ścinanie rzutem ciupag wierzchołków leśnej młodzieży. — Potem skoki przez przygięte drzewka...

We wszystkich tych popisach podziwiał Kostka siłę, zręczność i celność junaków.

A Jasiek ustać nie mógł z gorączki zachwytu. Dając baczność po boku na konie, po każdej udalej próbie podchodził do pułkownika, uśmiechem oczu, jak i słowy, radości swojej mu udzielał.

— Ich Mielłość, patrzcie... tacy to są u nas chłopcy... Z takimi to wej!...

Wieczór już zapadł. Kostka miał się do odjazdu, gdy przybliżył się Sawka z nieśmiałemi słowy:

— Ich Wielmożność ostaną z nami na wieczere... Noc w lesie. Miesiączek wyjdzie wnet, odprowadzimy.

Nie dał się długo prosić.

Na polance wesołość zapanowała. Buchnęły wgóre ogniska. — Przy środkowem, największem, rozesał Sawka skóry owcze dla pułkownika. Podał ptactwo pieczone, oszczyпки, wino

z miechu. — Chłopcy piekli baraninę i pili pa-
lenkę.

Gdy Kostka powiecerzał, na znak, przez
Sawkę dany, podeszli z mroku grajkowie, stanęli
w kręgu ogniska...

Uderzyli w zbójnicki marsz:

„Za Tatry — chłopcy — za Tatry!...”

.

Sawka wzniosł ciupagę w górę i począł iść
w takt muzyki dokoła ognia...

Wyłaniali się z mroku i stawali za harna-
siem — jeden, drugi, trzeci...

Stanęło ich dwunastu — w pochodzie.

Każdy krok jak rytm grający — linje nóg
ułożone z wyniesią górną postaci. Idą... każdy
swoim chodem, odrębnie stylowym, a w dosko-
nałem z inszymi spoleniu.

Niewiada, czy to muzyka gra im — czy sami
są muzyką pochodu.

Pół-oświetlani, zjawiskowi, kroczący za prze-
wodem olbrzyma-harnasia, zdają się Kostce
snem zwidzianym, zaistną zjawą herosów.

Przeszedł pochód „za Tatry“.

Muzyka zmienia rytm, przyśpiesza...

Harnaś-olbrzym stanął przy ogniu z podnie-
sioną w górę ciupagą, z nakaźnym wzrokiem har-
nasim, a wkoło niego i ogniska idzie już taniec
zbójnicki... Radosny powrót z za Tatr.

Rozpętują się siły wybytnie. Ruchem rozgrzana krew poczyna kipieć — jeszcze w takcie melodji — w skokach i przysiadach...

A harnaś z brwią namarszczoną, z ręką nakaźną wgórze, stojący w kole, posągowy, wzrokiem sędzi tancerzy, potęgą władną ich smaga.

Jakby to i muzyka odczuła. Uderzyła w „Stose!“ — w ogień — w rytm zapamiętały.

Zapamiętali się pod wzrokiem harnasim w rytmie onym i tancerze w szale...

Poczynają się wyrwać poświsty dzikie, krew w żyłach judzące — światło drga — powietrze gęstnieje — szal pędzi, jakby na przepaść — coś dziwnego się stanie...

W tym momencie wychodzą z siebie tancerze. Każdy pokaże, co umie.

Obaczył Kostka, oczom swym nie wierząc, jak jeden z koła wskoczył lekko na gęśle stojącego grajka — trącił palcami stóp o struny gęśli, nie przerywając grania — i uskoczył w swe miejsce, tańcząc dalej... — Drugi znów z ziemi, jak pstrąg z wody, wypyrsnął do góry — przez mgnienie oczom zatrzymał się poziomo w powietrzu — i już jest w miejscu swoim. — Inny ręce założył za plecy, przez ognisko dał kozła na głowie i rwie za tancerzami.

A harnaś-olbrzym stoi w kole, z ręką nakaźną wgórze, nieruchomy, bronzowy od płomieni ogniska, jak posąg, i wzrokiem władnym prowadzi...

Wnet Kostka objechał drużyny. Zastał je wszystkie w pogotowiu. Wróciwszy do miasta, zajął się śpiesznie uporządkowaniem zgłoszonych już sił. Owiadomił też po dziedzinach, aby się zwerbowani wszyscy gotowali i aby się, gdy hasło dostaną, wzięwszy żywności z sobą na dwa tygodnie, w dzień oznaczony w Czarnym Dunajcu stawili.

Wieści ze wschodu nadchodzące przynaglały Kostkę do pośpiechu. Także Marszałek donosił, że jest gotów i z dnia na dzień spodziewa się porusznego hasła. Najgoręcej jednak sołtysi czorsztyńscy naciskali, którym Kostka chętnie dawał ucho, budując na ich pomocy pierwszą udalność wystąpienia.

Powziął już pewien plan zaczęcia. Czekał tylko na wiadomość od Radockiego.

*

Pod jeden wieczór wyszedł Kostka z panną Pieniążkową na przechadzkę nad brzeg Dunajca.

Dzień kłonił się ku zejściu w pogodzie. Słońce obzierało się na dolinę nowotarską z nad Babiej Góry, posyłając olbrzymom Tatr, czołami granitowemi w siną powalę niebios wparty, żegnalne blaski.

Rdzawiły się pod światło zachodu kurzące liljowemi oparami ludźmierskie bory... Bliżej od oczów szły wężejące w oddal wstęgi zamiejskich pól; wśród nich, jak długie gościńce nadziei, siwozielone gony owsa, w omgli różowej

tające. Tuż nad Dunajcem legły łąki, pełne różnego kwiecia.

Czerwca połowa prawie — maj na Podhalu.

Szli ponad brzegiem Dunajca, krajem rozkwitłych łąk.

Nic nie mąciło przedwieczornej ciszy; nawet wody Dunajca jakby stały, świetląc się niebem pod zachód.

— Jak spokojnie — wyrzekł głośno Kostka.

— Burza nadciąga — wyraziła myśl wewnętrzną Zofja.

A gdy wzrok pytający ku jej czołu podniósł, rzekła powolnie:

— Waćpan pioruny owe dzierzysz w dłoni.

— Ach, tak — zrozumiał jej czujny niepokój. — Ostawmy sprawy dnia i ludzi. Niechaj się pełnią, gdy taka konieczność. Niechaj na pełnią hałasem świat. Nasze są chwile...

— Które mijamy...

— Niestety. Powolni może złudzie czynu, która przesłania szczęście. Ten wieczór pogodny mówi: O co się ludzie kłopotą? Gdyby duszą całą, oderwaną sprawom dnia, wsłuchali się w ukojność przyrody, staliby się, wierę, prości, jak ona, zciszeni...

— Prawdę wieczór mówi... Lecz nie jest droga wieczorna ludziom dnia. I nie jest ukojność, mniemam, w waćpana orlej naturze...

— To też jej w tajni serca pragnę. Niekiedy przedstawia mi się w sennem jakby marzeniu. Chata leśna gdzieś w puszczy wśród cichej po-

lanki... Ranki słoneczne... Jelenie przychodzące do ręki pod próg, bezobawne... Świegot ptactwa naokół... Pszczół pracowitych i muszek leśnych granie... Źródła ze skał omszałych wśród paproci tajemnie dzwoniące... i studzienki wśród jodeł wysokich, odbijające niebo...

— Widzę je... w cieniu... odbijające niebo...

— A przychodzi mi to... — zatrzymał się i dodał bezgłośnie prawie: — gdy rozważam w sercu swoim piękność waćpanny...

Uśmiech nieba wewnętrzny wzniosł piękno jej oblicza. Powieki opuściła. Szli w milczeniu.

— Sen to jest — przerwał ciszę — lecz cóż rzeczywistsze? Dążymy przecież tylko wciąż do wrótni rajy — jakąż daleką, dookolną drogą! — sto zadań w trudzie podejmując, które przesłaniają cel istotny, tajni jeno serca, głuszonej krokiem dnia, wiadomy. Myślę: na to wszystko stało się, co się z zrządzenia losu a mego przyczynienia stało, abyśmy oto szli teraz ponad brzeg — w tem uciszeniu wieczornem — w tajnie serc swych, w prawdę jedyną wsłuchani... Odplynęły daleko, jak te wody rzeczne przedpołudnia, ludzkie gwarliwe sprawy... Serce z sobą ostaje. W tym spokoju wieczornym odnajduje się — takie, jakim jest w rzeczy, dziecinne, szczęścia łakne, wszystką nadzieją radosne...

Słuchała dalej, idąc pobok, gdy już od chwili zamilkł.

— Dziwią mię — rzekła w drzeniu — słowa waćpana, tak odmienne...

— Czy ranią?

— Cieszą. Są, jak muzyka najśłodsza... Zapamiętam je — i ten wieczór... tak dziwnie cicho — przed burzą.

Ujął jej dłoń w dłoń swoją. Postępowali w milczeniu.

Gdy doszli do końca łąk, gdzie Dunajec, okalając miasto, czynił zakręt nieznaczny ku południowi, chodnikiem z lasku sitowia wyszedł naprzeciw człek — jak dało się zaraz po płótnianem odzieniu postrzec: nietutejszy — kurzem gościńca okryty. Widać długą uczynił był drogę.

— Oto zwiastun — szepnęła Zofja.

Obcy skłonił się nisko, chcąc ich minąć.

— Skąd jesteś? — spytał Kostka.

— Ze Pcimia, jasny panie. Do miasta idę, do pułkownika samego...

— Masz dla mnie wieść?

Człek obcy zrozumiał w pytającym panu pułkownika — niżej się wtórnie uklonił, wyjął z zanadru list i podał Kostce.

Był to posłaniec czekany od Radockiego.

— Idźcie do dworca — wskazał, przebiegłszy okiem pismo.

— Oto i koniec chwili — szepnął. — Sprawy ludzkie wołają.

Zastanowił się w myślach.

— Czy pan Lisicki będzie jeszcze w dworcu? — zwrócił się pytaniem do Zofji.

— Zapewne — odrzekła. — Z gospodarczemi do wuja przybył sprawy. Do wieczery, mnie mam, nie załatwią.

— Muszę z nim mówić. Wracajmy.

Zawrócili ścieżką ponad brzegiem. Przed nimi tajał ku miastu człek szary, zwiastun — jak go przeczucie Zofji nazwało.

W milczeniu, skłóconem już przezeń, szli zpowrotem. Czoło Kostki chmurą się powlekło. Westchnienie głębne doszło czujnej uwagi Zofji.

— Czy wieść niedobra? — spytała, trwożne podnosząc nań oczy.

— Owszem, pomyślna, lecz... — W ściężałym smutku doszeptał: — Może to wieczór mój ostatni...

Gdy zbliżyli się do dworca, już zmierzchem owiniętego, Kostka, którego myślom mrok również nie sprzyjał, przystanął i, oczu ku ziemi spadłych nie podnosząc, stłumionemi począł słowa:

— Zofjo... Jak już mówiłem kiedyś, w ów ranek jasny na Górcie: przyjąć może czas... że się stanę światu ciemny, niezrozumiały w postępach... że się ludzie odwrócą ode mnie... że mnie najbliżsi opuszczą... że mię przeklną, że zdrajcą może mnie nazwią...

Przerwał, słów swych strwożony. Poczul na dłoni dłoń miękka i usłyszał słowa ufne:

— Serce miłujące nie zawiedzie.

Gdy weszli w bramę dziedzińca, prysło nastrojenie święte — światła okien, jak twarze lu-

dzi znajomych, witaniem przed nich wybiegły. W kwaterze Kostki też okno świeciło.

— Gosławski czuwa — rzekł Kostka.

— Miałam dawno już waćpana przestrzec — poczęła z pośpiechem sciszonym Zofja. — Nie ufaj waćpan panu Gosławskiemu. Nie jest on przyjacielem, za jakiego się podaje. Kto wie, co knuje na szkodę waćpana. Strzeż się go, proszę...

— Proszę być o to spokojną — w tymże sciszonym sposobie, gdyż blisko ścian już byli, odrzekł Kostka. — Jeśli jakie złe zamysły żywił, to już zgasły. Dziś nic przeciw mnie nie może. Wiem ja o nim rzecz, która dała mi go w rękę. Zresztą człek to lekkomyślny, lecz w gruncie niezły.

— Bogdajby tak...

— Na pewno!

Wkroczyli na ganek, w sienie. Panna Zofja skręciła ku swej izdebce. Kostka wszedł do bawialni.

Zastał tam pana Lisickiego z panem Zdanowskim. Odrazu z progu zaczął, do pana z Łopuszny zwrócony:

— Szczęśliw jestem, że Wmość pana jeszcze widzę. Przyszła mi bowiem myśl nagła — gdy czas dogodny ku temu, a Wmość zgodę swą łaskawą parokrotnie już raczył wyrazić — urządzić oto łowy w lasach gorzeckich na dziki.

— Świetna myśl! Kiedy? — rozgorączkowało się serce myśliwskie szlachcica.

— Choćby i zaraz jutro.

— Obmyślmy zatem sprawę...

I poczęli wetrój z panem podstarościem, bo i jego rzecz żywo zajęła, obgadywać plan łowów na Gorcach.

IX.

W domu Piotra Czerwińskiego wielki harmider. — Otrzymał sołtys od pana podstarościego przez umyślnego pismo, którem zaprasza się do pana kuma w gościnę, i to z całą kompanją ludzi! Bowiem, jak pisze, uchwalono polowanie na Gorcach na dziki i uradzono, by w Klikuszowej, jako najbliżej lasów gorzeckich położonej, na sołtystwie gościną zanocować, wyjść stamtąd o świcie wczas, a, przeszedłszy łowami ku wschodowi Gorce, zejść na wieczór do dworu w Łopuszny. — Donosi też pan Zdanowski, że w polowaniu weźmie udział wszystka z najbliższej okolicy szlachta, również pan pułkownik Kostka, za którego głównem przyczynieniem owa wyprawa się stroi, — a że polowanie to ma być z naganką, o ludzi z Klikuszowej pan Zdanowski prosi. — Wkońcu o sobie nadmienia: że jemu już nie do łowów, lecz, jako zapraszający bez upoważnienia gospodarza do jego domostwa ludzi, sam chce na miejscu odium wszelkie na głowę swą przyjąć, a korzysta też z milej okazji, by kuma

szanownego i córkę swoją chrzestną, dawno nieoglądanych, obaczyć.

Wyrozumiawszy z trudem owo pismo, które mu Róża po kilkakroć musiała tłumaczyć, sołtys Czerwiński rozplomieniał, — jakby w przygasłą watrę jego ducha prąd wietrzny duchnął.

— Goście! Tylu ludzi!...

Na uboczu położonego jego domu nikt dawno nie nawiedzał.

Roilo się tu w one lata, gdy ta poruszka nieśczęsna... od której stracił pamięć rzeczy i w zmierzch półdrzemny zapadł. Sam nie wie, ile już lat. Roki, roki, roki... Jednakie chwile, zmierzchłe, jednaka, ołowianą mgłą wszystko naokół owleczone.

I naraz... Goście! Najazd liczny... pan kum...

Przywróciły się barwyienne rzeczom.

— Trzaby coś... — mówił do córki. — Trzaby przyjać...

Począł się krzątać po domu, coś radzić, coś zarządzać, wydawać rozkazy służbie...

Lecz nie szło mu to nijak. Od lat w umyśle zmierzchły, a przódy jeszcze, razem z nieśczęściem naszym, owdowiały, cały zarząd zaopuszczonem gospodarstwem, gdy jedynaczka podrosła, zdał na nią. Teraz więc, choć chwilą tą niezwykłą — zdawać się mogło — otawiony, nie umiał, nie wiedział zgoła, czego i w jakim porządku się imać. Tu i tam chodził, przynagłał, głosem po obejściu, jak w pustej stodole, dudnił — a głos ten wracał doń bez echa, jakby nie-

były. — Wysiłił się tak bez skutku, ożywieniem napłynionem wyciekł — wreszcie boleśnie bezporadnym wzrokiem oparł się, jak na lekarzu doznanym wiernie, na córce.

Róża też uspokoiła go zapewnieniem pobłażliwie czułem: że niech już zda na nią wszystko, niech się nie kłopoce, że wszystko na czas będzie przystrojone.

Z żywością zwykłą zajęła się przygotowaniami. Czas krótki miała na to, bo jeno dwa dni.

Komora wprawdzie i piwnica staraniem jej gospodarnem jak i bogactwem zszedziałem starego sołtystwa były zasobne niemało, ale na tylu spodziewanych i to tak szlachetnych gości widziało się to wszystko ubogie. — Prócz tego, przysposobienie całego domostwa: by się, półchłopskie, wobec panów w prostocie swojej porządnej nie miało powodu wstydzić.

Zaprzęgła służbę do sprzątania osiedla, do mycia. Posłała ludzi do miasta po zakupna, jakie miarkowała. Sama wzięła się do porządków w izbach, dozierając przytem kuchni i piekarni. Wszystko szło, jak przed odpustem.

A popędzała ją jeszcze w tej gorączce przygotowań wciąż obecna, choć tajna, dygotem serca głosząca się myśl: iż razem z gośćmi zapowiedzianymi pan pułkownik się zjawi...

Był on w jej myślach od chwili, gdy go nad miastem na wzgórzu miotającego płomienie ujrzała. Zwiadywała się óń często, a niepoznanie; każdą wieść o nim, o jego działaniu chwy-

tała gorącem uchem, przyswajając ją sobie sekretnie, jak dotyczącą zaklętego skarbu. Dopieroż w izdebce swej rozmyślała do woli nad temi najważniejszymi nad wszystko sprawami. Rósł w jej wyobraźni i swą jawą wszystką ją napelęniał, iż osobno siebie czuć przestała. A gdy mężką już się to stawało — postanawiała w sobie wiele razy: poleci doń i powie... Co powie?... Zastanowienie wstydlive cofało ją, coraz to jednak słabiej, od tych odważnych zamierzeń. Trwała jeno w miejscu dlatego, że wierzyła, pewną w sercu była, że go zobaczy, spotka...

I oto teraz niespodzianie... Przyjedzie do jej domu — na nocleg.

Izdebkę swoją mu odstąpi: o jasnych, pachnących jeszcze drzewem ścianach (gdyż niedawno przybudowana była ku świetlicy), a okienku, wychodzącym na sad, z wazonikami mirtu w ramach, z firanką muślinową z boku...

I swoje łóżko: limbowe, w kwiaty-leluje rzeźbione, zasłane białym, haftowanym rąbkiem — poduszki z puchu nowego, wysoko...

Przymykała oczy, widząc królewicza swego (bo tak go nazwała w sercu) na tem wezgłowiu bieluchnem, jak na chmurach białych o pogodzie, rozkosznie spoczywającego.

Często między jedną a drugą robotą biegła na próg izdebki popatrzeć, czy przysposobiona dla tak wyjątkowego gościa, jak należy. Zawdy coś znalazła, coby trza jeszcze zrobić. To lip-towskie wydziwne talerze w rogu nad półeczką

rzeźbioną umieścić, to kwiatki w dzbankach glinianych z Orawy na stoliku pod oknem i na szafce naprzeciw postawić, to co innego, co oczy podszepty, a co troskliwość uważała, iż panu chwilowemu tej izdebki przyjemność sprawić może.

Im bliższy stawał się moment, tak bardzo czekanym, tem trwoźniejszym w jej piersi dygotem radość się wydzwaniała. Niekiedy aż robotę musiała pilną przerwać i dłonią serce sekretnie przyciskać, by się tak nie głosiło.

To znowu lęk jej myśli napastował: Czy zwróci na nią oczy? Czy zobaczy i pojmie od razu?... Nie mogły jednak długo pobawić w jej sercu owe lękliwe nachody. Wiara uczucia ufna i pewność wracała. Wszystko prawdą wyspowiednią oczu, niewątpliwym zwiastem spojrzenia mu powie...

Patrzyła w jego obraz — tyle znany jej i bliższy — gdy na wzgórzu do ludu przemawia... Słów nie pomnie — widzi tylko płomienie władne jego oczu.

— Mój orzeł, mój królewicz...

Na myśl, iż go wkrótce w jawie rzeczywistej zobaczy, wszystką przeimał ogień, radość trwożna i szczęśny niepokój.

Na dzień oznaczony — środa 14 czerwca, z południa — wszystko było na sołtystwie przygotowane. Stół w świetlicy zastawiony dla panów szlachty, w piekarni również stół długi i ławy dla ostatnich gości.

Róża przystrojona wdzięcznie jak do ślubu — z kwiatkami w czarnych warkoczach, w gorsecie z lamy bogatej w złote kwiatowe wydziwy, w sukni zielonej i białym, haftowanym w obrębie fartuszku — kręciła się po domu, dawała służbie wskazówki, poprawiała jeszcze to i owo, często przez okna pozierając na gościniec prowadzący z Miasta.

Sołtys zasię, odświętnie odziany, do czysta świeżo wygolony, iż krew obiegła w podłuż ścięgna twarzy, z brwiami wysoko wzniesionemi, w ważność chwili — zdało się — krwawią ócz wmyślony, stawał przed progiem domostwa, nieruchomiał, odmierzał kroków parę i znów stawał, jak warta przed grodziszczem. Na gości z Miasta spodziewanych czekał.

Pierwszy zjawił się o śródmieczu pan Zdanowski z panem Gosławskim. Wysiadłszy przed domem z bryczki, witał się kordjalnie z kumem, uściskiem ojcowskim przyjął nadbiegłą Różę. — Na słowa jego przeproszań, iż taką subjeccję zapowiedzianym najazdem zgotował, sołtys, jakby treść słów doń nie dochodziła, kiwał jeno wyniosłą głową, łzami wzruszenia powieki rozszerzone krwawił, dłonią gościnną pana kuma do świetlicy prosił.

Wkrótce przybył pan Gniewosz z panem Chrzastowieckim. Po nich, z kilku strzelcami pan z Ostrowska. Wreszcie z hałasem psów i naganiaczy nadciągnął pan Lisicki.

Gospodarz, wartując w progu, przyklonem

głowy wysokiej witał wszystkich i prawicą ozwodną do świetlicy do środka zapraszał. — Tu gospodynią była Róża, którą wnet jednak zluzował, komplementując a błaznując, ohotny wielce pan Gosławski.

Poczęto od nalewek i zakąsek zimnych. Pan Gosławski krążył wkoło z flaszą, przyśmiewał się, przypijał, nalewał, jakby go kto umyślnie do tej służby najął. Po flaszy jednej druga, trzecia... Podcięli się setnie panowie myśliwi, nim jeszcze dzień z za okien uszedł.

A oto pan Gosławski podał wino stare, z piwnicy podstarościńskiej przywiezione. Zakurzyło się z czubów. Rozrzewniony już całkiem pan Zdanowski usadził kuma sołtysa obok siebie i coś mu w dudnieniu izby, gestykulując szeroko, przedkładał, na co tenże, oszołomiony gwarem i oparem wina, kiwał jeno potakliwie głową i przekrwawione powieki coraz bardziej łązawił. — Róża, zawiadując o stole w świetlicy, doszając z kuchni i z komory, co było potrzeba, często w przebiegu przez sień wyzierała za próg na gościniec, a gorączka oczekiwania lica jej zogniła.

Dopiero pod sam wieczór nadjechał pan Kostka. Z liczną drużyną zbrojną, w otoczeniu sołtysów czorsztyńskich. Ci przyostali przed domem i w sieniach — Kostka wszedł do świetlicy.

Powitano go hucznemi okrzyki.

— Vivat pan pułkownik! Prosimy bliżej! Niech żyje!

Paru ruszyło ku niemu, potacząc się, z kielichami w dłoni — niektórzy już nie mogli od stołu się dźwignąć.

Pan Gosławski zbliżył się doń z uśmiechem porozumienia.

— Niewiele już im trzeba — szepnął, wskazując stół oczyma.

— Ho! pan pułkownik jak na wyprawę wojenną! — zawołał trzeźwiej pan Lisicki, zauważwszy przez okno liczną w dziedzińcu strzelbę.

— Boć to królewskie łowy z Wmość panem — rzekł na to Kostka.

— A tak... królewskie... tego... — Dym pochlebstwa zmieszał się z oparem wina. — Psy mam sławne... dołapią... za uszy, tego... jak nie raz. Jutro o świcie... czuj duch!

Pobok stołu pan Zdanowski, chwiejąc się a trzymając obu dłońmi ramienia sołtysa, przedstawiał ze łzami w głosie:

— Mój kum najlepszy, Czerwiński... A oto pan pułkownik Kostka, o którym tyle kumowi...

Sołtys kłaniał się machinalnie, nie ujmując wyciągniętej dłoni. Nagle przyszła nań pamięć: wzgórze nad miastem, mowa, która go tak zlekła... Surowo w Kostkę krwawym wzrokiem spojrzął:

— Nie trza... nie trza było... to bunt!

Przed zdumionym temi słowy Kostką stanęła Róża, przesłaniając ojca. Znała słabość tę jego, bała się dalszych wybuchów.

— A to chrzestna moja córka — przedstawił w płaczu pan Zdanowski.

— Miło mi... — skłonił się Kostka.

Zahuczano ich od stołu. Pito zdrowie pana pułkownika.

Róża wyszła ugościć sołtysów. Gdy za chwilę wróciła, a służebna za nią wniosła światło, pułkownik siedział przy stole, wesoło rozprawiający, w pijanem już dobrze gronie gości.

Wsparta o kredens, patrzyła weń czarnemi ogniami oczu. — Bezskuteczna ich siła. Nawet przelotnego spojrzenia jej nie dał. Kiedyż, kiedyż mu powie...

Sołtys Czerwiński, poruszony, opuścił świetlicę, wyszedł przed sień domostwa. A tu w dziedzińcu, od zarzy jeszcze widnym, ludzi zbrojnych mnogo... jak wtedy.

Wstrząsł się w sercu.

— Tak samo o tym czasie, pod wieczór, tu sie zesзли...

Złękniony, zawrócił w sień — wszedł do piekarni. — Boże! coż to?... mary, czy co... towarzysze oncześni, sołtysi...

Siedzą przy stole — piwo przed nimi, kołaczce... Skądże ci tu?... czy ich duchy...

Oto Jakób Sromowski, sołtys ze Sromowiec, którego pan Baranowski, onczesny starosta czorsztyński, a szwagier Komorowskiego, tyle ugębił... Dał sie mu też wzajem i on we znaki. Oto dalej: Bartłomiej z Grywałdu... Maciej Krośnicki... cie, cie... sołtys Potoczny ze Szczawnic...

Szczerba z Maniów... no patrzcie... Leszycki nawet z Tylmanowy... Ochotnicki Jan... Kluczkowski...

Wodził po nich oczyma krwawemi — w pół wierze, czy ich prawdą widzi... Gdy ci weń znów jak w zjawę patrzyli. Wreszcie ważył się spytać:

— Skądże to... gdzież to, kumowie?...

— Po was przyszliśmy, kumie — rzekł Sromowski z powagą surową. — Trza sie stroić...

Uśmiechali się drudzy porozumiewawczo.

— Jakże to... po co... — jękał.

— Rebelja!

Słowo to jak piorun nań podziałało. Pobladł, trząść się począł — w rozszerzonych oczach lęk stanął. Powrotną falą krwi zaogniło się czoło wysokie. Uniósł dłoń trzęsącą w górę:

— Krzyżem lec... nie dopuścić! Grzech... pohańbienie... klęska... Powiążą — do ciemnic wtrąca — siarką wypalą serce... — o, patrzcie!... — roztwarł na piersiach koszulę i ukazał okrutne blizny spalenia.

Zawstydzili się żartu. Milczeli. A on dudnił nad nimi:

— Tak wam... tak wam uczynią! Grzech... klęska... pohańbienie wieczne...

Wbiegła Róża. Dorozumiała się. Ujęła ojca za rękę:

— Chodźcie, chodźcie, tatusiu... Jutro pogwarzycie. Panowie przespać się muszą.

Przygasł odrazu — mgła nań zaszła — powolnie dał się wywieść córce.

W świetlicy pobok hałas gwaru ustał. Wino starościńskie, gęsto przez Gosławskiego dolewane, wnet panów szlachtę zwyciężyło. Pan Zdanowski już chwilą zasnął we fotelu. Insi jeszcze pasowali się z nachodem senności — coś okrutnie prawili, coś rozpowiadali — lecz niemoc wkońcu wzięła górę. Kłonili się jedni po drugich na stół, to na ławy — ostatni pan Lisicki ze słowy: „jutro o świcie...” zachrapał.

— Czas na mnie — porwał się Kostka. — Zaopekuj się waść nimi — wskazał Gosławskiemu śpiących.

W sieniach napotkał Różę.

— Posłanie dla pana pułkownika zgotowane — rzekła.

— Wdzięczny jestem waćpannie za subjeccję, lecz z posłania onego dziś nie skorzystam. Dziś będą, jak głosi śpiewka: „bukowe listeczki moje poduszeczki...” Bóg zapłać za gościnę!

Wypadł na dziedziniec.

— Gotowiście?

— Gotowi! — odrzekły liczne głosy.

— Panowie sołtysi?

— Są wszyscy.

— Ruszamy!

*

Pan Gosławski zajął się śpiącymi. Zawołał ludzi. Pana Zdanowskiego przeniesiono za wskazaniem Róży na łóżko sołtysa do bokówki, dla panów pozostałych rozesłano pod ścianą w świe-

tlicy skóry niedźwiedzie, futra, sukno owcze, i ułożono ich wygodnie. — Pan Lisicki opierał się, bełkotał coś: „łowy... świt... jedziemy!“ — lecz i on po walce krótkiej dał się na ziem złożyć.

Uciszyło się w sołtystwie.

Pan Gosławski, widząc okazję dobrą, począł ataki strzeliste do Róży, która sprzątała w izbach, lecz spotkał się z taką odprawą lodową, że prędko ostygł w zapalach.

— I tu pułkownik kwaterą — zazgrzytał. — Widno było, jak za nim oczy jej szły.

Pozlewał reszty wina, usiadł przy stole w świetlicy i począł się sam raczyć.

Goście pokotem chrapali pod ścianą.

— Przysłużyłem się mu. Przysłużę się mu jeszcze nieraz. Wdzięczny mu przecie być muszę — za wszystko.

Kaganek na ścianie gasł. Mruganie światła chodziło po izbie.

— Trza się przedrzemnąć — dumał. — A raniem do Czorsztyna... Pułkownik tam już będzie. Nie opuszczę go — o nie — aż do końca.

*

Późno już Róża, uładziwszy dom, weszła do swej izdebki.

Ścisnęło jej się serce, gdy w bladym świetle kaganka obaczyła pokoiik, który myślą już oddała, pusty. — Nie zobaczy go ten, któremu był z taką radością strojony.

Oparła śliczną, ociężałą warkoczami głowę o róg limbowej szafki.

— Nie ujrzą jego oczy tych kwiatków we dzbanach, które dla niego dziś o wschodzie umyślnie zbierała. Ani tych talerzy na półeczce. Nie przypomną mu się ściany jasne tym pamiętnym na długo zapachem żywicznej kadzielnicy. — Nie spocznie jego cudna głowa na tych poduszkach białych z puchu, które dlań — królewicza — wysoko upiętrzyła..

W myśli najcichszej zanuciło się jej:

„Bukowe listeczki, jego poduszcзки..“

I same bez przyczyny poczęły się z jej oczu otwartych staczać łzy po ogniu lic — jedna za drugą — jak paciorki.

*

Drużyna zbrojna, opuściwszy o zmroku sołtystwo, udała się Klikuszową wzdłuż potoku Lepietnicy w górę. Podążała śpiesznie, jakby pilno jej było zająć stanowiska wskazane przed świtem.

Wnet się straciła wieś. Ostatnie pod Gorcem osiedle Parzygnata — i drużyna zadała się w lasy: w ubocz wstającą stromo, drogą kamienistą, którą zwożono do wsi z polan siano.

Szli sznurem luźnym, jako zwyczajnie myśliwi, swobodnie, a w pewnym zgóry porządku. — Waksmundzki Jakób, leśny dworski, znający dobrze wszystkie przechody w tych stronach, prowadził. Za nim szedł Kostka w otoczeniu czorsztyńskich sołtysów. Dalej strzelcy, z Orawcem Jaśkiem na czele.

Sołtysi wszyscy mieli flinty, toporki i rąbani-
ce. Gwarzyli, idąc, między sobą. Mówili o Czer-
wińskim, gdyż żywo mieli na oczach krzyczące
blizny jego piersi.

— Człek to był kiedyś, jakich mało — obja-
śniał Kostce Sromowski. — Widzieć go było
w czasie rebelji...

— Hej — zaświadczyło paru.

— Łętowski był przewodcą głównym, ale ten
najwięcej staroście dopiekl. Żołnierz to był wy-
śmienity. Kie się zwiedziało, iż starosta rajtarów
Niemców ze Śląska prowadzi, kazał na Obido-
wej na drodze las podciąć, zataił się poza onemi
wykroty ze strzelcami i godnie ich tam przyjął.
Bez to siła starosty upadła. To też na niego naj-
bardziej się zawściekł. Aże zdradą go do Miasta
złudziwszy, w ręce swe dostał. Wyzwoliła go
wkrótce ucieczka starosty — ale już w ciele
i w duchu zgasłego. Jest jak kostnica wyziąbla,
po której życie się płacze. Jedno ostało w nim
jeno: pamięć tortur i klęski. Odtąd, kie wspo-
mnieć przy nim rebelję, jego sławę — to jakby
piekło mu pokazać. Musiało też to być piekło —
jak widać choćby z tych blizn...

— Hej — przytwierdzili sołtysi.

Niebawem wynieśli się na grzbiet Gorca i szli
polaną widną w stronę wschodu. Księżyc toczył
się pełnią nad doliną. Na polaną padały z kraja
cienie smreków. Rosa gęsta przysiadła trawę.

Polana się skończyła — weszli znów w las,
w aleje tajemnicze buków i jodeł. Cisza nakaźna

ich objęła. Nikt słowem się nie ozwał. Przemykali, jak duchy, cieniami przez pola światła — jedynie szelest traw i piaru świadczył, że ludzie idą.

Dochodzili pod Kluczki, najwyższe południowe wzniesienie Turbacza.

Znagła od wierchu dobiegło dudnienie, jakby drzewo leciało uboczą.

— Dziki idą! — szepnął z przejęciem Waksmundzki, strzelbę mimowolnie gotując.

Dudnienie rosło. Przystanęli. Szły na nich prosto zgóry — zaczuł nie wiał z tej strony.

Wkrótce tuż obok przez światło przerzedziły mignęły kształty ciemne, jak szatany — jeden, drugi, dziesiąty — sztuk kilkadziesiąt może — i przepadły z dudnieniem w uboczy.

Nikt nie strzelał.

Waksmundzki prowadził dalej.

Minęli Turbacz bokiem, weszli na polanę Długą, stąd na Kiczorę, niewiele niższą Turbacza. Szli dalej przez Borsuczyny, poniżając się ku Jaszczom. Idąc pochylnią z góry, naśpieszali. Wnet wynieśli się znowu na Gronek nad Hubą, gdzie sołtysi czorsztyńscy przewodnictwo wzięli, i szli wałem wysokim ku wschodowi.

O brzasku pierwszym stanęli wreszcie na Lubaniu, najwyższem z północy wzniesieniu nad Czorsztynem.

Tu spoczęli. Strzelcy złożyli ogień. Kostka usiadł na głazie opodal, w oczekiwaniu dnia.

Nad sinia ą gór na wschodzie rozniecała się po niebie łuna, której owiad o idącym świecie po- trwożył gwiazdy. — Księżyc w pełni, o blasku przygasłym, zawisł u skłonu zachodniego, nad Babią Górą.

W niesamowitem półświele — pod walką powietrzną nocy ze dniem — tała się dolina Dunajca.

Łuna na wschodzie rośła. Żółte i różowe świa- tło przenikało zieleń nieba, szerząc się jaśnią ku górze. Gwiazdy ze stropu ponikły. — Na zacho- dzie, w zsiniałej oprawie skłonu srebrzyła się coraz bladziej, zогromniała przerażeniem, tarcza księżyca. — Świt następował zwycięsko...

Odsłoniła się oczom dolina... Nad Dunajcem i równią nowotarską mgła leżała. Wyświecały się z niej wieże, jakby z zatoniętego pod jezio- rem miasta. Naprzeciw na południu — ni to wał sinych chmur, ni wydzwigniona z morza sreżog niespodziana wyspa — rysowały się grzebieniem na niebie w ścianę zsiniałe Tatry.

U wypadu Dunajca z doliny, zaiste jako bra- my tytanne Podhala, Trzema zwieńczone Koro- nami, różowiały w świecie skały Pienin.

A tuż w dole ponad mgłą — na skale stro- mej, wysokiej — jak jakieś dziwo zakłete — rdzawiący się murami groźnemi, zamek czor- sztyński...

Przywarł Kostka do niego oczami, jak orzeł z góry do ujrzanej na ziemi zdobyczy. Obrono- ść jego ważył.

Przybliżyli się ku niemu czorsztyńscy sołtysi.

— Czasby już był, panie pułkowniku... Dzień się już widny robi...

— Sposobniejszej chwili niema — przydał Sromowski. — Z umysłu doradzaliśmy ten moment, kiedy świtaniem ludzie okoliczni do zamku idą z mlekiem, to z serami — i na bramę nikt nie daje uwagi. Dołem jakbyśmy szli, toby postrzeżono — a z tej strony, od Wzaru, nikt się nie spodzieje.

— Ino już czas — naglili — pokił słońko nie wyjdzie...

Kostka przyznawał słuszość ich doradom, jak przyznał wtedy zaraz, gdy plan mu ów podali. Na to urządził łowy, ludzi zebrał, i tu o brzasku stanął. Lecz teraz — gdy jest na miejscu — gdy, zda się, sięgnąć jeno dłonią po ten zamek — ociaga się z decyzją — duma — i w myślach się rozechwianych waży.

Przyznaje oczom: zamek niedostępny — tuż nad samą granicą, na trakcie jedynym...

I liczy w myślach:

— Mieć Czorsztyń, to jest mieć Podhale. A mieć Podhale, to jest mieć i Kraków. A mieć Kraków, to znaczy...

Tu wątpienie doszepnęło: mieć Rzeczpospolitą?...

Staneła przed nim: — morze szumiące pianą, nieujęte — w rozbieży sił, jakie dobrze rozumem oceniał.

— Na cóż to się chce ważyć?...

Sołtysi przynaglali:

— Czas już najwyższy, panie...

Nie dźwigał się, nie słyszał. W sobie samym, w głębi serca i ducha wskazania wyraźnego czekał — oczyma w Tatry naprzeciw wpatrzony.

Tedy zaszła rzecz ważna. Pierwsze promienie, jeszcze niewidnego, słońca skrwawiły obrzucem nagłym wyniesione pod strop nieba, kamienne czoła Tatr...

Zażęły się, zagrały granity. Zaiście dumą nadziemską spłonęły.

Stały naprzeciw jawą niepokonalne olbrzymy.

Potęgą całą uderzyły w oczy i ducha Kostki.

Potęgą ta jak płomień go przenikła. Moc nakażna dźwignęła go za włosy.

Powstał — dał znak ludziom — i począł zstępować na dół w stronę zamku...

Tatry zdecydowały.

CZĘŚĆ DRUGA

I.

Cóż to wzruszyło ciche dziedziny Podhala? Cóż ich czujność zbudzoną ku wychodniej obróciło stronie?... Czy tatarską oderwę luna zwiściła od wschodu? Czy Rakoczy, siedmiogrodzki zdrajca, przymknął ku spiskiej granicy?...

Groźna, tajemna postać Wojny, zdala nadzieją serc śmiałych wołana, a zbliżona jawą trwożąca, w czarną chmurową płachtę owinięta, z oblicza (co przyniesie: klęskę czy żywot lepszy) niezbadana, stanęła w skłonie wschodnim na widoku wszystkich.

Pasterze, bydło po wierchach pasący, wskazują ją sekretnymi znakami jedni drugim. Śpiewać i głośno pohukiwać się wają. Twarze ich młodo-wieśne zeszaryła powaga.

Niewiasty, len w zagonach na polu plewiące, prostują się co chwila w postaciach habinnych, na dłoniach w zatroskaniu opierają twarze i ku pienińskim widnym skałom oczy spłoszone kierują; a gdy ich jest dwie i więcej, coś trwożnie sobie udzielają.

Starcy stu i kilkuletni, za obręb obejść od wielu lat nie podróżujący, wyłażą z chałup o wieczornym zmierzchu i, nieruchomiejąc u węgiel izb, niby pnie jesionów szarych, w znaki, jawione na wschodzie, oczami przygasłemi patrzą.

Gazdowie zasię młodzi i junacy, za dnia w pośpiechu jak przed świętem na oborach swoich pracujący — kiedy słońko za horami Orawy zapadnie, a gwiazda pierwsza nad Tatrami na niebie zaświeci — kupią się u wrótni obejść, żywo między sobą radząc, i rękami raz po raz na wschód pokazują, gdzie na widnokręgu w zębach Pienin trzy ogniska się niecą.

Od trzech dni na Trzech Koronach płoną wici.

Za dnia, przy rozmięci słońca, ogień na skałach przygasa — Trzy Korony, jako hełm na niebie, potrójnym pióropuszem dymią — a o zmierzchu ogniska, sycone cieniami, zakwitają na nowo jarzącym płomieniem i świecą przez noc na krawędzi nieba, jak olbrzymie, na skłonie siadłe rubiny.

Widno ich zewsząd z Podhala; ku najdalszym dziedzinom zachodnim ojaw ich krwawy dobiega.

Wraz też z podniętą ognisk o zmroku wieczornym, jak pod działaniem urocznem ich czar, dziwne się rzeczy poczynają sprawiać w przycichłych za dnia dziedzinach. — Przez szyby okien, słabo kagankami lub łuczywem smolnem, karkułami, płonącemi w kominkach czarnych,

rozświetlane, widać we wnętrzach piekarń niezwykajne krzątanie się ludzi—; gazdynie, placki świeże na ławach chłodzące, tobołki, torby duże z żywnością strojące; gazdów młodych i synów, przystrojem broni zajętych, to przyodziejw świąteczną, jak na odpust, na się wciągających —; słyhać w obejściach skrzyp wrót, tupotania, przemykania postaci od chałup, do chałup, ciszone nawoływania: „Szymek! Bartek! Gotów eś?!“ A porą późną, gdy światła okien pogasną, wywierają się z izb cienie, we fuzje zbrojne, zbierają się za opłotem wsi w gromadki większe i polami naprzelaj przy zorzy gwiazd ku Czarnemu Dunajcowi śpieszą.

Wywołały ich wici one, na Trzech Koronach płonące.

Co noc tak z uśpionych dziedzin wydzierają się gromadki zbrojnych — a wszystek ten ruch tai się pod żalobą nocy i sprawia groźne, niesamowite wrażenie, jak przemykanie cieniów bliskich na odkrwawiu pożaru. — Trwoźnie uderzają serca oglądających się na ostawione w pomroczy nocnej domostwa, gdyż w łunie wici płonących na wschodzie stoi, na niebo przerazią wyrosła, każdemu zdaleka widna, olbrzymia, w płachtę czarną otulona postać, z rękoma na piersiach na głowni miecza pod płachtą, z twarzą zakrytą, niezbadaną, jedno z załamów ostrych kiru skalnej srogości domniemaną —: Wojna.

Od trzech dni palą się wici. Na pospolite ruszenie Podhala. Skrzykują naród wszystek, co

broń udźwignąć zdoła, aby się co rychlej, jak było rzezone, w Czarnym Dunajcu pod rozkazy Marszałka Łętowskiego stawił.

Poszło hasło ogniowe — sprawiło po dziedzinach swoje. Nikto dźwierzy nie zaparł, nie zapisał wicianych tych nocy. Nie chybiło honorne Podhale.

W Czarnym Dunajcu rojno. Napłynęła już z bliższych dziedzin ludzi znaczna kupa, i nowe gromady zbrojnych co noc przybywają. Z każdym dniem masa ludzka wydatnie się wzmacnia, jak skłęb wód, ujętych w groblę, dopływem ze wsząd syconych. — Oblegli obozowiskiem do kolnem sołtystwo — mieszczą się w dziedzińcu, w sadach i na otwartem polu za obejściem — każda wieś pod swoim znakiem.

A Łętowski Marszałek chodzi pośród nich, wójtuje, nadpływające gromady przegląda — serce jego, rebeljanta starego, siłą rosnącą się cieszy.

Posłał już raport panu pułkownikowi do Czorsztyna. Rozkazów jego czeka. Tymczasem kupy w ład wojskowy wciska, kompanje z nich, zastępy równe wydziela, przewójców nad nimi z doświadczonych wybrańców ustanawia, musztrować, z obrotami i z bronią nieobytych, każe.

Odbywają się te musztry w rannym czasie na odkrytych borach dunajeckich. Ćwiczą się młodzi wśród śmiechów, docinków — nikto tu o kneblowaniu swobody przyrodzonej nie dba — wszyscy swoi.

— Prostuj się, Jasiu, bo powiedzą, żeś całe życie torby za panami nosił.

— Zej to od tych baranów, co je zniósł z Orawy, plecy mu się zgarbiły.

Abo z inąd:

— Jakoż on hań tę fuzję trzymie? Przysadził się z nasilkiem, jak Lach do dzierzaka.

— Boi się, coby z odtylca nie pukło.

Tam znowu:

— Symek! Czyś u organistego za kalikę służył? Jak cie Tereska twoja ujrzy, to od wstydu poroni.

— Dyc je jes z Poronina.

Śmiechy.

Poboku stoją gazdowie podletni. Ci nie ćwiczą. Widział Marszałek ich obroty sprawne — w rebelji. Przypatrują się młodym, fajki kurzą i gwarzą między sobą.

— No i patrzcie... wnet wojsko wyrobiją.

— Z powagą do rzeczy się zabierają.

— Na duże się coś stroi.

— Stroi się, stroi. Bógże wie, co wyniknie...

— Co ma wyniknąć? Wojna.

— Dyc to już widno. Wici poszły. Ino nie wiada z kim, jak, przeciw komu...

— Marszałka w tem głowa. On tam już wie, co robi. Jak i wtedy, w rebelję... Widziało się: starosta, mocarz, taka góra — że ani myśleć o sprzeciwie. A on skrzyknął wej naród — góra spadła — my przy swoim ostali..

— Tak, tak... prawda to istna, w oczach naszych spełniona. Temuśmy tu dziś są. Ino dziś... starosty nima... o Rakoczym też nie słychno...

Któryś znacząco przymrugnął:

— O króla sprawa...

Zastanowili się w sobie.

— Ktoż wie, być to i może.

— Marszałek — ho! ho! — on z królem, jak ja tu z wami. Co se uchwała, to święte.

— To też ma wzięcie, powagę. Jego sam pułkownik słucha...

— Dyć i on je jak pułkownik...

— Cicho — tu idzie...

Nadszedł Łętowski ode wsi: popatrzeć na musztrę w borach. Z nim Klemens Mientus, Grzegorz Dzielski z Działu.

Wzruszeni gazdowie szepcą:

— ...jak wte, w rebelję... z towarzyszami dawnymi...

Zbliżył się ku gwarzącym.

Powitali go uniosem kapeluszy wgórze.

Zwysoka pojrzał a przyjaźnie:

— Coż uchwalacie?

— Radzimy, kumie marszałku.

— Nie czas radzić.

— Dy wiemy.

Śmielszy któryś zagadnął:

— Panie marszałku, jak dumacie? Ka sie obrócimy?

— Ka nas Pan Bóg obróci.

— Wola Jego. Nikt sie nie prociwi. Ino naród ciekawy...

Łętowski do Mientusa, pisarza Rady, się zwrócił:

— Kumie, co pan pułkownik w uniwersale powiada?

— Że na świętego Jana pójdziemy pod Kraków. Któryś z chłopów znacząco poszepnął:

— Tam króla więzią.

Łętowski pojrzał po zebranych.

— Świętego Jana blisko.

Przeszedł dalej.

Na twarzach gazdów powaga zaprzysiężna siadła.

— Jak my sie na to zajęni, trza dokonać.

Mientus, postępujący pobok Łętowskiego, gdy Dzielski naprzód się wysunął, rzekł, kręcąc głową:

— Coś niejasno.

— Niby z czem, powiadasz, kumie?

— Nie tak, mówię, jak w przedczas onej rebelji. Nie widać tej pochopności...

— Ba! Bo ciemieżcy niema przed oczami. Naród prosty za miedzę nie sięga. To nic. Trza ująć jego ramię — niech jeno mocne bedzie...

Klemens Mientus sciszył głos:

— Słyszać ze stron: księza coś wachają...

— Ba, widzą przecie. Pod korcem ognia nie skryje.

— Do Krakowa przez góry częste przechodzą posłańce. Trzaby uwagę zwrócić na te posły.

- Płotem Podhala nie zamknie.
- Boję się biedy jakiej z tej przyczyny.
- Coś ci, kumie, dziś czarno dzwonili. Przypatrz się, jak chłopcy ćwiczą. Wnet ich tu będzie pełna błoń. Bór tu żołnierzy wyrośnie. Coż Kraków przeciw tej siły?
- Z Czorsztyna nic nie słyhać...
- Uniwersały już poszły. Wnet ruszą województwo całe...
- Z Pcima gotowość zgłaszali, i nikt się do tam nie jawi. A musiało ich już dojść hasło...
- Nadejdą. Ino ich patrzeć.

*

Hasło ruszenia, okrzyk wici: „Już czas!“ z ust do ust, z dziedzin do dziedzin podawane, obiegłszy wsi królewskie Podhala, schowane siedziny babiogórskie, wąwozy żywieckie, zataczając coraz dalsze kręgi, wpadło rychło i w pcimskie biskupie osiedla.

Nastroił już ten kąt województwa rektor Martinus Radocki. Zaraz po onej tajnej z „bratem Leonem“ rozmowie, zebrał się w duchu i poszedł między biedny naród wieścić przemianę bliską. Szedł od wsi do wsi, od chaty do chaty i, duchem wielkim zapalony, kazał... Jako że się miarka nieprawości już przebrała. Jako że możni będą poniżeni, a oracze ubodzy pierwsi przed Panem zasięda. Jako że się już zjawił Wysłannik ów boży, który nieprawość pobije, przemoc złamie, a sprawiedliwość, ze świata wygnaną, na padół ziemski przywróci.

Ludziom, którzy szli za nim, pytając, co czynić mają i rychło ujrzą Wybawcę, powiadał:

— Hasło przyjdzie. Chaty swoje wtedy umazicie i, wzięwszy wszyscy broń, jaka pod ręką — kopacze, rydle, siekiery — żywności na dni niewiele, ruszycie na miejsce zboru. On was ku wyzwoleniu powiedzie.

Zatliły się nadzieje spopielone w sercach, jakby we wiatrę przygasła nad ranem wiatr świeży przeciągiem powiał — naród nędzny się ocknął. Jął szeptać pomiędzy sobą, powtarzać słowa rektora słyszane z przydatkiem swoich zagłodzonych pragnień — aż i gotowość z tego nieśmiała jęła się budzić. Przychodzili pod noc do rektora wysłańcy z różnych osiedli: jako ruszyć na hasło byliby gotowi.

Tedy Radocki, który gorzał w niecierpliwem sercu, powiadomił o tem pułkownika.

A skoro hasło ruszenia nadeszło — strach padł na biedny naród. Pozierały osiedla po sobie, czekając, które pierwsze ruszyć się ośmieli. Nad potrwożonymi zawisł gromem tylekroć doznany bat pomsty. Doświadczyli na grzbietach swych krwawo, co to jest uchylić się na chwilę z poddaństwa. „Kieby zezwolenie było pańskie, toby my szli“ — mówili. Niewola ich już, jak rdza lemiesz, długo w ziemi ostawiony, zżarła.

Wtórnie z żarliwem słowem wszedł między nich rektor. Tedy za przyczyną jego jęli chaty swe tu i ówdzie mieć, jęli się skupiać, naradzać...

Nie uszło to uwagi proboszczów. Poczęły do biskupa iść wieści płochliwe: jako chłopci się kupią, wiecują, chaty swoje nad obyczaj mają i ku czemuś niedobremu widno się sposobią.

„A wszystek ten wiatr zaraźliwy idzie, mówią, od gór, gdzie jakiś Kostka pułkownik się zjawił, którego chłopci obalamuceni jakowymś Wysłanikiem mienia“.

II.

Kostka, zajmwszy bez wystrzału Czorsztyń, sługi starościńskie i rodzinę liczną żyda arendarza, który tu z ramienia starosty jako burgrabia się rządził, czynsze od chłopów ściągając, porzpedzał — sołtysów zaś, którzy chcieli arendarza wieszać, sutem śniadaniem w zamku uraczywszy i hojnie z zasobów, zastanych w komorach obdarowawszy, do domów bliskich odprawił. Zaczem zleciwszy Jaškowi Orawcowi baczenie na bramę, udał się na ogląd twierdzy.

Zaiście, twierdzą było wzniesienie pogieęte, otoczone z trzech stron — z zachodu, północy, wschodu — murem nierównie wysokim, łączącym się tu i ówdzie z czubami wystających skał.

Właściwy zamek, o czterech graniach baszt, wznosił się w stronie południowej twierdzy na wysokiej skalnej samorodzi. Ściana jego południowa stała równo na ściętej ścianie skalnej, spadającej prostopadle na stóp kilkadziesiąt wdół. Pojrzeć z góry, w głowie się mąciło. W ścianie zaś zachodniej zamku był mur podwójnie gruby

z maskowaną bramą od zewnątrz, widną już zdaleka z traktu, który tu pod stopy zbocza, stromo spadającego od rzekomej bramy, pod mur zewnętrzny dochodził i zakręcał się stąd nagle ku Dunajcowi. — Wróg, nie znający zamku, mógł się tą bramą pozorną łatwo złudzić i stąd poczynać atak.

W terenie północnym twierdzy, między zamkiem właściwym a murem, łączącym grzebień skał, były trawniki spadziste i sadek zaopuszczony, jakiegoś podstarościego zaniedbane dzieło.

Od strony wschodniej otaczał mur zewnętrzny zabudowania gospodarcze, stajnie i obszerny dziedziniec z bramą wjazdu. — Był to jedyny dostęp do zamku, prowadzący okolną od północy drogą. Tuż poza bramą wznosiły się, idąc szeregiem na wschód, czuby wapienne skał, zwane Skalki, niektóre wyżej zewnętrznego muru, co mogło być wydatnie pomocnem przy dobywaniu twierdzy.

W zamku samym na górze, też brama była od wschodu — wewnątrz dziedziniec ciasny, z głęboką, kutą w samorodzi studnią. W górnych izbach baszt były stropy z drzewa, w kwadry i belki flisowane. Ściany z cegły palonej późniejszą widać były dobudową. Lecz dolne mury i sklepy zamczyska, z okrągłego, polnego kamienia na samorodzi skalnej utwierdzone, o odległych, zamierzchłych prawyły czasach.

Z nabożną też zadumą szacował ich wiek Kostka.

Wzniesli je prawdopodobnie, jeszcze przed przyjsciem Polan, Normanowie — i ten skandy-nawski *Skorsten* (znaczy: komin) abo niemiecki *Zornstein* (grozny kamien) strzegł starozytnej drogi greckiej, wiodacej tedy od Bałtyku do Carogrodu.

Z okien zachodnich, w gruby mur wpuszczo-nych, patrzal Kostka na ten historyczny, od No-wego Targu prowadzacy trakt, ktorym wej tyle wiekow i dawno zmarlych narodow przeciaglo.

Wzdłuż traktu onego, jak wąż łuskami na skrętach łyskający, wił się wśród łąk i lasów Du-najec. Cała dolina, jak zatoka, widziana z wyso-kiego brzegu, legła pod zachód otwarty. Za-mknął ją od północy wał lesisty Gorców, a od południa ściana niebotyczna Tatr.

Poją się długo oczy Kostki światłem rozległej doliny.

W komorach zamku zastał żywności dosta-tek — jeno amunicji brak. Nic to. Natura sama urządziła obronność Czorsztyna. Niedarmo strażnicą traktu obrali ongiś Normanowie te nie-dostępne skały.

Poczuwszy się w tem gnieździe obronnem, jako orzeł na wysokiej grani, ostatek wahań z my-śli zegnał, do działań śpiesznych przystąpił.

Na Trzech Koronach kazał palić wici. Trzy dni, trzy noce płonęły.

Poszło już hasło niecofnione. Wzburzyło Podhale.

Do Łętowskiego napisał — uniwersał powołujący dla wagi rzeczy przydając — by siły wszystkie czem prędzej pod swoją rękę gromadził.

Zaczem posłańca pchnął na Śląsko, by Chowaniec z regimentem śpieszył.

Drużynom w lasach dał rozkaz, by się ku zamkowi przybliżyły.

Księżciu biskupowi krakowskiemu, by czujność jego ukołysać, doniósł, że obsadził zamek pograniczny, przez starostę lekkomyślnie w niezaopatrzeniu odbieżany, aby nie wpadł przypadkiem w ręce Rakoczego, który o Kraków, jako słychno, kusić się zamyśla; o czem donosząc, prosi o przysłanie amunicji i armatek na osłonę zamku i służby swoje ofiarując ect. ect. Podpisał się: Kostka Napierski, pułkownik J. K. M.

Zaś do księcia Rakoczego posłał wieść z poradą, jakoby od osoby postronnie życzliwej, że siły wielkie nad granicą polską się gromadzą, by się w tym czasie nie wazył ku ziemi spiskiej posuwać.

A gdy go doszły od rektora słuchy, że w niektórych wsiach biskupich lud się z ruszeniem ociąga, powiadając, żeby pismo miał królewskie, toby się ochotnie ruszył: tedy dla onych ociągających się uniwersał na ręce rektora napisał, w którym „wszem wobec i każdemu zosobna świętej wolności i swobody życząc“, oznajmia „wolę Bożą, a także J. K. Mości, iżby czem prędzej

dziej garnęli się pod skrzydła jego pod Czorsztyń“, obiecując w imieniu J. K. Mości wszelkie wolności tym wszystkim, którzy przy nim bez wahania staną. „Owszem — woła — sami chcecie się z tej ciężkiej niewoli wybić, kiedy czas sposobny macie. Już się was dość namordowali ciż pankowie, że też głos was płaczących o pomoc na nich do Boga woła“. Dalej przestrzega „aby żadnym uniwersałem, choćby z pieczęcią i ręką J. K. M. były, wiary nie dawali“, gdyż je musi wydawać pod przymusem. Wzywa wszystkich na końcu, by się stawili co rychlej w państwie nowotarskiem „gdzie pan Łętowski Marszałek pułkownikiem ich będzie. Jenó żebyście — pisze — przez Nowy Targ idąc, JMCI pana Zdanowskiego nie tykali i tych wszystkich wsiów, w których na tykach obaczycie wieńce. Kościołom także — przykazuje — aby była obrona, gdyż o Boga i krzywdę ludzką wojować będziemy“. Podpisał się: Aleksander Lew z Sternbergu Kostka.

Przez kilka dni tych z rzędu, gdy wici płonęły, Kostka sam jako płomień z pracy do pracy się ciskał. Ludzi słał, raporty odbierał, listy pisał, uniwersały ogniste wydawał — oburącz ducha rzucał podpałę sycącą w rozłożoną na przestrzeni wiatrę. Posłańcy wyjeżdżali, przybiegali — ruch dzień i noc na zamku panował.

Gosławski, który zaraz w pierwszym dniu z południa pojawił się w Czorsztyń, nie na wiele mógł mu się tu przydać. Kostka ujął sam lejce

spraw w tym ważnym momencie i nie dopuszczał nikogo do podzoru drogi.

Srodze dotknęło pana Gosławskiego to odsunięcie. Spodziewał się on, że tu na zamku w od ludzi głębiej wśliźnie się w zaufanie Kostki, i budował już na tem niewyraźne plany. A tu tymczasem, jak z brzegu, beczynnienie musi przyglądać się rozchodnym kręgom działania. Widzi popchnięcie ludzi wolą jedną, ruch — a nie wie, gdzie, ku jakim wymierzeniom zdąża.

Zły, wałęsał się po zamku, fukał na służbę, burgrabił — i coraz pilniej w tem zaopuszczeniu jął zajmować się badaniem piwnic.

Jednego dnia, gdy bawił na dole w dziedzińcu, zobaczył koło bramy znajomego plebana ze sąsiednich Maniów, który pytał o coś wartownika. Zbliżył się doń i przywitał go ukłonem.

— Cóż to, mości Gosławski, nowy starosta nam się zjawił? — zagadnął go ksiądz pleban szydliwie. — A nie słyhać jakoś było, żeby pan Platemberg ustąpił.

Gosławski dał znak księdzu.

— Proszę dalej, na lampeczkę węgry. Czy pan Platemberg ustąpił, to nie wiem; ale wiem, że dobre ma wino.

Pociągnął go do swojej kwatery.

Skoro się znaleźli sami, ksiądz spytał:

— Cóż to wszystko ma znaczyć?

Gosławski wzruszył ramionami.

— To, co widać.

— Ładne rzeczy widać, niema co rzec. A cóż Wmość w tem czynisz?

— Pomagam. Mam odpowiedzialną wysoce komendę nad arsenałem piwnic. Na szczęście pan Platemberg ten arsenał godnie zaopatrzył, gdy o inszy, groźny zdrowiu, mniej już zabiegów poczynił. Proszę, księżę dobrodzieju, spróbujże z tego gąsiorka. Stary tokaj, rarytas. Takiego przy odpuście nie dostaniesz.

Książdz dał się przykłonić, wypił — lecz surowo, brwi nie zluźniając, począł:

— To się kiepsko może skończyć, cała ta heca swywolna. Już mię to odrazu tknęło, że tu nie o Rakoczego chodzi, jak z początku ómiono, kiedym usłyszał, że sołtysi, rebeljanci zawzięci, byli w tem pomocni. Przytem te ognie, palone po górach, zwołania jakieś sekretne — to wyrażnie rebelją pachnie. Przejeżdżając mimo zamku, postanowiłem naocznie się przekonać — no i widzę: zamek obces zajęty, ludźmi podejrzanymi obsadzony... To jawne zgwałcenie prawa, rabusnictwo. Co książę biskup na to powie?

— Książę biskup w Krakowie — my w Czorsztynie...

— Sięgnie i tu ramię jego — rozognił się książdz — dosięgnie karą gwałcicieli!...

— Cicho! no księżę proboszczu... powiem wam: Chcecie skutecznie coś przedsięwziąć, milczcie... Widzicie, jak lud dokoła nastrojon, i kto go w rękę ma...

Książdz wypatrzył się na Gosławskiego.

— To waść nie jesteś, jak mniemałem, zwolewnikiem tego wichrzyciela?...

— A niech go piekło... — porwał się Gosławski. — Za moją krzywdę... za moje szczęście zburzone...

Wypił haustem pełny kielich wina i padł, dysząc, na ławę.

Ksiądz nachylił się ku niemu:

— Skoro tak, powiem waści: Księżę biskup powiadomion już o wszystkim, co się tu dzieje. Zapewne też już podjął odpowiednie kroki, i lada dzień możemy się spodziewać jego wystąpienia. Ale sprawa niełatwa, jak widno. Najważniejsza rzecz — zniżył głos do szeptu — herszta głównego ująć, a ogień sam przez się zgaśnie.

— Myślę ja o jego zdrowiu...

— Pomóżże nam waszmość, jeno dobrze, a księżę biskup i król sam za jego przyczynieniem hojnie cię nadgrodzi. Blisko onego czleka jesteś, masz jego zaufanie...

— Djabła tam...

— ...możesz nam wielce być pomocny. Gdybyś mógł jakowe pisma albo listy ważne przejąć, któreby dały podstawę...

Słowa dalsze straciły się w szepcie.

Gdy Gosławski, chwiejający się z wypitego wina czy z umysłu, odprowadzał księdza plebana do bramy, jeszcze mu, żegnając się, do ucha przychyłony, szepnął:

— Jak mówiłem: czem pilniej nastąpić, póki amunicji brak...

Działo się to w dniu czwartym od zajęcia zamku.

W tym też dniu otrzymał Kostka od opata z Tyńca przestrzeżenie. Przyjaciel stary, doświadczony, po wyrażeniu szczególnej życzliwości, pisał: jako ma wiadomość pewną, iż „doszły do konsystorza biskupiego wieści, że w podgórskiej części województwa na coś groźnego się zanosi. Plebanowie z wielu stron donoszą, iż lud się skupia, tajemnie naradza i chaty w czas niezwyuczajny mai, co nic dobrego nie zdaje się wróżyć. O zajęciu przez Wmość zamku czorsztyńskiego też w pałacu biskupim już wiedzą. Traktują to, słyszę, jako rapt i najechanie *tempore belli*. Przeto uważnym Wmość pana czynię i w tem przestrzegam, abys miał się z tej strony na baczności. Obawiać się należy, czy co złego przeciw Wmości, tak oczernionemu, biskup krakowski nie zamyśli. Ja choć, przyznaję, mętny jestem z tych słyn, jakie mię tu dochodzą, znając serce i umysł Wmości, to powtarzam, co przy żegnaniu w Tyńcu oświadczyłem: Jakiekolwiek są zamierzenia i plany Wmości, niechaj Bóg im pomaga!”

Nazajutrz z rana otrzymał Kostka niespodzianą wizytę na zamku, która go więcej mogła zastanowić, niż przyjazna przestroga opata.

Przy śniadaniu był właśnie, gdy mu doniesiono, że jakiś możny pan z orszakiem przed bramą stanął i z gospodarzem zamku żąda mówić.

Zeszedł Kostka sam ku bramie. A widząc

jezdnych kilkunastu i okazalszego jegomościa na ich czele, ku temu zwraca się z grzecznem zapytaniem:

— Kogo mam zaszczyt witać?

Ów, minę wysoką przybierając:

— Jordan sum — rzecze. — Starosta dobczycki.

— Miło mi... — skłonił się Kostka. — Proszę dalej.

A ten, nie ruszając się, z indagacją surową:

— Waść jesteś tymtoczesnym panem tego zamku?

— Jam jest. O cóż chodzi? — ze zdziwieniem przyjrzał się mu Kostka.

— Jakiem prawem waść zamek ten zająłeś?

Kostka na to:

— Jakiem prawem waść mię o to pytasz?

— Pyta książe biskup, jako rządcą województwa tego czasu wojny.

— A gdzież jest książe biskup?

— Wiadomo wszechnie, w Krakowie. Mnie zaś oto posyła...

— Więc Wmość posłem jesteś? — wpadł mu w słowo Kostka. — Proszę zatem do zamku. Nie będziemy przecież rozprawiać w bramie.

— I tu mogę wyłożyć, co mam do rzeczenia. Sprawa prosta i krótka.

Poruszył się gniewem Kostka przeciw temu napuszonemu wielkorządcy z Dobczyc. Opanował się w tymż momencie i rzekł zimno:

— Słucham.

Ów tedy zwysoka:

— Książę biskup chce wiedzieć, za jakim rozkazem Wmość ten zamek, własność i dobro królewskie, podczas nieobecności właściwego dzierżawcy zająłeś?

— O powodach dostatecznych obsadzenia po granicznego zamku tego księciu biskupowi już pisałem...

— Wybiegi!

— A waści powiem: bo mi się tak podobało.

— To jest oczywisty rapt, najechanie! A wiesz waść, czem to, zdarzone czasu wojny, pachnie? Gdy ludzie wojenni w obozie...

— Dosyć! — przeciął Kostka. — Czego książdz biskup żąda?

— Żąda natychmiastowego ustąpienia ze zamku!

— Powiedz waść księciu biskupowi, niech o swoje się troszczy. Ja z zamku na widzimię czyjeś nie ustąpię.

— To waści dymem wykurzą!

Kostka wyniośle, wskazując:

— Pójrzyj waść... Wyżej Czorsztyń Kostkowy biskupiego kojca. Niech spróbują.

— Waść za te słowa odpowiesz!

— Dosyć tego. Mości dobczycki pośle, zawracaj czem prędzej, być jakowaś przygoda spotkała...

— Tak to? tak?!... — zaognił się szlachcic, nacisnął mocno czapkę i zawrócił od bramy. Śmiechy szydliwe wartowników leciały za nim.

W zachmurzeniu wrócił Kostka na górny zamek. Jeszcze gniew na dumnego, napuszonego szlachetkę fałdził się w jego czole — przytem wyrzuty w myślach sobie czynił, iż dał się przedkości przyrodzonej unieść. Trzeba było raczej politykować. Rozumiał wprawdzie, że z biskupem, tak już nastrojonym — jako zastępczym rządcą województwa, gdy kasztelan krakowski w obozie — do rozprawy otwartej przyjść musi, przypuszczał jednak w wyrachunku swoim, że nie tak rychło to się pocznie, jako się oto poczęło.

— Wojna otwarta... Po takiej odprawie posła biskup na groźbach nie utknie, lecz wszystko żywe poruszy, aby zamek groźniejący siłą odebrać, a ruchowi, dopiero rozpoczętemu, tamę prędką zgotować. A może znaleźć licznych pomocników w plebanach mu oddanych, ba, w samym ludzie pobłąkanym w niektórych stronach.

Doszły już były Kostkę słuchy o tajnych zmozwach i naradach księży proboszczów na Podhalu, nawet o jakowymś ruchu z ich naprawy we formie Bractwa krzyżowego, z poufnem hasłem: „przeciw rebelji“ — a które to Bractwo dziwne, głównie z pomiędzy ludzi przykościelnych i czeladzi plebańskiej werbowane, ma mieć zbiorcze ognisko, jak słyhać, w domu sołtysa Czerwińskiego w Klikuszowej.

Za głupstwo to narazie poczytał, znając zdziwaczały umysł sołtysa Klikuszowskiego. — A teraz oto w połące z niewodem, jaki biskup prze-

ciw prądu nań zastawić duma, nie wydaje mu się to bagatelną rzeczą.

— Biskup też zapewne orężne jakieś siły, dla bezpieczeństwa poostawione w województwie, ma, a których nie omieszka co rychlej wyprawić, aby zamek czorsztyński — w to gonitwa — przed zaopatrzeniem obronnem ubieżeć.

Skupiło wszystkie myśli jego owo zagrożenie widne.

— Nic to, żeby przystrojenie było... Tedy niechajby sam djabeł z pastorałem... Lecz w takim oto przynagleniu...

Zatrzymał się przy oknie wschodniem sali piętrowej, po której krążył w zamyśleniu.

— Co czynić?...

Przed oczyma miał dziedziniec w dole z zakolem murów szerokich, z poza których stożyły się nierówne czuby skał.

— Mury grube, obronne... Niewiele ludzi trza dla ich osłony. Jeno amunicji żeby był dostatek... W tem sęk.

— Bardjów, Lubowla — wyszły mu na oczy jawą, gdy szukał w myślach porady, gdzieby ją w tak krótkim terminie zdobyć. Jedyne to w kręgu najbliższym miejscowości, które amunicji zadosyć w składach swych mają, i skądby ją można w dni parę do zamku dowieźć.

— Lecz kogoby za tem pchnąć?... Sprawa pilna i ważna — od tego *wszystko*, cała bezpieczeńność ruchu wszczętego zależy...

— Sawka?... Ten opodalnie z drużyną. I któż wie, co pod ten czas zajść może... On może być, jak tarcz chronna, na miejscu potrzebny.

— Gosławski?... Ten luźny wprawdzie... Lecz może snadnie upić się po drodze i zapóźnić... Zresztą, coś on kuso patrzy; trzeba mu będzie dać poselstwo dalsze. Kogóżby tu... — Już mam człeka pewnego! który nie chybi.

Klasnął w dłonie. Kazał wołać Jaśka Orawca.

Gdy ten za moment się zjawił, zaraz Kostka doń:

— Weźmiesz wozy, ludzi potrzebnych dla osłony w drodze, pojedziesz do Bardjowa: po zakup prochu i ołowiu. Ruszysz dziś na noc — chodzi o to, byś najśpieszniej się sprawił.

Jasiek się sprężył:

— Rozkaz, panie pułkowniku.

— Trzebaby równocześnie po toż do Lubowli...

— To po drodze.

— Dobrze, dobierz wozów. — Przygotuj wszystko na wieczór.

— Duchem lecę...

— Przed wyruszeniem staw się po pieniądze — rzucił za nim.

Już w myśli widział amunicję, tak pragnioną, w zamku.

— Ej-że, księże biskupie! — rozśmiał się myślom. — Pośpieszaj! Przygotujemy się godnie na przyjęcie...

Tejże chwili zameldował wartujący w zam-

ku, że jakaś dziewczyna przyszła i napiera się do pułkownika. Dzień to był niespodzianek.

Nie zdążył Kostka odpowiedzieć, gdy stanęła przed nim — któżby zgadł — Róża Czerwińska.

— A toć to panna sołtysówna! — wykrzyknął, zdziwiony. — Cóż waćpannę do nas sprowadza?

Pytającym wzrokiem patrzył na jej twarz zognioną.

Przeczekwała, aż wartownik się oddalił — potem przypadła gwałtownie do rąk Kostki:

— Panie pułkowniku... panie... królewicu mój...

Kostka w poruszeniu, cofając dłonie:

— Ależ... cóż się stało?

Wiernemi, rozpaczliwemi ogniami ócz patrzyła w jego oczy.

Zrozumiał. Tem większe naszło nań zmieszanie.

Nie wiedział, co rzec. A chciał zatysić krzyk milczenia — uchylić moment ciężący.

— Cóż ojciec waćpanny... jak zdrowie?

Pytanie to przywróciło ją oczywistości — jako i gest zapraszający, by spoczęła.

— Ojciec?... ojciec? — powtórzyła z namysłem. — Oszałał.

— Nieszczęście... Widne to już w nim było...

— Oszałał nie sam przez się — poczęła, ożywając się — lecz z nastrojenia księży. Od czasu, jak go ta kaźnia złamała, odwrócił się mu świat. Co powinno było mu być honornym spomnikiem, to go straszło jeno. Rebelja!... Jej przy-

pisował całą swoją klęskę. Przeciw niej nienawiść wziął. To księża podejrzeli — i to w nim przeciw temu, co się dziś za przyczyną waszą, panie, stroi, podstępnie obrócili. Że powagę niejaka jeszcze wśród ludzi ma — było im w planie. Jakieś Bractwo sprzysięgłe znowili...

— Coś już słyszałem o tem...

— Ojciec głową tej zwiąźby obrany, jakąś misję posłańczą od Boga sobie przyznał. Scho-dzą się doń, niby na modlitwy — a ojciec kazno-dziejuje, świętą jakąś krzyżowość przeciw mnie-maney rebelji głosi. Na was klątwy złowróźbne w nierozumie ciska. Wtórzy mu gawiedź słu-chająca, jak kawki na dzwonnicy.

Sciemniała ogniem w twarzy, brwi jej się w gniewie zeszyły.

— Próbowałam ojca uspokoić. Na nic. Do dużej gwałtowności między nami przyszło. Z tego zebrałam się. — Niech kraczą — kawki to jeno — wyście oreł. Przy was mi być — pomy-słałam — niech się, co chce, stanie. Zdałam go-spodarstwo strynie — i tu jestem. — Pójdę z wa-mi, ka sie obróćcie. Jak mnie odepchniecie, to się do Dunajca cisnę...

Kostka wstał, poruszony.

Zabiegła prędko:

— Ja nic nie chcę... Ja wiem, żeście wy nie jak insi... Przed wami góra wielka do spełnienia. Już wtedy, w Mieście, kieście z pod siubienic do narodu wszystkiego mówili, objawiło mi się to przez oczy wasze... I to mnie ku wam po-

rwało. Nie podołam ja tak wysoko — by ręka w ręce — (coż ja mówię... wybaczcie, panie, mej prostocie) — chcę ino blisko być przy Was — w ruchu dziełań — a może i ja sie na coś odrobinę przydam...

— Hm... — zastanowił się Kostka. — A cóż waćpanna...

— Mogę wszystko, co potrza: gotować, szyć, dozierać...

— Cóżbv ojciec waćpanny...

— Z ojcem zerwane. Już nie wrócę. Raczej do Dunajca skoczę.

— Jakoż on sam...

— Opiekować go będzie stryna — da radę. Umysł jego zbłąkany, obcy światu, na jedno ino teraz skierowany. To nas właśnie skłóciło.

— I czy pobyt na Czorsztynie — choć tu i niewiasty są — sławy waćpanny nie ujmie...

— Nie dbam o to. Samam panią swoją, i nikt nic do mnie nie ma. Przyszłach tu już po ozwazdze — dużo mnie przecie cofało... Nikt z kościoła nie ucieka, jak przez zakrystję przeszedł.

Kostka poweselały:

— Niechajże więc. Niech waćpanna gospodaruje tu, jak u siebie na sołtystwie...

*

Jasiek Orawiec zajęty był w niższym dziedzińcu zamkowym przystrajaniem ekspedycji zleczonej — gdy niespodzianie ukazał się w bramie Jędrzek Chowaniec.

Obaczyli się wraz — i skoczyły naprzód ich uśmiechy radosne ku sobie. Wraz też podeszli do siebie i objęli się uściśnieniem mocnym, jak w zapasach.

— Jędrus! bracie...

— Jasiu! towarzysul...

Puścili się i z uśmiechem tkliwości serdecznej przypatrowali się sobie.

— Ej, Boże... — załzawił się już Jasiek. — Kieżeś przybył?

— Dziś rano. Regiment w Dunajcu. A tum sie z raportem stawił. Jest pułkownik?

— Jest. Hań, w zamku... — pokazał głową.

— Trza bedzie do niego... Zejdzie mi hań czasu chwila... Każ sie, Jasiu, ujrzymy, coby pogwarzyć śleobodnie?

— Czy ja wiem...

— Przyjdz do karczmy „pod Hubę“.

Jasiek stał się markotny.

— Mam drogę. Tak wypadło. Trza mi dziś na noc jechać...

— Zej haw długo nie zbawisz. Siądziemy chwilkę, pogwarzymy. Łukaszczyk Józek też bedzie — potkałech sie z nim tu w drodze. Ucieszymy sie.

— Hm... — zastanowił się Jasiek, jedyną kuszoną siłą: z towarzyszami się ucieszyć.

— Strasznie mi sie to przyśmiecha...

Przecie obowiązek, przyosłabły, wzywał. — Wahał się w bezradnej głowie.

— Co tu robić...

— Powiadam: długo nie zbawisz — i zadanie, jakie tam masz przed sobą, na czas sprawisz. A ucieszymy się razem...

— Niechże będzie. Wpadnę ku wam z wieczora — ale ino na małą chwilkę.

— No, dyć jak zechcesz...

— Fury wyślę naprzód — dogonię ich...

— Uradź już, jak uważasz, coby ino dobrze było. Hej, Boże... Jasiu! — przyobjął go.

Jasiek śmiał się w rozrzewnieniu przyjacielowi.

— No to do zobaczyska we wieczór.

— W karczmie „pod Hubą“!

— Wiem.

Jędrek udał się do górnego zamku — Jasiek zajął się pilnie gotowaniem wozów.

*

Jakież było zdumienie Chowańca, gdy, wchodząc z wewnętrznego dziedzińca na piętro, spotkał na schodach niespodzianie — Różę... w białym fartuchu, z kluczami, jak wej u siebie w domu.

Ośłupiał prawie. Moment minął — nim, Boga pochwaliwszy, nieswojo spytał:

— Skądże was tu spotykam?

Uśmiechnęła się zdziwieniu jego i z przekorą odrzekła:

— To samo jaby się was spytała...

— Ja tu w sprawie żołnierzy...

— A ja w sprawie prowjantów — zdzwoniła kluczami — bez których żołnierze wasi chudoby wyglądali.

— Śpas śpasem. Co tu robicie?

— To, co widzicie. Służę. Jako i wy.

Roześmiała się po dawnemu, czem więcej go stropiła.

Nie wiedział, co ma jej rzec. Prawa żadnego, prócz daru tego śmiechu pustotnego, do jej wolności nie otrzymał.

Milczał chwilę i chmurno pozierał.

— Wolałbych was tu nie widzieć — rzekł wkońcu.

— A ja zaś rada, żeście tu są. Spodziewano się was pilno...

— Kto się spodziewał? — spytał raźniej.

— Ktożby — pan pułkownik. Dziś, słyszałam, dwa razy dopytował o was. A tu tymczasem, jakeście poza Podhalem bawili, dużo się rzeczy podziało...

Jędrak sponurzał.

— Wiera, widzę, że tu tymczasem dużo się podziało...

Wołano go, zoczywszy, do pułkownika.

Skłonił się zwysoka Róży i poszedł schodami w górę. — Szedł chwiejno, jak przedtem leciał. Trutka jakowaś go podcięła — jakby go wąż niespodziany zniecka w serce ukłuł.

Późno w noc — gdy wszystko w zamku, prócz wartowników koło bramy, spało — czuwał Kostka samotny na orlej swej wyży.

Dzień donosił doń sprawy rozliczne, niespodzianki różne, jako i dziś, które brały w niewolę jego myśli wszystkie — a i noce ostatnie, ruchliwe, nie dały mu, prócz godzin martwych snu, od spraw dochodnych wytchnienia.

Pierwsza to noc na Czorsztynie, gdy dowiew rzeczy ustał, fale dobiegające cofnęły się, jakby usnęły w dole — Kostka mógł w ciszy nastąlej zadumom swym zamkniętym dać folgę.

A noc ta była właśnie jakby dla kąpieli ducha: wyjątkowo czarowna. — Księżyc wyniósł się pełnią nad spiskie magóry i rzucał z łąk zmroczniałych nieba uroczne światło na zamek. Okna srebrem wpadały do sal, siejąc trumienny pobrzask — po kurytarzach, schodach i krużgankach łamały się białe szyby, czyniąc zaułki tajne z cieniów, gdzie Milczenie, z palcem na ustach, się kryło.

Czar też onv przemożny wniknął w komnatę Kostki — podjął czuwającego i powiódł go po zamku.

Błądził tedy, jak we śnie, po salach, wnętrzach, murach, poddany władzy uroku, który się ponad nim pełnił, i nie mógł, niby siodłażmory, tej wciąż obecnej myśli z siebie strząsnąć, iż się naokół niego coś dziwnego odgrywa. Istnie wydało się mu — gdy przez cienie tajemnie przenikał, cieniem przechodził przez świa-

tła — że jest we wnętrzu jakowejś baśni rycerskiej, w jakimś zaklętym zamczysku.

Otoczała go wokół, czarem tej białej nocy wywołana, przeszłość w tych murach zaklęta. Każdy kąt, jakby dopiero w oświetli onej zrozumiany, zwierzał mu milczeniem trwożnym jakąś tajemnicę. Zdarzone tu kiedyś sprawy poczęły się dziać nawrotnym snem przed jego myślą — głębiej, bo już hałasu życiowego zbyte, mądrością śmierci milczące. Rycerskie cienie wypełniały sale — w załomach kurytarzy, w skrzętach schodów jawiły się wyniosłe postaci — na krużgankach wysokich, w blasku pełni, ukazywały się tajemnicze pary: damy w srebrzystych szatach, rycerze w czarnych zbrojach...

— Czyż to nie w tychże murach odprawowało się wesele Zawiszy Czarnego?... Był na onem weselu, jak wiadno, król Władysław Jagiełło z królową Zofją, Eryk król duński, Zbigniew z Brzezia i wielu możnych panów.

— Król poloneza prowadzi... z panną młodą, z domu Radolińską, synowicą biskupa krakowskiego, Wisza. A w parze drugiej młody pan, Zawisza, z młodą królową Sonką.

Widzi ich... korowód świetnych par-cieniów... Schodzą z górnej galerji — wiją się kurytarzami — spływają po schodach na dół i do sali kolumnowej wkroczą. Księżyc sennemu pochodowi na srebrnych strunach gra...

Przeszli...

— Skąd tu rycerz czeski, Zawisza?...

A tożć przypomina, jako Zygmunt, król cze-
ski a cesarz niemiecki, zmuszony kłopotami za-
stawić Spisz królowi Jagielle, zawarował sobie
przy ugodzie, aby Zawisza, który za usługi, od-
dane mu, starostwo dzierzył spiskie, do śmierci
swej na onemże przy dochodach i rządach po-
został. A tak przeszedł Zawisza cesarski pod
rękę króla. I na Czorsztynie osiadł.

— Półtrzecia wieku upłynęło — a żywie duch...
w tej księżycowej nocy wesele swoje odprawuje.

W zmierzchłe, małowiedne czasy poszła za-
duma Kostki...

— Któż to był pierwszym panem na Czorz-
sztynie?... Witgen niejaki abo z polska Wydźga,
żupnik i, szatanowi zapisany, kopacz szczęśliwy
skarbów. O nim to wiestnia, iż złoto, w górach
tych wydobywane —: w Złotym Potoku w Tyl-
manowej, w Słotwinie nad Barcicami i inędy —
wodą skutami do Torunia Krzyżakom posyłał,
poczem i sam — aby djabła zmylić — do zakonu
krzyżackiego wstąpił. Zaś miejsc tych, gdzie zło-
to dobywał, szatan oszukany przezeń, pilnie
strzeże i przed oczyma ciekawemi skrywa.

Przeszedł Kostka, snując się po piętrach zam-
ku, do baszty południowej, Zieleńcem zwanej.

Znał już tej baszty sławę. W niej to, jak po-
danie głosi, ukrywać się miał Bolesław Wstydli-
wy, gdy po klęsce pod Lignicą schroniwszy się
w obieży na Węgry i tam bezpieczeństwa przed
zalewem tatarskim nie znalazł, aż tu na tej skale
granicznej się oparł. I tu go, w tej baszcie wła-

śnie miał odszukać wojewoda krakowski Klimunt z bracią swoją, a uprosić zalęknętego, aby na tron opuszczony wracał.

Staął Kostka przy oknie, w księżycu — pojrzał z góry.

W dole — przeciw — łuszczył się srebrem Dunajec. Bielący odcień na lewo, ścieszka Pienin zakolem obejmujące, łąki równe: sromowieckie pola. A od stóp zamku świecił ku nim — jak rzeka — gościniec.

Trakt to ów sławny — droga narodów i królów. Trzykrotnie tędy jechał Kazimierz Wielki. Dwa razy do Wyszehradu, a raz do Budzynia. — I król Ludwik węgierski przejeżdżał drogą tą, jak wiadno, dla objęcia tronu polskiego. A w lat czternaście potem królowna Jadwiga, w otoczeniu panów węgierskich. — Władysław król Jagiello, mający częste z cesarzem Zygmuntem, w klócającej ich sprawie krzyżackiej, spotkania — a to w Keźmarku, Lubowli i indziej — wiele razy tędy jechał, nawet z Witoldem bratem, i często gościł w Czorsztynie. Ostatni zjazd ich, zamyszkający długoletnią waśń — a to po krwawej rozprawie grunwaldzkiej — odbył się tu, pod Czorsztynem, na tych, w białym sen zaklętych polach sromowieckich.

Oczom jego, wmyślonym w oną chwilę dawną, poczyna się rozbudzać sromowiecka równia. Teatrum senne na niej nawrotem się dzieje — Zjazd się odbywa...

Widzi Kostka... Orszaki dwa naprzeciw siebie... Dwaj jeźdźcy wysunęli się z orszaków... Koń króla biały, srebrzy się w księżycu — czarny zaś koń cesarza, w równi ze strojem. Jedno pióro na kapeluszu szerokim się bieli...

Podjechali ku sobie... Żaden nie skłoni się pierwszy. Co uczynią?...

Chwila krótka wahania. Zygmunt zesiada z konia — toż po nim czyni Jagiello... Krokiem postąpi cesarz — dłoń wyciągnie... Stajało serce litewskie. Objęciem się braterskiem ujęli.

W orszakach obu żywe poruszenie... Jada k'sobie — wnet pójdą za przykładem królów...

Wizja roztajała. Rozpyliły się w sreżogę cienie. Na pustej równi księżyc jedynie gazduje.

Kostka, przy oknie baszty, zadumą ku odeszłym pojawom powrócił. Jął rozważać w samotnej, ciszą tą srebrną wyostrzonej myśli:

— Rycerność oto minioną piękną mu się jawi — pociąga barwą i gestem... Rozmach w niej, budzący przyjaźń, wabiący serce i oczy... Lśnią zbroje — płoną pióropusze — archaniołskość ognista w jeźdźcach i orszakach... Dłonie i dusze na miarę olbrzymią... Wielkość we złem czy dobrem...

— Z takichże on sam?

Patrzy w swój zamiar czynu...

— Cóż chce czynić?

— Oto wielkość tę władną na zawsze obalić — chłopstwo nędzne, pospolitość do władzy powołać.

Zastanowił się w zalekłym zdumieniu, jak przed — wbrew swojej czci — zamierzonom zwaleniem posągów.

— Byłoby to tak w rzeczy?...

Przeciwstawy tych dwóch światów w takiej dotąd oświetli nie ujrzał.

Tedy głębiej w rzecz zastanową poszedł...

Widzi rzeszę tę ziemną —: bladych, schyłowych, zkosapatrznych, w zgrzebnych na ciałach znędzniałych okryciach, zaiście pospolitych.

— Podobnież ta polska Rzecz ma być pospolitą?

Bolesnym zaprawdę wstydem przeima go ta rzecz istność, przed myślą obecna.

— Uciecby od niej lub odsunąć ją...

Lecz cóż się dzieje?... Oto, gdy w przyszłość myśl rzecz tę oddała, przykrość widzenia się traci.

...Na hasło jego ruszeni, podnoszą od ziemi głowy — prostują się — rumieniec w nich wstępuje — rosną... Łączą się w zastępy, hufce — w postawach ich rycerność się jawi. Wolność ich wypiękniła.

— Tężeją chłopcy we zbrojach... Wyrastają nad głowy wodzowie... Jawią się nowe Wyrwidęby, rycerze niepołomni...

— A oto zbiera się Rada... W strojach bogatych, kmiących. Powaga w ich obliczach. Władność powagą stroi. Schodzą się wojowie radzić — nad swoim swoim, jak drzewa z ziemi tej wyrosli, ziemi tej polskiej przyrodzeni, jej uprawnieni władcy.

— A któż są ci rycerze, widy umarłej przeszłości?... Wydzga=Krzyżak, Zawisza=Czech i Litwin=Jagiello...

.....
Ku zamierzeniom swoim myśl Kostki powraca. Nowe obrazy się jawią...

...Płyną ze wszystkich ziem chorągwie za chorągwiami...

I od wschodu szum — ruszyły ruskie ziemice...

Na dolinie przestronnej wyrósł las nieprzemierzony... Zeszedł się lud ziemi tej z narodem ruskim.

Dwa narody zeszły się na rozprawę walną — bez oręża.

W kole pośrodku radzą. Na sprawiedliwym osądzie opartą, unję wieczystą zawierają.

Rozsłoneczniła się dolina jednania. Ponad nią anioły przyszłości w trombity tryumfalne dmą...

.....
Ocknął się Kostka.

Oddaliły się majaki nocy.

Przed oczyma zarysowały się w gasnącem świetle księżyca: zsiniałe obrzeża lasów — łąki w oparach rośnych — Dunajec...

A naprzeciw — na brzask wstający nieba wyszły z omgla ogromem cudu niespodzianym — jako niezawodna, w granit po wieczność zaklęta, jedyna prawda w gonie czasu — Tatry.

Świtało...

III.

Z pół mili od Czorsztyna, przy trakcie do Nowego Targu, stała karczma zajezdna, jak dziś stoi, zwana „Pod Hubą“. Ponad nią bowiem, na spadzisku Gorców, była kilku-osiedlowa osada Huba.

Karczma ta w dogodnym wielce, jakby przez djabła upatrzonem położona miejscu, znana była szeroko i osławiona z bijatyk, jakie się tu przy świętach nieraz odbywały, jakoteż z gościń i schadzek zbójników, którzy ją, że stała opodalnie od wsi, a w bliskości szerokich, harklowiańskich lasów, chętnie przy czasie nawiedzali.

W tej to umówionej karczmie onego wieczora zeszli się trzej przyjaciele nasi: Chowaniec Jędrek, Łukaszczyk i Jasiak Orawiec.

Siedzieli w izbie bocznej poza przegrodą szynkwasu. Na stole stała przed nimi butla gliniana palenki — na misach oszczypki, pstraży, i co karczma miała. Raczyli się nawzajem serdecznie, gęsto do siebie przepijając.

— W ręce, Jasiu!

— Pij, bracie.

— Zdrowie twoje, Józus!

— Dej ci Boże i tobie. W ręce twoje, Jędrus!

— A zakaście! — posunął Jędrak przed przyjaciół misy. — Nie bogato tego, ale co jest...

— Kieby to tak u mnie — westchnął Józek — baranabych wam na kotle w zentycy...

— Jeszcze go zjemy na czas — niech sie pasie.

— Mało my ich to na szalasach zjedli?

— Hej — jak se człek spomni na te czasy...

— Kaś se zamyślił, toś sie niósł...

— Jako to piórko na wietrze...

— Aniś sie nie czuł... wierch-dolina...

— Ślebodność cię prowadziła...

— Dy i dziś... Ale już nie to.

— Uleciało...

„Ścięni, buczka, ścięni,
Już sie nie zieleni...” —

zanucił smętnie Jędrak.

— W ręce, Jasiu!

— Pij, bracie.

— Zdrowie twoje, Józus!

— Telo uciechy, jak sie wraz zejdziemy...

— Tak my sie wej i zeszli.

— Teraz bedzie przychwalował — przycisnął Jędrak. — A jakech mu powiadał: bedzie i Łukaszczyk Józek, ucieszymy sie — to sie ważył — trudno go upytać było.

— Bo on je teraz w honorach, na zamku...

— Zawdy, zdrajca, lgnął do pańskich dobrów.

— Jak i wte, kie go trudno było z piwnic grafa Miklosza wywołać.

— Abo wte, kie barany Lengejowi zajął.

— Śmieję sie, śmieję! — przygroził Łukaszczyk. — Jak te barany wszystkie, coś je miął, na sądzie ostatecznym poczną beczec...

Jasiek-zdrajca z przytająną szczęśliwością uśmiechał się obu przyjaciołom. We zwyczajju to już było, że kiedy razem się zeszli, Jędrak z Józkiem z niego podrwiwali. Nic go to nie urażało, nawet rad był, że im sobą uciechy przyczynia.

— Radość z wami!

— A z tobą mitręga. Wypijże raz...

— Kie nie baczę, do kogo...

— Kto skraja.

— To w ręce twoje, Józus!

Kolejkę jedną i drugą spełnili, oszczypkim zakasili.

— Nic nam nie opowiadasz — Józek do Jędraka się zwrócił — jak ci sie tam na Śląsku powiedło?

— Dobrze.

— Chwalić Boga. Ale by my chcieli...

— Coż chcesz, bracie? Regiment gotowy — raport zdany. A więcy...

Począł zcicha nucić:

„Przysełech do tobie,

Ej nie fciałaś otworzyć,

Musiałech głowicę

Na progu położyć...”

— Eh! — otrząsnął się. — Pijmy!

Jasiek, znający dobrze Jędrkową naturę, już od chwili zmiarkował, że jest jakiś nieswój. W trosce serdecznej, przychyłając się ku niemu, spytał:

— Co ci, Jędrus?

— Co mi ma być?

— Cosi ci dolega.

— Głowa mi ciąży z niespania, ale to nic. W ręce!...

— Dej ci Boże. Zdrowie twoje, Józus!

— Dej ci Boże i tobie. W ręce twoje, Jędrus!

Wszedł arendarz, żyd siwy, z kagankiem zapalonym; zawiesił go na ścianie i zasłonił okno, przez które już księżyc począł srebrzyć. Spełniwszy to, wysunął się cicho.

Kaganek nawiódł Jaśkowi, że to już noc.

— Na mnie czas — westchnął ciężko. Podniósł się od stołu.

— Coż to? Chcesz nas opuścić? — powiadł nań Łukaszczyk.

— Żal mi, ale co robić, kie mus.

— Czy cie freirka czeka?

— Nie pleć.

— Czy sie boisz, że ci bramę zamkną? To rano otworzą.

— Z bramą ja sie znam.

— No to co cie tak rwie?

— Jędrus wie... — patrzył Jasiek od Jędrka poparcia.

— Posiedź jeszcze — wyciągnął dłoń Jędrek. — Kto wie, kie sie tak zejdziemy...

Osłabł Orawiec w sercu.

— Jaby z wami do rania... Ale ty wiesz — rozkaz...

— Co tam rozkaz! — wpadł Józek — towarzysia pierwsi! Cheba, jak nas już tak za nic masz...

— Józuś, bracie...

— Chcesz iść, to pójdiesz — Jędrek przyswstał. — Ale musisz sie z nami naostatek napić. Coś godniejszego... Żydu! — krzyknął we drzwi izby.

A gdy ów się w drzwiach zjawił:

— Przynieś nam wina! — kazał. — Dobre uherskie coby było... Bo jak nam nie w smak bedzie, to ci brodę obetnę. Duchem!

Żyd zniknął. Wkrótce przydźwigał gąsior, postawił na stole, podał kubki, sam rozlał wino drżącą ręką.

— Jak to wino panom nie bedzie smakować, to stary Jochym da se brodę uciąć.

Jędrek pokosztował.

— Nu co?

— Ujdzie.

— To mało „ujdzie“. To jest wino rarytas — szwagier mój mnie go z Koszyc przysłał, jak Taube, nieboszczka moja, miała Aronka małego. Nu, on jest dziś już sklepnik.

— Na zdrowie, Jasiu, twoje! — podniósł kubek Jędrek. Traćili się, wypili.

— Kieby nie ten szwagier z Koszyc — rozśmiał się Łukaszczyk — wiera głowębych stawił, że to wino z piwnic Mikloszowych.

— I mnie sie tak widzi. Ale do razu nie sprawdzi.

Nalał wtórnje. Jasiek podniósł kubek:

— Tak mi... tak mi koło serca, jakby je piórkem kto głaskał. Bracia, towarzysia moi... zdrowie wasze!

Wychylili wraz, znowu napełnili.

Żyd stał koło drzwi, brodę siwą, rozdzieloną na piersiach, przyglądał. Parę razy chrząknął, chciał coś mówić — czekał sposobnej chwili.

— Czego, żydu, chcesz? — huknął nań Łukaszczyk.

— Nu, jaby sie chciał spytać... — przybliżył się. — Panowie mądre są... Ja, głupi żyd, nic nie wiem: ...Czy panowie mogą Jochyma pouczyć, kto teraz u nas rządzi?

— Jakto — kto?... Wiedno, że król.

— Ja też tak myślał, co król rządzi. A teraz nie wiem: czy król, czy wielemożny pan Kostek?

Rozśmiali się mu:

— Głupi żydzie. Pan Kostka jest pułkownikiem króla, w jego imieniu ozkazuje.

— A czemu na pismach, co do chłopów wydaje, nie stoi imienie króla, ino sam pan Kostek?

— To sie go idź spytaj.

Jasiek z Józkiem z nim się przegwarzali; Jędreka mało się odzywał.

— Ja sie panów pytam, bo panowie bliskie jemu...

— Skąd wiesz o tem?

— Wszystkie panowie zbójniki z nim trzymają.

— A widzisz. Harnaś on je nad harnasie — i nima ozkazować?

— Nie przeczę. A czemu un w ten zamek sie schował?

— A każ miał stanąć — w karczmie?

— Harnaś powinien być w lasu. W lasu bezpiecznie sie schronić. Jak jemu w ten zamek będą oblegnać — co un zrobi?

— Poszle po radę do Jochyma.

— Zdrowo sie śmiać. Jochym tego, co panu Kostkowi może być potrzebno, w piwnice swoi nima.

— Już ty sie o to nie trap.

— Nu, ja wiem, co ja mucha naprzeciw jasnie wielemożnego pana Kostka. Ale co un zrobi, jak jemu sam biskup nastąpi? Tu był u mnie pan Jordan, wielkie osobe — nu, ja jemu gorsze wino dał, jak panowie zbójniki piją. Un był od samego biskupa posyłany. To un strasznie zły jechał i na wielgomożnego pana Kostka bardzo brzydkie rzeczy gadał. Co un biskupa nie usłucha... Co un — tfy! tfy! — rebelję robi.

Trzej przyjaciele popijali wino, niewiele już zważając na arendarza, który stał pobok, brodę głaskał i medytował.

— Co to bedzie?... Co to bedzie?...

— Co ma być? Wojna będzie.

— Aj, aj — panom zbójnikom to śmiech. Co to wojna?... Ten sie z owym pokłóci, tego złupi — a na nas żydki sie skrupi. A kiedy una, ta wojna, ma sie pocznać?

— Ujrzysz sam. Naprzódy karczmę spalimy...

— Nu, a gdzieby sie panowie zbójniki przy czasie ucieszyli?

— Słusznie prawi. Karczmę trza będzie ochylić.

Jochym, przyośmielony, o krok postąpił bliżej; zaufaną uczynił minę.

— Ja myślę: poco panom do te rebelje... Niech sie głupie chłopcy wadzą. To nie zbójnicki interes. Interes panów zbójników: na tamte strone, na Węgry... Tu co jest? — bieda. A tam bogactwa dość: dukatów, srebra, sukniów jedwabnych — co ino dusza zapragnie. Lichtarzów też. Srebro, lichtarze Jochym kupi — dobrze zapłaci, wina doda; przydadzą sie na szabes.

Przymkniętemi poważnie oczyma obserwował pijących przy stole. Głową pokiwał:

— Ja wiem... panowie przyszli sie ucieszyć. A smutne siedzą. Jaka uciecha może być, jak nic nie było. Jak Pan Bóg poszczęści, jak sie uda — to wtedy jest uciecha.

Poczem dodał życzliwie:

— Nu, niech panowie zdrowo piją. To wino nie zaszkodzi. Ja jeszcze doniesę.

Ulotnił się z izby — a zdało się siedzącym przy stole, że go jeszcze widzą, jak się koło nich kiwa, brodę przyglądza a kusi.

Nawiódł im przed oczy dawne, dobre czasy, kie to chodzili „na tamtą stronę“, za Tatry; — pamięcią, winem rozrzewnioną, wrócili do o-
nych lat.

Jaśkowi głos, zdaleka podzwaniający, przypominał, że ma coś ważnego pełnić, gdzieś iść — lecz Jasiek się z odejściem ociągał. A wyrzuty, podnoszące zsenniałe głowy, kołysał:

— Pójdzie, pójdzie — ino o *tem najwazniejszem* z towarzyszami pogwarzy. Poto tu przecie przyszedł.

Jędrak pierwszy otrząsł się, machnął ręką, jakby się czemuś opędzał, kubek uniósł w górę:

— Zdrowie twoje, Jasiu!

— I twoje, Jędrus.

— Niechże bedzie. Pij, Józuś, bracie! Coś sie tak zadumał?

— E tak se ozmyśluję...

Wypili.

— Uherskie godne wino. Żyd psiapara skądś zdobył...

— Z Miklosza piwnic bedzie. Nieraz my je spijali.

— A pamiętasz ty, Jędrus — Józek począł — jak my na kasztel grafa Szalomona idąc, straż z pięćdziesięciu hajduków, niespodziewających się niczego, podeszli, i jak my ich — pacierza to

nie trwało — ozgromili. Noc była ciemna po-
prawdzie, ale kielóż nas było?

— Siedmi.

— Abo wte, kie strzelców pana z Berezno-
wicy pobiwszy, ostalimy przez skrzyknięty na-
ród wszystek od Tater odgrodzeni, aże my, klu-
zcząc, kołując, na Sawkę pod Kubinem wpadli...

— Hej — i on nas z tej matni wyzwolił...

— Abo wte, jak my w jeden wieczór z Jasiem
hań i ze Samkiem (niewiada, ka sie on obraca)
do karczmy do Mikołusza na uciechę przyszli,
i jak nas tam tańczących churma Luptaków
przysiadła...

— Hej, Boże — załzawił się Jasiek — jak se
spomnieć, kielo my to razy i w jakich opresjach
byli!... I jak my sie przecie zratowali...

— Bo jeden za drugim stawał — dwoch za
jednego...

— Trzoch ino, a była nas siela!

— Baczysz, Jędrus, jakeś mnie z komory od
rychtara, ka mnie już nadzieja opuściła, dobrym
sposobem wyzwolił?

— A ty baczysz, kie ze zamku nitrzańkiego
uchodziliśmy, a ja w zamieszce nocnej, bramą
przegrodzony, więźniem już prawie ostał — ja-
keś sie po mnie wrócił?

— Abo coby z nami wte na jarmaku w Keż-
marku było, kieby nie Łukaszczyk?...

— Dobry ś niego towarzys.

— I z tobie, Jasiu, lepszy.

— I z tobie, Jędrus.

— Takich trzech bratów, jak my, choćby świat zeszedł do końca, nie najdzie.

— Pijmy! Zdrowie nasze!

Do dna wychylili. I, objąwszy się wetrój za szyje, zaśpiewali — twarzą w twarz — ku sobie:

„Bracia my se, bracia,
E zbójnickiego rodu —
Chwała-ż Panie Boże,
Znamy się od młodu“.

I wtórnie:

„Bracia my se, bracia,
Ej kochamy sie szczerze —
My sie obronimy
O jednej siekierze...“

Groźnie potrząśli rękami, jakby siekierkami w górze — i jeszcze:

„Bracia my se, bracia,
E wraz my sie rodzili —
Teraz se budziemy
Ku jednej chodzili...“

— Pijmy! Zdrowie nasze!

W Jędrzka wstąpiła fantazja. Zaogniony w licu i we włosach, teraz był jak sam płomień. W oczach, pijanych winem, zaświecały się i gasły ogniki letkomyślne.

— He, bracia — co wam powiem... Ogłośmy sie — jak tu jesteśmy — rządem. Chowaniec — Łukaszczyk — Orawiec... Trzej harnasie nad całym narodem.

Olśniło ich to.

— Ba, ale Rzeczpospolita...

— Co nas Rzeczpospolita — co nas Lachy — my se swoją Rzeczą zrobimy! Stolica w Mieście, w Nowym Targu...

— Coż królby na to...

— Bedziemy sie go pytać?... My se tu na Podhalu — a on we Warszawie. Jakby mu bieda była, to mu przydziemy z pomocą...

— Tu, jak tu — ale lepiej na tamtej stronie Tater. Tam słonka dużo — świat bogaty — miasta — wino — freirki...

— Wej!... stolica w Mikołaszcu...

— Co Mikołasz? Mieścina... W Budzynie stolica!

— Wiera! — olśnieni, przychwalili. — Tam stolicę zrobimy. Madziarów żydów miemych na naszą wiarę przechrzczimy...

— Hej. A jak nie przystaną, to ich do pługa, do orania... Pola ziemiste, równe... siwe sojki woły...

— A po styrmach katędy wino rośnie.

— Tam to kraj! Niedbałość nasza — tam już dawno byćby my powinni...

„A kiedy staniemy
E w budzyńskiej stolicy,
To se uwarzymy
Barana w żentycy...“

— Każemy se uważać, psia jedna... Na kościele — na środku miasta! Co nam kto... — ponościł się Jędrek. — My se hyrni harnasie... Wszędy

nas nad głowy widno... Piórka wysokie, orle,
złote kostki...

Jasiek westchnął:

— Ech!... Kieby tak pułkownik z nami...

Jędrak porwał się z ławy:

— Co mi pułkownik twój! Hrom na niego!

— Jędrus! Co ty...

— Hrom, mówię, na niego!! Niech mi tu sta-
nie w oczy...

— Jędrak!! Miarkuj się — porwał się i Jasiek.

— Kłamiec on! Zrajca! — piał Jędrak.

— Cit! Ani słowa! Bo ze mno-m...

Ujął go Jasiek w ramiona. Jędrak miotał się
daremnie, zamknięty w ramionach Jaśka, jak
w żelaźcach.

Wdał się w to Józek, jął przedkładać:

— Jędrus! Jasiu! Bracia! Towarzysia!... —
Spomnijcie, jak my se przysięgli: że nas nikto,
ani djabeł, ani freirka nie skłóci...

Rozwarły się ramiona Jaśkowe — Jędrak
opadł na ławę.

— To ja mu... — skarżył się w pół-płaczu. —
To ja mu regiment sposobił, a on tymczasem
dziewczynę mi upatrzoną ku sobie zwabił?...

— Jakoż to? — zdziwił się Jasiek.

Jędrak ręką przegraną w stronę Czorsztyna
rzucił:

— Róża hań jest — na zamku...

Jasiek nie wiedział, co rzec. Spraw tych on
w prostocie serca nie rozumiał. Zrozumiał jeno,

że Jędrzka to bardzo musi boleć. Ból przyjaciela i onego miętkie serce przejął.

— Jędrus! bracie... — obłapił go za szyję.

Łukaszczyk zasię starał się żalne myśli Jędrzkowe ozerwać.

— E czy to jedna dziewczyna na świecie?... Nasiał ich Pan Bóg, jak jedliczek w lesie. Nie ta, to inna. O to byś taką strapację... Jędreku! Miejże zastanowienie.

To znowu z inszej strony:

— Dziewczę... Coż dziewczę? Siute stworzenie, niepewne. Tu sie niby przyśmiechnie, tam zwabi. Na tem ufność pokładać?... Nima to, jak przyjacielowi szczeremu w oczy popatrzeć!...

— Wiera prawdę on gada — Jasiek poparł.

Jędreku siedział osłabły, zgasły w sobie, z głową zwisłą na piersi, jakby zatrutą strzałą w serce ugodzony. Perswazje przyjaciół przechodziły ponad nim, jak chybione żegnania uroku, zgoła nic go nie okrzepiając.

— E, co, psia... — pogorzył się Józek. — Napijmy sie. Zdrowie twoje, Jędrus!

Podjął kubek, gdy się z nim tręcili, i wypił bezwolnie. Wino też władę straciło.

Pobok w izbie szynkowej ozwały się skrzypce...

Cygan, pędziciel wieczny, wiatrów brat, czujem jakimś przedziwnym zwiedziawszy się o bytności harnasiów „Pod Hubą“, przyszedł im zagrać... Smutkiem skrzypiec serca ich ucieszyć.

...Zakwiliło — zagadało — opuszczenie — samo jedno wśród całego świata. Ode wsi do wsi — z kraju w kraj — dniem, nocą — w spiekocie, chłodzie... A wiatr pogania — świszcze — tnie — igłami mrozu... prędey! prędey! — śmierć goźni — w taniec wartki! — w ucieczkę — w zatrazenie — w szal!!

...Dola — dola cygańska... To samo... Od wieka wieków — z kraju w kraj — za krwi przez mocnej siłą, ślepa, niewiedną tęsknotą... A coś się wlecze jak mgła — przypomnienie... Coś, co było tam — tam — przed wieków wiekami... nim ich wygnano z raj. Ostała dola tułacza — a po tamtem — utraconem — jęk — jęk...

Cygan grał. A Jędrzkowi, słuchającemu tej skargi, widziało się, że mu smyczkiem po krwawem sercu prowadzi... Swojej z zawodzeń skrzyżpiec słucał klęski. I, za każdym zawrotem melodji, żalu coraz więcej do serca jego wpływało. W momencie pewnym nie mógł już ucisku żalu znieść — pięści zwarł, aż dłonie zakrwawił — i, unosząc je, wszystkim wyrzutem, ciśniętym w przestrzeń, zaśpiewał:

„Cy-ześ ty, dziewczyno,
Z kamienia wyrosła?!
Mnie-ś sie spodobała,
Ku innemu-ś posła...“

Przejęło to tak czułe serce Jaśka, iż lzy poczęły mu na zwisłe wąsiska spadać, a z wąsów na stół, do wina.

Cygan w te razy, słysząc oddźwięk, uderzył w „zbójnicki“...

Jędrak — jak stał — chybnął przez stół do izby szynkowni... Już przed muzyką stanął — już śpiewa:

„Ej, kieby nie ty —
Hej, kieby nie ty —
Byliby mie zabili
I z konicka zrucili
Między plety...“

Runął zwysoka w taniec...

Powstali dwaj przyjaciele, podeszli ku drzwiom. Byłoż się czemu popatrzeć!

...Niósł się, jak chmura nawałna. Sam jeden — a cała izba nim pełna.

Gdy tak kołem okrążył izbę po kilkakroć — znów koło muzyki idąc:

— Sto-se!! — krzyknął i zwrtnął na miejscu.

Zadudniły dyle — zatrzęsła się karczma — zakręcił świat... Strunom aż dech zapierało.

Teraz, jak wichur się nosił...

Wciśnięta w kąty izby żmudź, biedota wiejska, gały i gardła otwarła z podziwu.

Przestał wkońcu — cyganowi cisnął garść dukatów — wrócił do izby i padł ciężko na ławę.

Przepili doń, lecz się już nie ożywił. Niemoc śmiertelna nań naszła. Jeszcze słabo, podparłszy głowę, zaśpiewał:

„Boże-ż mój, Boże-ż mój,
E, zasmuceny świat mój —
Wto-ż mi go zasmuciel?
Bodaj się nie wróciel...“

I czołem na stół opadł.

Józek z Jaśkiem w bratnim porozumieniu
pozierali nań — przepijali jeszcze do się, cicho
się sprawując, jak na stypie. Niebawem i ich
senne znużenie zmorzyło.

Kiedy nazajutrz z przychodzących do szyn-
kowni ktoś głośnie jeno zagadał — stary Jo-
chym, z palcem przy nosie, z ważną bardzo miną,
wskazując drugą ręką na drzwi bocznej izby:

— Sza!... — przykazywał — tam panowie
zbójniki śpią...

IV.

W dwa dni po owej kwitkowej odprawie, jaką posel biskupi, pan Jordan, na Czorsztynie od Kostki otrzymał, również o porze śniadaniowej dano z wartowni znać, iż wojsko jakieś na drodze od Krościenka widać.

Porwał się Kostka od stołu, kazał tarasować bramy — sam udał się na piętro baszty dla sprawdzenia — skąd przez okno północne zobaczył węzem długim na drodze z Kluczkowiec kilkuset na oko jazdy, spuszczonej się na dół ku zamkowi. Część już, szeregi pierwsze przesłonił mur północny i czuby wystające skał.

Po barwach zdala uważając, nie miał wątpliwości, że to księcia biskupa chorągwie.

— Szybko książdz biskup działa. Wojskową widać ma rezolucję. Trzeba się mieć na baczności...

Zeszedł na dół, by zarządzić odpowiednie dla gości przyjęcie.

W zamku było koło pięćdziesięciu ludzi. — Strzelby nieliczne rozsądził na murze naprzeciw

drogi dojazdu — na mur przybramny, szerszy, kazał zaciągnąć dwie jedyne w zamku hakownice i naładować je prochem, raczej dla postrachu nieświadomych rzeczy, niż użytku. Sam stanął koło strzelnicy wartownej na murze i pojawienia się panów kawalerów czekał.

Jeźdźcy okrążyli północny stok wzgórza i ukazali się od wschodu w świetle wylotu wąwozu, który pomiędzy rozchyłą dwóch rzędów nierówno stożących się skał, niższym północnym, a wyższym południowym, wiódł wprost ku bramie zamku.

Na łące, w części widnej przez światło wąwozu, jęły się nadjeżdżające szeregi ustawiać; chwila spora ubiegła, nim się sprawili.

Zaczem w wąwozie otwartym ukazało się dwóch jeźdźców: jeden, widać było zdala, machał chustką związaną na szabli, drugi trąbił bez przerwy na rogu.

Podjechali niebawem ku bramie. Trębacz dał, jak opętany.

— A to nas ogłuszysz! — huknął z muru Kostka. A gdy ów przestał: — Mów, czego chcecie?

— Rozmówić się z komendantem zamku.

— Jam jest — sprostował się Kostka. — Wyłóż waść śmiało.

Tedy parlamentarjusz, zadarłszy głowę pod słońce:

— Imci panowie, pan podstarości krakowski Śmietanka i pan Jordan, starosta dobczycki,

w imieniu księcia biskupa żądają, by Wmość z dobrawoli otworzył bramę i oddał własność królewską, nieprawnym sposobem odziedzoną.

— A to jest tu i Imci pan Jordan? Jakżeż mi miło... Powiedz waść, panie pośle, panu starości dobczykiemu i wielce szanownemu panu Śmietance, którego nie mam dotąd honoru znać, iż jeśli życzą sobie mówić w jakowych materjach ze mną, to proszę ich w gościnę do zamku, tylko bez asysty tak licznej, bo zamek na nią za ciasny.

— Imci panowie w gościnę tutaj nie przybyli, a czekają deklaracji stanowczej na przedłożone przeze mnie żądanie.

— A cóż panowie rzeczeni uczynią, jeśli żądaniu ich dziwnemu wręcz, jak się snadnie spodziewać mogą, odmówię?

— To siłą zamek wezmą.

— Niechaj więc biorą. Czekamy.

— Czy to ostatnie słowo Wmości?

— Innego nie usłyszą: aże Jordanem miasto wody śmietanka popłynie...

Posel z miejsca zawrócił, trębacz za nim.

— Wygarnąćby tak do nich... — ozwał się wśród śmiechu któryś ze strzelców.

— Ani się waż! — ostro popatrzył Kostka.

Za powrotem wysłańca starszyzna skupiła się wkoło — widać naradzano się nad wszczęciem akcji.

Jakoż wkrótce u wylotu wąwozu poczęły ustawiać się szeregi jazdy.

Kostka ze zdziwieniem patrzył na one manewry.

— Cóż oni sobie myślą: szarżować nas? Sroździe lekceważenie to zapłacą.

Poczem zwrócony do swoich:

— Broń w pogotowiu!

Ku obsłudze hakownic:

— Zapal lont!

Jazda, jak potok z przerwanego stawu, wpłynęła w wąwóz otwarty...

— Nie strzelać! — krzyknął Kostka — aż znak będzie dany.

Gdy jazda już połowę minęła wąwozu i zbliżyła się ku murom twierdzy na pół strzału, — Kostka, machnąwszy szpadą, skomenderował:

— Ognia!

Wypadła palba ręczna — huknęły hakownice. Grzmot echem spotężniałem odbił się od skał.

W wąwozie powstało zamieszanie. — Gdy pierwsze szeregi złamały się, naciskające z tyłu tem większy uczyniły chaos. Konie poczęły się rzucać, stawać dęba. A skoro salwa druga od murów wypadła, popłoch powstał wśród jeźdźców skłębionych. Poczęli siłą zwracać konie — przeciw nazad — i za moment cała już bezładna kupa rwała, co sił, zpowrotem. Nie opamiętali się, aż ich skały za wąwozem skryły.

W wąwozie pustym pozostało kilka ciał leżących i padłych koni.

Po tej nauczce dotkliwej, iż brawurą ani postrachem zamku nie sforsują, pan Jordan z pa-

nem Śmietanką uradzili pewniejszego chwycić się sposobu. — Kazali dragonom swoim zsiąść z koni, ostawić je w bezpieczeńci na przyległej łące, a tak śpieszonym zająć stanowiska chronne na Skalkach wyniosłych naprzeciw murów zamkowych i zabawiać a nużyć strzelaniną obleżonych, czekając nocy, pod której osłoną łącnie pod mury można będzie podejść i, bramę podpalwszy, zamek sam przy nielicznej załodze ubezpieczyć. — W tym celu kazali zawczasu gotować chróst i drzewo suche, jakoteż do wsi najbliższej po beczki smolne posłali.

Niebawem wszystkie załamania i zachrony stożących się przeciw murom Skalek zostały dragonami obsadzone, skąd, bezpieczni, poczęli gęstą w stronę zamku strzelbę.

Poczęto im też odpowiadać ze strzelnic zamkowych.

Ludzie, z obu stron ukryci, niewiele szkody mogli sobie czynić. Strzelcy nawet za szparami strzelnic czuli się od niecelnych kul dragonów całę bezpieczni. Natomiast znajdujący się wśród nich kłusownicy, zoczywszy w szarych Skalkach niebacznie wychylony kapelusz dragoński, celnym go strzałem strącali, przyczem, gdy o cał niebaczność kawalera wzrosła, i głowa wraz z kapeluszem spadła.

Od strony dymiących Skalek poniosły zasię szkodę znaczną okna w górnym zamku, również kule zabłąkane raniły kuchtę i chłopca w dziedzińcu.

Kostka zakazał kręcić się służbie zamkowej — sam, wesół, po murach chodził, śmiało wystawiając się na kule, jakby pewny jakowychś ochronnych czarów, o których już natrącać zaczęli strzelcy przesądni między sobą.

Trwała ta pukanina godzin kilka; ze strony załogi zamku coraz rzadsza, gdyż Kostka kazał kul i prochu szczędzić, by ich w ostatecznej potrzebie nie zbrakło.

Południe było akurat. — Kostka wszedł na płazę murów od bramy wjazdu na lewo — gdy od Wzaru kluczkowieckiego z północy uczynił się szum...

Pojrzy w tę stronę Kostka — i oczom nie wierzy. Serce drgnie mu radośnie. Cóż za zjawal!...

Z Wzaru, od gór, po pochyłości wyniosłego zbocza — łyskając w słońcu — z szumem skrzydeł tysięcznych czy chmury gradowej — coś białego, niepojętego zlatuje...

Czy stado orłów białych?... Czy lawina?...

Gdy się zniżyła w spadzie szybkim, rozeznały oczy Kostki w białej tej chmurze lecącej postaci śmigłe górali — w rozpędzie całym z góry — z ciupagami, świszczącemi w groźbie — z białemi, pod wiatr rozwianemi skrzydłami czuh —

Zaiście, orłów białych po uboczy zlot...

A szum od pędu setek roznosił się przerazią. Lawiną też, nim kto mógł się opatrzyć, zsunęli na dół...

Strach padł na oblegających. Ciskali muszkiety, szable — co tchu pędzili do koni — do

padli ich — i w okropnym, pogromnym popłochu poczęli rwać naoslep w stronę ku Sączowi.

Pod czas ten — ucieczki onych — zakwieciły się stocza zamkowe. Zaśnieżyło się przedmurze spadziste od białych czuh.

Byli to, jak Kostka poznał, junacy z drużyny Sawki, z mnogim dopływem chłopów z okolicy.

Gdy go na murach zejrzeli, z pięciuset naraz piersi wydarł się ku niebu okrzyk:

— Niech żyje nasz pułkownik!

— Niech żyje wódz!...

Podleciały kapelusze wgóre.

Tedy stojącemu w zadziwie na murze — gdy ten wspaniały, zaiste rycerny lud przed sobą ujrzał — rozświeciły się zapałem oczy — i, jak wówczas na wzgórzu nad Miastem, począł z natchnieniem przemawiać.

I znów wiatr ducha wysokiego powiał. Znów ogniste odstrzały poczęły w serca proste słuchać czy uderzać, niecąc trwogę wzruszenia. — Nie wszystko rozumiejąc, czuli jednak potęgę pozewu i żar rozgorzałego do białości serca — gdy słowa, rwące uczuciem, a wędzidłem umiaru wiązane, jak zeskakujące z murów rumaki płomienne w powietrzną przepaść nad głowy ich ciskał:

— Porusz się, skalny Czorsztynie!

Zamku, oglądaj dziwo:

Lud mój uskrzydlon — w czynie...

Sław jego moc urodziwą!

Jaw mi się sprawdził śniony:
Herosi, biali orłowie —
Cud przede mną zjawiony —
Ogromniejszego nie znamię!

Widzieliśmy na oczy
Strach u panów potopi —
Gdy szum przypadł z uboczy,
Gdy zabłysnęli chłopi.

Takoż wam w nice zapaść
Dumni, przejaśni pani —
Gdy na słońce wynijdą
Chłopowie pogardzani.

Wstańcie nowi rycerze!
Rozwińcie białe skrzydła!
Przez was — w cud nowy wierzę,
Przez was — przeszłość mi zbrzydła.

Godzina oto wybiła...
Ruńcie spienioną ławą!!... —
We was odrody siła!
We was przyszłości prawo!

Czerw — rozkładu się prosi,
Próchno przystoi trumnie!
Żywot — w płomień ponosi,
W słońcu rozdrzewia się dumnie!

Tak zawdy ponad ziemią
Orłowym nieście się szumem!
Trumienni — w śmierć oniemia,
Żywi — ztatrzeją w dumę!

Oto na murach tych stoję,
Jako na karku przeszłości —
Wzywam was na święte boje
W imię najświętsze Wolności!

.
Za ostatnią zelżywość
Wszystkiej kmietowej braci,
Za prawdę, sprawiedliwość —
Zerwijcie się, skrzydlaci!!

.
Duchem was poprowadzę,
Gdy ciałem we walce padnę —
A iż was w wierze nie zdradzę:
W krzyż palce przed Bogiem kładnę!

.
Tatry na świadki pozywam —
Niebo pozywam ogniste:
Iż nawet ducha w ofierze...

— — — — —
Przed wami serce me czyste.

Przerwały się właśnie pędzące poprzez słońce obłoki zażęgłe —

blask padł na czoło Kostki. Wielu też przysięgało później, iż widzieli w momencie tym światło nad jego głową.

Długą chwilę, gdy Kostka mówić przestał, milczenie pod murami stało. Poczem jęły się szepty, rozmowy sciszone dźwigać: udzielali jedni drugim swych nad słyszanem uwag.

Bramę tymczasem rozwarto. Wnet zajaśniał dziedziniec białemi czuhami.

Zeszedł Kostka między lud. Ze czcią witano go, unosząc kapeluszków w górę. On też, swobod-

ności zwykłej przywrócony, wesołą twarzą od-
dawał witania.

Zbliżył się Sawka olbrzymi. Kołpak harnasi
swój przed Kostką zdjawszy, w pas się skłonił.

— Bóg zapłać — wyrzekł prosto.

— Jać to waści dziękować winienem... — od-
parł Kostka. Dłoń szeroką serdecznie uściskał.
Poprosił go ze sobą do zamku.

*

Długo w noc płonęły ognie na Czorsztynie —
zamek rozbrzmiewał wiwatami. Kostka podej-
mował lud wszystek gościną.

Nazajutrz, podziękowawszy jeszcze raz za
ochotę prędką, lud okoliczny rozpuścił do do-
mów. Z podzięką też osobną odprawił Sawkę
z drużyną, zlecając mu stanowisko łączne mię-
dzy Czorsztynem a Czarnym Dunajcem.

A zważając w rozumie położenie rzeczy, jako
zaiście poważne, mimo szczęśliwej wczorajszej
odmiany, niepokojąc się też, czemu Orawca
z amunicją nie widać, pchnął oddział większy
ku Lubowli dla pomocy onemu, w razie jakowe-
goś w drodze zagrożenia.

Tedy widząc, iż trzeba się mu końcem z mar-
szałkiem Łętowskim nad onem wszystkim i co
do dalszych postąpień naradzić, list doń wypra-
wił śpieszny, w którym, uwiadamiając go o naj-
ściu biskupich na Czorsztyń i szybkiej odsieczy
Sawki, a kładąc przypuszczenie, iż biskup za-
pewne na tem nie przestanie, lecz sromotę swych

odemścić zechce, prosi go, iżby, nie zwlekając, na Czorsztyń doń pośpieszał, celem naradzenia się spólnego nad temi sprawy.

Komendę nad zebranyymi w Dunajcu radzi w zastępstwie tymczasowem Chowańcowi oddać. „Temuż zlecenie ostawić, by starał się co prędzej siły gotowe pozbierać i z onemi niezwłocznie pod Czorsztyń się podsunąć“.

W trosce też o pozostających w Mieście nieochronnem, przy takim poruszeniu żywiołu dookołnego — a to przedewszystkiem o pannę Zofję, której obraz nadobny jako świętość najdroższą w tajni serca **chował**, również o jej opiekuna, ku któremu prawdziwie synowskie z chwil pobytu w jego dworku powziął przywiązanie, list do pana Zdanowskiego tej treści napisał:

„Mnie wielce Mowemu IM. panu Wiktorynowi Zdanowskiemu do pilnego oddania. — M. mój panie ojczy i dobrodzieju! Mając we wdzięcznem sercu usługi i dobrodziejstwa wszystkie, jakiem niezasłużenie od W. M. pana odebrał, a obawiając się, iżby w czasie tak zawichrzonym spokojność W. M. pana i domu jego nie ucierpiała, upraszam najgoręcej, abyś W. M. pan nieochoybnie, rzeczy swe do mnie posyłając, sam wraz z nadobną swą wychowanicą przed św. Janem na Czorsztyń stawić się raczył. Bo wielkie wojska do mnie ściągają będą, gdyż jest wola Boża a nie inna, aby sprawiedliwość była przywróconą a zbrodnie pokarane, co daj Boże bez rozlania krwi chrześcijańskiej. Ja W. M. pana

gospodarzem na zamku zostawiwszy, pójdę sam, gdzie mię Bóg z wojskiem obróci. Posłałbym W. M. panu *de praeda novellas*, ale się spodziewam go pewnie oglądać, a już będzie po części niebezpieczno wyjeżdżać. Przeto wieniec hojniany na lasce niech będzie wywieszony, i postrzegać się należy, aby czego I. M. X. biskup przeciw W. M. panu, jako dobroczyńcy memu, nie zamyślił. Jegomościom wszystkim czołem biję ochotnie i, oczekując, posyłam wierszem oblężenie moje. Posyłam też jako votum pierścień rubinowy na ołtarz N. Panny lub do św. Anny na górkę, podług uważenia a chęci Wmościnej. W. M. pana życzliwy sługa, Aleksander Lew z Sternberku Kostka.“

Do listu też dołączył wesoly wiersz p. t. „Oblężenie Lwiego gniazda“, który w rozbawieniu w nocy dla uciechy staruszka napisał.

A wezwawszy Gosławskiego, który się już od paru dni do Miasta napierał, pisma owe do oddania panu Zdanowskiemu zlecił.

V.

We dworku pana Zdanowskiego zeszli się pod ony wieczór, jak zazwyczaj, najbliżsi z sąsiedztwa, a to: pan Gniewosz, pisarz cła nowotarskiego, pan Chrzastowiecki, który dla zapożyczonej osady wciąż jeszcze w Mieście przebywał, i pan Berwiński z Ostrowska. Spodziewano się też przybycia pana Lisickiego.

Tym razem nie było to jednak zwyczajne, jak częstokroć, nawiedzenie lubianego powszechnie staruszka, dla pogawędki sąsiedzkiej. — Wyładki zaszły pod Czorsztynem, o których już wieść przesadna obiegła połać Podhala, poruszyły żywo umysły szlacheckie; onym zaś, będącym w bliskiej z panem podstarościem zażyłości, kazały się z nim pospólnie naradzić, jakie stanowisko wobec zaszłych już, a ubezpieczenie wobec obawnych na przyszłość wydarzeń zgodzić mają. — Wielce one od Czorsztyna wieści ich spłoszyły.

Zaraz też na wstępie pan Berwiński w podnieceniu, do gospodarza zwracając się, począł:

— Jakoż to, panie sąsiedzie, a to my siedzimy cicho, nic nie wiedząc, a tu pod nosem w domu wojnę mamy! I to nie z Tatury, ani zdradnymi Kozaki, ale z własną krwią!

— Toż to rzecz niesłychana! — przydał Gniezwoz — kiedy ojczyzna w największej potrzebie, żeby własne siły gromić...

— Mówicie Wmościowie o kłótni pod Czorsztynem?

— Piękna mi kłótnia! Przez cały dzień bitwa trwała — zabitych, ranionych moc...

— Siedm szturmów przedsięwziętych—z tych ostatni byłby się udał, gdyby nie odsiecz niespodziana chłopów, którzy masą przemożną wpadłszy z tyłu, zmusili biskupich do rejterowania się na gościniec...

— Słysząc też, chłopstwo podjudzone rzuciło się obdzierać i dobijać rannych...

— Powoli jeno, powoli — mitygował pan Zdanowski swym spokojem gości. — Przedewszystkiem siadajcie Wmościowie, proszę...

Klasnął na służbę, kazał podać nalewki.

— Co do onego zajścia, to po pierwsze: nie mamy relacyj pewnych, jako to tam było. Rzecz wydaje mi się wielce przesadzona. A już z onem dobijaniem...

— Arendarz mi czorsztyński powiadał — kłął się pan z Ostrowska.

— Arendarz ów powiadał też, że był dokumentnie powieszony, a oto zdrów jest...

Pan Chrzastowiecki, wążący się w zdaniu, śmiechem przytaknął uwadze pana Zdanowskiego.

— Powtóre — ciągnął tenże — rzecz cała sprowadza się do zatargu osobistego X. biskupa z panem Kostką.

— A odmowa wydania królewskiej własności? A wojska wojewódzkie przez onegoż chłopskimi siły pobite? Majestat Rzpltej obrażony.

— Wojska wojewódzkiego X. biskup dla prywaty użył. Sam on był pierwszym powodem. Napastował go — cóż miał pan Kostka robić? Musiał się bronić. Lecz ileż to się zdarzało krwawych między panami rozpraw i zajazdów — a Majestat przez to nie był obrażony.

— Insza to rzecz. Książę biskup, jako rządca województwa tego podczas wojny, jest tu jeno egzekutorem prawa zhańbionego. Zamek bezprawnie zajęty...

— Wciąż mi Wmościowie tem bezprawnem zajęciem zamku ciskacie w oczy!

— Boć to bezprawie oczywiste. Za czymże to rozkazem...

— A kogoż miał się pan Kostka, i to w czasie tak nagłym, radzić? A coby było, gdyby Rakoczy nastąpił?... Zamek byłby dziś w jego ręku, i na nicby się zdały wszelkie egzekucje. Pana Platemberga tu wina, jeżeli już o przewinie mowa, iż zamek odbiegał niezaopatrzone. Pan Kostka zaśię dobrze i po myśli na pewno J. K. Mości

uczynił, iż punkt ten ważny nadgraniczny załogą utwierdził.

— Chłopstwem niepewnem...

— A chłopstwem. Siłami, jakie zwerbował. Ilużby nas miał szlachciców? X. biskup zaś, zamiast mu, jako czasowy gospodarz województwa, za ubezpieczenie południowej granicy dziękować i zasilek w amunicji dać, to, oczernieniom ufając, ludzi orężnych jako na wroga nań nasłał!

— Już on tego bez powodów ważnych nie uczynił...

— Wierzcie mi, Wmościowie, złych ludzi to i oczernień sprawka. X. biskup, nie będąc na miejscu, rzeczy, jako jest, nie widzi...

— Zdala może lepiej rzecz osądza. A zastanowić to musi każdego, co się dookoła dzieje...

— Zaiście może zastanowić — przyświadczył Gniewosz.

— Już to nie wiecowania próżne ani zwyczajne czasu wojny na kresach zluźnienie, jako się wydawać mogło...

— Ogień to już jest!...

— O bezpieczeńci radzić nam zawczasu, by nas ten pożar nie otoczył, a zguby nam wraz z wszystkim nie zgotował.

— Albowm ja już niedołęga taki, albo Wmościowie strachem zaiście spłoszeni. — Nic podobnego nie widzę — ruszył ramiony pan Zdanowski. — Mówcie panowie wyraźniej: o jaką bezpieczeńć chodzi? Skąd, co za ogień?

— A one zewsząd do Dunajca ściągi? One odezwy, wici, manifesty?

— Zwyczajna przy zaciągu a werbunku rzecz. Chłopów trza czemś poruszyć. Na wojnę oni nie bardzo ochotni.

— A toż przeciw panom a szlachcie judzenie?

— Przeciw szlachcie słowa nie czytałem.

— Agitacja daleko się szerzy. Do Dunajca płyną chłopi od Żywca, Pcimia, Zatora...

— Pan Łętowski zbiera chłopów za wyraźną zgodą pana Kostki.

— Zapewne. To też ów pan Kostka coraz dziwniej nam wygląda. Niby przeciw Rakocze-
mu, a z biskupiem wojskiem zapoczyna... Kto wie jeszcze, gdzie się ruch ten skierować może. Taka rozprawa pod Czorsztynem czyż nie ośmieli chłopstwa?

Panna Zofja, wchodząc często i krzątając się po izbie, niby dla gospodarczych potrzeb, pilnie uchem łowiła dotyczące pana Kostki słowa.

— Kto wie — dorzucił pan Berwiński — czy pan Lisicki nie ma i racji, że ów pan pułkownik nie wiedzieć komu: jakiemu bogu li też djabłu służy...

— Bo panowie — rozśmiał się pan podstaro-
ści — chowacie doń wszyscy urazę za ten żart, jaki na sołtystwie klikuszowskiem z nami uczynił. Wierę, mogło to zjankorzyć, zwłaszcza pana Lisickiego, który na te łowy z taką się wybrał fanfara...

— Boć to był zdradziecki żart... Miał widać powody taić...

— A no nie chciał, by mu Wmoście w zajęciu zamku przeszkadzali. Ale przyznajmy między sobą: naszać to wina, nie czyja... mogliśmy się nie dać zbyt raczyć...

— Słusznie pan Zdanowski mówi — poparł Chrzastowiecki. — Jać też opinji panów sąsiadów co do pana Kostki nie podzielam. Że plany ma swoje, widać... Ale niewiadomo, czy właśnie nie dobre. Słyszeliśmy go tu w Mieście... Słowa jego o górnych mówiły zadaniach. Owy z X. biskupem zatarg nic jeszcze nie dowodzi. I nie wiemy, jak w istocie rzecz się ma. Pojechał ksiądz kanonik do Krakowa, może nam coś stamtąd przywiezie. Gdy pewniejsze nas relacje dojdą...

Ozwały się kroki w sieniach. Ukazał się pan Gosławski; za nim proboszcz z Maniów.

— Otóż mamy i świadka! — zawołał ucieszony pan Zdanowski. — Nigdyś się, panie Stanisławie, w czas akuratniejszy nie zjawił! Kogoż tam Pan Bóg jeszcze...

— Ksiądz pleban z Maniów.

— Miło mi... proszę dalej...

Po pierwszych słowach powitań, pan Zdanowski zwrócił się do Gosławskiego:

— Cóż? Powiadajże, panie Stanisławie — byleś na miejscu — jak to tam z tą bitwą było?

— Na pewno pułkownik sam lepiej objaśni. Oto pisma... — wręczył przesyłkę panu Zdanowskiemu, którą tenże jął gorączkowo rozcinać.

— Przepraszam Ichmość panów...

— Aleć my też ciekawi. — A do pana Gosławskiego: — Cóż tam na zamku?

— Wesoło. Zabawy mamy częste. Nie brak też białogłów dla ochoty. Ostatnio jawiła się piękna sołtysówna z Klikuszowej (pojrzał ukosem na pannę Zofję), która pułkownikiem zachwycona, łoże mu sama ściele i ponoć nocą późną, gdy bezsenność go trapi, zabawia.

Rumieniec wynikł na śnieżną szyję Zofji. Odwróciła twarz, jakby nie słysząc.

Pan Zdanowski przezierać począł pisma otwórzane. Naprzód list...

Rozrzewnił go, widny w nim, synowski afekt pana Kostki. Gęsto i hałaśliwie nos wycierał, lzy napływające do oczu strzepując.

— Zochno! A to pan pułkownik do siebie nas zaprasza...

Zbliżyła się i z poza ramienia jego śledziła rządki pisma.

— Tak, tak — powtarzał wzruszony — „...aby bez rozlania krwi chrześcijańskiej...” I co oni jeszcze przeciw niemu... Pan Kostka czołem bije Waszmościom! — oznajmił głośnie.

Chrzastowiecki się skłonił.

— A cóż o bitwie?...

— Zaraz... dowiemy się... „Przesyłam wierszem obłężenie moje... pierścień na ołtarz... świętej Anny...” Rzadkiej cnotliwości młodzian!...

„Lew... Aleksander“... Zawsze to twierdziłem, że znakomitego on rodu być musi. Wszystko to po nim wskazuje...

Gosławski z księdzem z Maniów jęli się półgłosem o coś sprzeczać.

— Czasby był odkryć.

— Poczekajmy...

Pan podstarości przeszedł teraz do „Obleżenia Lwiego gniazda“. Zaraz po pierwszych zdaniach przeczytanych jął parskać a uderzać się w rozbawieniu dłońmi po kolanach, łzami zachodząc od śmiechu.

— A toż to!... A niechże cię!...

Czytać począł wiersze one — niektóre w głos, niektóre sobie pocichu...

— — — — —

„Z przyjaciół biskupa wysuszywszy szklanki,
Przyszedł Jordan pod Czorsztyn sprzedawać maślanki“...

— Aluzja to — wyjaśniał — do pana podstarościego Maślanki, który z nim razem ów najazd przedsięwziął...

— — — — —

„Stąd, gdy faryzeusze zaczęli swą mowę,
Płynęły, jak z Jordanu, z nich słowa takowe“...

— Całe foremnie udane...

— — — — —

„A po próżnych traktatach atak przypuścili,
Mniemając, żeby orła w piersi ugodzili...“

W tem się im Lew otrząśnie, pocnie prószyć z góry,
Aże miła maślanka rozlała się w dziury...“

— Cha! cha!... maślanka... cha! cha!... rozlała się w dziury...

„Pociskali rynsztunki, potracili konie —
Sam Jordan musiał wracać na świńskim ognie“.

— Cha! cha!... a to im dojechał!...

„Otóż wam Zuzannicy! Cóżście wygrali?
Tylkoście Lwa daremnie na się rozgniewali,
Który gniazdo swe przeniósł w niedostępne skały,
Kędy tylko orlice pióra donaszały...“

— Tak, tak... „kędy orlice pióra donaszały...“

— Nic jednak o bitwie — zawiedziony pan Gniewosz uważył.

— Widno przecie z tego — śmiał się pan Zdanowski — co to za bitwa była...

— Pan Gosławski nas bliżej pojaśni — utwierdzał pan Chrzastowiecki.

— A po której stronie waść stawałeś? Po biskupiej, czy chłopskiej? — zagadnął zgóry pan z Ostrowska.

Nim ów odpowiedzieć zdołał, pojawił się we drzwiach pan Lisicki.

Ku niemu obróciła się uwaga zebranych. Pomiarowali po jego zognieniu ważne jakieś nożyny.

Jakoż zaraz, po przywitaniu się ze wszystkimi, zwrócił się do gospodarza:

— Wybacz Wmość, panie kumie, iż wieści, jakie przynoszę, bolesne może mu będą; lecz, mniemam też, wyleczą go nakoniec z tej ufności

nieopatrnej, jaką, w dobroci swej a pobłdże już gorszącej, niegodnego człowieka obdarzałeś.

— Kogoż to? Zdziwion jestem.

— A onego Kostkę, czy jak mu tam, który okazał się jawnie, czem jest: własnej krwi wrogiem i zagubcą!

— Jeśli o zajściu onem pod Czorsztynem mowa, to waści powiem, co już panom sąsiadom mówiłem: Sprawa to pomiędzy nim a ks. biskupem. I rzecz wysoce przesadzona. Cóż to tam za krwawość była! Uśmialiśmy się dosyta, czytając właśnie relację samegoż pana Kostki wierząc o onem srogiem oblężeniu.

— A ja mam skądinąd relacje, daleko mniej wesołe. My się tu śmiejemy, panowie, a gdzie indziej wysoce poważnie, ba, z wielkiem niepokojem na rzecz nieśmieszłą patrzą.

— Gdzież to tak, proszę?

— W obozie.

— Sąż wieści z obozu? — porwali się ciekawi.

— Są — i to nas właśnie dotyczące. Oto krewniak mój donosi, jako że doszły ich tam wiadomości pewne o poruszeniu chłopstwa przez Kostkę niejakiemu w temż tu południowem województwie; jako to szlachtę tej ziemi, będącą w obozie, popłoszyło, iż, w obawie o rodziny i dobytki swoje, rwać się do domów poczęła... A że kancelarja królewska również skądinąd wiadomości o onym buntowniku Kostce otrzymała, przeto król po naradzie wydał uniwersał,

w którym szlachtę tegoż województwa krakowskiego w liczbie jedenaście chorągwi ze służby przy boku swym zwalnia i pod dowództwem Michała Zebrzydowskiego także Aleksandra Lanczakońskiego na utłumienie buntu a ujęcie Kostki onego wysyła... A tak krewniak mój, jak pisze, spodziewa się wkrótce tu stanąć.

— To zapewne i pan Zduń i pan z Ochotnicy wróca...

— Cóż Wmość, panie Zdanowski, na to wszystko?

— A to — wybuchnął — że Bóg oszczerców pokarze, a prawda snadnie na wierzch wyjdzie!

— Więc Wmość nie wierzysz?...

— Nie wierzę.

— A królaż uniwersał?

— I króla złudzić mogli, a przeciw nieznanemu nastroić...

— Jakoż to — a pan Kostka pułkownikiem J. K. Mości się mienił...

Panna Zofja, stojąc przy kredensie, z najwyższym poruszeniem słuchała groźnych tych doniesień. Ogniem gorzała w obliczu, jakby ją samą pod pręgierz stawiono.

Pan Chrzastowiecki do pana podstarościego się zbliżył.

— Jać zawsze — tłumaczyć począł — z sąsiadami się sprzeczałem, biorąc w obronę pana Kostkę, lecz teraz widzę, że...

Pan Zdanowski, rozum już pobłąkany czując, ręce wznosił w górę:

— Szatani tu jakby pracowali nad zgubą duszy niewinnej...

Drzwi się otwarły.

— Oto i ksiądz kanonik! — zawołano.

— Wracam właśnie z Krakowa...

Posunęli się witać go a wieści pytać.

— Nawet nie wstępując na probostwo, prosto tu dążę, aby panom...

— Cóż ksiądz kanonik przywozisz?

— Rzeczy niemałej wagi.

— Prosimy!

Wydobył papier z za sutanny...

— Oto jest odpis listu, jaki ks. biskup do kasztelana krakowskiego do obozu wysłał...

Podał pismo kolejną. Czytano:

„Z Krakowa dnia 20 Junij. Czorsztyń ubieżano i zbójcami a chłopstwem osadzono. *Ad primum nuntium* posłani ludzie, *qui flammam extinguerent*, nic nie wskórali, i ten ogień tli się, bo chłopstwo *insurgit*. Dla miłości i ratunku Ojczyzny, przybież W. M. Pan do Krakowa, porusz szlachtę pozostałą w domu, zbierzmy się i radźmy wszyscy o środkach, jakie będą mogły być, *ne opprimamur*. Posłałem ja wczora kilkuset jazdy, *ut tentent recuperationem* tego zamku, ale nie widzę podobieństwa. Przybywaj, przybież W. M. Pan, bo to straszny ogień.“

— Nie koniec na tem — informował ksiądz kanonik. — Oto ks. biskup, nie ufając, jak nadmienia w liście, siłom wysłanym, czem pilniej zebrał siły większe, i pod dowództwem pana Ja-

rockiego pchnął je pod Czorsztyń. Na jutro rano najdalej tam staną... A tak w Bogu nadzieja, że zamek dobędą, a temu wichrzycielowi koniec prędki zrobią i bunt w zarodku zgaszą.

Gdy pan Zdanowski jął czytać uważnie podany odpis listu biskupiego do kasztelana, całkiem zmieszał się w sądzie i, za głowę się chwytając:

— Jezusie nazareński! Matko Boża! Czy ja ślepy — czy wszyscy...

Tedy wystąpił, dotąd milczący, pleban z Maniów.

— Widzę ja, że czas jest, aby dowód jawny zdrady onego buntownika — jeśli kto wątpi jeszcze — okazać... A uzyskanie onego dowodu winniśmy temu oto cnotliwemu kawalerowi — wskazał na Gosławskiego — który z zaparciem się siebie przy onym piekielniku trwał, na opinię niedbały, aby przy okazji zdarzonej sprawie ogólnej się przysłużyć. Odezwy te w papierach Kostki znalezione...

Tu wyjął plik papierów i na stole położył. Rzucili się je czytać...

— Zdrada potworna! Zdrada!! — zahuczwała izba.

Pan Zdanowski — gdy pierwsze słowa odezwy głośno przesylabizował:

„Bohdan Chmiel...nicki... wiadomo czyniąc... wszystkim poddanym korony...” — począł, jak tonący, trzepać rękami w powietrzu, poczem runął, omdlały, na ziemię.

Skoczyli go ratować.

Panna Zofja stała blada, bez kropli krwi w obliczu, cisnąc obiema dłońmi serce, które było gwałtownie; widziało się, i ona lada moment padnie.

Poskoczył ku niej Gosławski...

Odepchnęła go oczami — i, ślaniając się koło ścian, przeszła do swej izdebki.

VI.

Znalazłszy się w swej izdebce, panna Zofja czołem opadła na łóżko i długo trwała w półomdleniu, jedyne to mając czucie, iż zsunęła się raptem w jakąś przepaść okrutną.

— Nic — nic — jeno ciemność... runięcie nagłe wszystkiego... Gdybyż już śmierć litosna...

Zwolna do zmysłów przychodząc, jęła przez ból wstający uświadamiać sobie ogrom klęski, jaka ją w otchłań strąciła.

Wszystka stateczna ufność, uczucie najczystsze, — jedno, co prawdą w przemijaniu czasu rozumiała, byłoby kłamu igraszką?... Byłoby białe czarnem, niebo piekłem, sam Bóg — żeby po ciemniał?

— Matko Ludźmierska, ratuj! — wołała w ośbłędzie myśli, w mroku okrutnym tonąca.

Na czem się oprzeć? Gdzie stanąć? Osuwa się wszystko, czego myśl się dochwyci. Całyż świat zdradnem trzęsawiskiem? Topielą wiary i ducha?...

Cóż pewniejszego było nadeń? a oto... Serce pomyśleć się wzdraga. On — którego w jasności duszy wypieściła, którego uwielbieniem pod niebo wyniosła — byłżeby czarniejszym niż szatan... (słowo się lęka siebie)... Matkobójcą?

— Zdrada! zdrada! — brzmi w mózgu jej zbolełym, jak wyrok straszny, haniebny, cięższy stokroć od wszelkich kar i śmierci. Poczynają się zlatywać i krążyć ponad jej bólem obłąkaną myślą kruki czarne: dowody, pisma, oskarżenia...

Jakież to są?... Ośmiela się wbrew zagrożeniu klęski spojrzeć na nie —:

Zamek bezprawnie zajęty... Pobicie wojska biskupiego... Uniwersał królewski z obozu... I to najcięższe, co krew ścina —: z wrogiem ojczyzny zмова...

Wyraźnie krwawią się w jej mózgu, jak ogniem wypalone słowa:

„Bohdan Chmielnicki, wiadomo czyniąc wszystkim poddanym korony“...

— Zdrada to jawna...

— Nie! nie!

Gdy rozum musi stwierdzić w bólu, jak na tortury dowodem onym pociągany, rzeczywistość okrutną — serce uwierzyć nie chce. Lecz otrząsnąwszy się z upadku, wbrew i przeciwko wszystkiemu mężną gotuje obronę...

Zwołuje wszystko zbaczone, coby tu zaważyć mogło — pamięcią wierną, na jotę nieomylną, przechodzi rozmowy one, których prawdy wyśpowiednej nic osłabić nie zdoła.

Poczynają przed mrokiem jej duszy zbawcze pojawiać się brzaski. Jak rozwidniała wieszczbę, której wonczas nie przeznała, słyszy w sercu wyrazem wzruszenia wrotnym jego słowa:

— Przyjść może czas, że stanę się światu ciemny... że mnie najbliżsi opuszczą... że zdrajcą może mnie nazwą...

— Tak też i stało się...

Lecz ten oczywisty groźny, niczem nie odparty dowód: odezwy Chmielnickiego!...

Znow ciemność zesunięta pokryła zbawcze przebłyski. Raz je zejrzawszy męstwem wiary jako szczeliny świetlne w ścianach kaźni, nie traci ufnej nadziei. Poczyna rozumem serca w mroku omacnym śledzić...

— Któż to te odezwy odkrył?... Gosławski... człowiek lichej konduity i osobistą zemstą kierowany...

Pomni, jak się odgrażał... Jemu to raczej podobne... Owe postaci nieznane, które tu doń do oficyn na konszachty tajne przychodziły...

I czy odezwy te naprawdę w papierach pana Kostki znalazł? — A gdyby nawet... Dziady wędrówne, jak mówiono, po odpustach, jarmarkach siały niemi... Więc mógł je mieć... Odezwy tych jednak pan Kostka nie rozrzucał — a swoje uniwersały wydawał...

Snop światła przedarł mroki... Dowód ten straszny nie jest więc dowodem! Jasno już teraz serce widzi.

— Jakoż oni mogli tak snadnie uwierzyć?...
Nastrojenie było — oto przez to...

Ku onym więc pierwszym oskarżeniom by-
strość zmeźniałego już serca obraca...

— Zamek bezprawnie osadził... o co z ks. bi-
skupem zatarg. Pan Zdanowski lekce tę rzecz
sądzi. Lecz wieści one z obozu... popłoch tam...
uniwersał króla... wysłanie jedenastu chorągwi,
mimo przez ten ubytek uszczuplenia przed roz-
prawą sił...

— Skądże ten strach, i ta zawziętość niezwy-
kła księcia wuja biskupa?... O zamekże tu
chodzi?

Gdy nad tem myśl upartą waży, nasuwają się
jej przemożniejszem o wiele znaczeniem: wici —
uniwersały — chłopstwo dokoła ruszone... i to,
co z powietrznego dzwonienia do wiedzy czucia
dochodzi: — zapowiedź burzy bliskiej...

A przez oną skłębioną, rdzawą chmurową ci-
szę słyszy słowa...: „czy waćpanny to, jako
szlachcianki, nie zléknie?...“

Strach ją istotnie przejął.

— Przeciw szlachcie... więc przeciw Rzeczy-
pospolitej! Nie równaże to zdrada?

Znów mrok zachodzi. Znowu osuwa się
w przepaść... Ból jeno mniej okrutny: krzywdę
bo już osobistą, przez stanu szlacheckiego zagro-
żenie, czuje. Całą siłą, w dumie rodnej zranio-
nego serca, wgłębia się w osąd ten ostatni.

Anioły uczuć nad nią walkę toczą...

Szlacheckość — dom to jej przecie. Pamięć matki najświętsza — w trwożnej czci oglądane portrety przodków — we krwi dumy wysokiej słyszana z opowieści prostych sława dziadów... W kątach żelazne zbroice, legendami po nocach straszące... Zegar wiekowy — sędzia i mierzyciel czasu... Kantorki dziwne — ołtarzyki — pełne tajemnych skrytek... Fotele wyłacane, szafy o dziwnych gryfach... Wszystko to przywiązaniem dziecka na zawdy ostało jej bliskie — i wraz z bezpieczną, nigdy już niestety niepowrotną atmosferą komnat, z wszystkimi obyczajami, z całą tradycją wieków weszło w jej pamięć krwi i stało się połową jej duszy.

A drugą połowę wzięła wieś umiłowana, która oto na dom jej zagrożeniem wstaje.

Dwie połowy jej duszy — dwa światy — we wrogiej ze sobą kłótni... A jedność są — Ojczyzna... Gdybyż stanęła ponad nimi tęcza połączna, Zgoda... Życie by już z radością w ofierze...

— Sielanki to są: ta wieś twoja — i ta tęcza jednania... O zgodzie głównie krzywdziciel rozprawia, aby tem snadniej rozbrojonego przytłamsić... Ojczyzna?... strzępka jej chłopu nie staje. Pycha panów wzięła ją pod się z kretesem. Chłop tedy zgłasza równe do niej prawo.

— Prawość większe ma, kto jej broni. Szlachta zawdy była jej puklerzem. I dziś — nie jestże prawie wszystka u jej zagrożonych granic — nie stanęłaż tamą żywą groźnej od wschodu powodzi?...

— Tama spróchniała — nie zdzierży! Czerw stoczył naród szlachecki. — Lud stanie zwycięską tamą!... — Słyszysz oto ze wzgórza wichrem miotane płomienie.

— Lud na arenie dziejów?... Lud narodem?... — przenikła ją myśl jako błyskawica.

Sercem — w olśnieniu nagłem — zrozumiała...
I zrozumiała teraz słowa jego:

— „Za jasne światło gromów dla oczu dzisiejszych... Są czyny wybiegające poza czas...”

Jak równie i to, że „stanie się światu ciemny... że go najbliżsi opuszczają...”

— Choćby wszyscy... Serce rozumiejące nie zawiedzie.

Powstała, duchem silna, choć osłabiona w ciele.

Gdy ku Czorsztynowi myśl obróciła zjaśnioną, zadrżała w sercu... Przyszły jej oto na pamięć słowa kanonika, półświadomie, w uwadze listem zalęklej, przyjęte: o siłach znacznych, przez biskupa wysłanych pod Czorsztyń... „Na jutro rano tam staną” — zapewnił.

Nad niespodziewającym się niczego na zamku nagle niebezpieczeństwo zawisło...

— Ostrzec! Uprzedzić!

— Lecz jak? Przez kogo? Czas zbyt krótki. I za ważna to rzecz, by ją przypadkowi, ludziom zawodnym powierzyć.

Niedługo zastanawiała się.

— Sama pójdzie. Sama go uprzedzi.

Przeszła na drugą stronę dworku, by się o stanie zdrowia pana Zdanowskiego dowiedzieć. Leżał w łóżku; golarz wezwany z miasta, krew mu puszczał; czuwał przy nim pan Chrzastowiecki.

Uspokojona z tej strony, udała się do pokoju służebnej, której nie zastawszy, wzięła chustkę jej wieśniaczą, zaodziała się i niepostrzeżenie wymknęła się przez furtkę ogrodu.

*

Spało już Miasto, gdy w rynek z mostu wchodziła; jeno stukwały wdali kroki wartowników, a naprzeciw, w rogu rynku w gospodzie Węgra dudniały za światłem szyb pijackie hukania.

Skreśliła za torem traktu w ulicę Waksmundzką i wkrótce znalazła się w otwartej pustce za miastem.

Gościniec widno było, gdyż księżyc, mało z pełni, przesłaniały dość rzadkie, porwane obłoki — lecz niesamowitość tego właśnie półświatła zmiennego, pustka dokolna, daleka i niepewna droga zatrzymały ją wahaniem przez moment.

Dumała już, czy nie zawrócić. Lecz pomyślenie wagi rzeczy pchnęło ją odważnie naprzód. Nawet przyśpieszyła kroku, by na czas do celu zdążyć.

Niepokojące zsamotnienie, które w tej ciszy dokolnej trwożyłoby ją mogło, odpędziła tą myślą jedyną, iż musi przed świtem do Czorsztyna dojść. Musi uprzedzić pana Kostkę — niech się, co chce, dzieje — by niespodzianość niebezpie-

czeństwa uchylić — a tak on już sam, ufa, radę, znajdzie, co za najściem przewagi uczynić.

Przestronność pól zwięzła się — poczęły się pojawiać budynki po obu stronach gościńca: — weszła w dziedzinę waksmundzką.

Wkrótce wieś się straciła. Wyjawił się z prawej strony cmentarz, murem niskim i bramą lukową, tuż poza rowem gościńca.

Gdy cmentarz ów już mijała — pojrzy znagła w prawo — i widzi: dwa cienie przeskakują przez mur i suną przez rów ku niej...

Zmierzwiła wszystka. Jednak w tymże momencie sprawdziła, iż to cienie drzew cmentarnych; zaś przyczyną ich ruchu chmury rwane, przez księżyc sunące.

Otużała, pośpieszyła dalej.

Echo złąknienia jednak długo w sercu czuła.

Znów pola wokół pustką ją objęły. Znów milę ubiegła sporą, nim do osiedli Ostrowska zdążyła. Przejście przez wieś, choć uśpioną, było jej wytchnieniem.

Poza Ostrowskiem trakt się dźwigał na dział; już też, niezwyczajną drogi pieszej, znużenie jęło słabić. Popędzała ją myśl, wciąż obecna w sercu, iż zadanie tak ważne ma spełnić. Tem się krzepiła również, iż według swego uważania pól drogi minęła, a gościniec pocznie się teraz zniżać ku dolinie.

Jakoż z działu, gdzie krzyż stał, i rozstaje kępą drzew straszło, gościniec odginał się wdół ku wsi Łopusznej.

Raźniej zeszła w dolinę. Gdy mijała opodal bielejący dworek pana Lisickiego, psy, poczuwszy ją, wypadły z charkiem i jazgotem wściekłym na gościniec. A miał tego pan Lisicki cały niemal kerdel. Na szczęście, będąc kilka razy z panem Zdanowskim w Łopusznej, знаła paru psów z imienia. Te poczęła przyzywać — a gdy podeszły, i drugie już zelżyły w srogości.

Przestraszyła ją jednak ta napaść, i obawnie już szła dalej, tem bardziej, że zaczynały się lasy harkłowskie, i gościniec jak w puszcze w nie wnikał.

Uszła już lasem spory kęs, między ciemnymi ścianami tajemnicy i znalazła się właśnie na skrawku gościńca, gdy dobiegły ją z lewa pijane pohukiwania i tupoty koni.

Trwogą zjęta, rzuciła się bez namysłu w las. Raczej zwierza już spotkać, niż niepewnych ludzi. Mniemała też, że przetnie wprost po cięciwie leśnej, gdyż tu gościniec łuk czynił, a tak drogę jeszcze skróci.

Oddaliła się już znacznie, gdy z traktu śpiew ją dobiegł:

„Jedzie wojsko od Czorsztyna —

Matko moja, poznaj syna! —

Jakże ja go poznać mam —

Kie ja biedna, a on pan...”

Widać, z drużyny jakiejś junacy, wracali z karczmy z „Pod Huby“.

Jeźdźców odgłosy przepadły — i władca lasu ją objęła.

Dziwnie działo się przed oczami... To cienie czarne zsuwały się z drzew i kryły ziemię — to światła nagle zaświecały. Wszystko to w jakimś umówionem, tajemnem milczeniu. Stąpania jej zdawały się świętokradczo przerywać ten dziwny, niepokojący obrządek.

Starala się ściszać kroki i jak najmniej uwagi na się milczenia okolnego zwracać. Jednak z drżeniem postrzegala, że światła ukazują ją cieniom — cienie znakami umówionemi wydają ją — a drzewa groźnem spoważnieniem sądzą.

W momencie pewnym trzask gałęzi — tuż przed nią — rozerwał ciszę...

Lęk jej rozszerzył oczy. W rozbłysłem własnie świetle dojrzała jeszcze kudłaty zad, w cień wsiąkający.

Z trwogą postępowała dalej. Przyszło jej teraz na pamięć wszystko, co słyszała o wilkach i niedźwiedziach z tychże harklowskich lasów. Wydawało jej się, że lada moment coś z za drzew ku niej wyskoczy — bała się w świetle pokazać — a w cieniach jawiły się jej przerazią częstą zielone ognia ślepiów.

Wszystkie pamiętne modlitwy zszeptala — Matce Boskiej Ludźmierskiej i swojej Pieniążkowskiej oddawała się gorąco w opiekę.

Las zrzedniał. Poręby się odsłoniły. Wytchnęła z trwogi okrutnej. Ból też nieznośny, jaki ją uczuwać w stopach, odwrócił jej od strachów uwagę. W ciżemkach lekkich była wy-

szła, zapomniawszy o zmianie obuwia — i teraz, gdy przez las szła, przez mchy wilgotne, zacieki, ciżemki one wniwecz poszły — została prawie boso. Nie uważała tego w lęku leśnym, lecz teraz, gdy poczęła iść przez łomy wrębu, ból ją pamięci przywrócił. Za nic jednak nie zawróciłaby ku ścianie leśnej. Poczęła więc przedzierać się przez wrąb, przez gęste zapory łomów, to przez srogie wężowiska ożyn, raniąc białe kwiaty stóp o zdradne podłoże.

Poręby wnet się skończyły. Przejął ją znów las wysoki. Czekającą tu w schronie cieniów trwogę przesłoniła myśl trwoźniejsza: iż pobłądziła... — Gościniec dawno powinienby być, a tu ani wieści...

Zapewne, gdy ów strach ją w lesie co minionym opadł, dawszy mu uwagę wszystką, zmyliła kierunek.

Skreśliła tedy na prawo, jak jej pchnięcie trwogi doradziło. Uważwszy po jakimś czasie, że źle idzie, w przeciwną rzuciła się stronę. Znów po chwilach kilku zawróciła. Gorączka trwogi, gdy czas się krócił, w niej rosła. Poczęła biec, jak w obłąkaniu, aż, wyczerpana do znaku na podściel leśną padła.

Łzy rozpaczy rzuciły się jej z oczu.

— Nie zdąży... i sił już nie ma...

A przygasłe światła powiadały, iż noc uchodzi.

— Najświętsza Panno Ludźmierska! — jęczała Zofja w ostatniej serca niedoli.

Niedoli serc przykłonna, ulitowała się Pannienka Ludźmierska swej wiernej wyznawczyni i dłonią łaskawą, w której berło dzierży, szum od Dunajca ku niej przygarnęła... iż zadzwonił w jej uszach otuchą — siły upadłe budząc.

Podniosła się, omocniona, i, nadzieją wstałą prowadzona, ku onemu szumowi zbawiennemu szła... Wkrótce nad brzegiem Dunajca stanęła. A poza nim, naprzeciw, zobaczyła radością ócz, jakby drugą przygasłą rzekę — gościniec.

Bez namysłu zsunęła się z brzegu, i wody Dunajca, szczęściem szeroko tu rozlane, przeszła. W chwil parę znalazła się już na torze gościńca, który wiódł, jak poznała, do dziedziny Maniów.

— Więc to już blisko... O Boże! Matko Ludźmierska, dzięki...

Dnienie na niebie wstawało.

Ruszyła śpiesznie, wyciskając krwawe ślady stóp w pyle gościńca.

Minęła wkrótce Maniowy i — gdy za gościńcem podniosła się na przechył zakrętu — obaczyła opodal, na brzasku rozwidniałym nieba, ciemne baszty Czorsztyna...

Serce jej drgnęło radośnie:

— Oto już cel...

Ostatek sił zebrała i szybko po równi traktu ku stopom skalnym dążyła.

Gościniec kurczył się szybko — skały występowały — już jeno kilkaset — już jeno kilkadziesiąt kroków...

Doszła do skał, które — tuż przed murami —
z obu stron traktu wstające — bramę niejako
wstępną utworzyły...

Raptem serce w niej zamarło — nogi się
ugięły...

Ujrzała przez oną bramę — w świetle świtu —
otaczającą zamek, dragonję...

VII.

Gdy świt jasny wstał — a było to we czwartek, na dwa dni przed św. Janem — zobaczono z zamku z przerażeniem rozwijające się koło murów wojsko...

Czem pilniej o tem dano Kostce znać, który kazał bramę zgotowanemi belki, jakoteż kamieniami z dziedzińca tarasować i, ubrawszy się szybko, zszedł na dół, by z murów zbliżonej siły oblężnej policzyć.

Uważył wojska onego do dwóch tysięcy ludzi. W czem nie o dużo się zmylił — gdyż pan Jarocki tyleż pod Czorsztynem przyprowadził jazdy z dodatkiem dwustu Jordanowych ludzi, których z drogi, w rozplószeniu potkanych, zawrócono.

Nie spodziewał się zaiście Kostka tak rychłej, po onegdajszej odprawie, napaści. Ludzi też większość w różne strony, właśnie za dotyczącymi obrony sprawami, jako i tych naprzeciw Orawca, porozsyłał — tak, że w tym czasie znajdowało się w Zamku trzydziestu wszystkiego chłopca i pięć niewiast.

Bawił też ninie na zamku zaproszony przez listem Marszałek Łętowski — był również, wczora pod noc z raportem przybyły, onże od zubienicy w Mieście przez Kostkę wybawiony i dowództwem oddziału zaufany, Wasyli Czepiec.

Szczupłość onej załogi wobec takiej przewagi oblężnej mniej jeszcze trwożyć mogła, niż brak amunicji. Orawiec, po nią wysłany, dotąd nie powrócił.

Mimo to nie stracił Kostka zwykłej swobody umysłu, a zarządzeniem obrony skutecznej się zajął. Osobiście dopilnował umocnienia bram, kazał belki i głązy przysposobione na mury powydźwigać, w strzelnicach koło dziedzińca od wschodu, gdzie atak mógł być ważony, strzelbę jaką miał rozsadził i, przechodząc się po plaży murów, baczenie pilne na ruchy napastników dawał.

Rozedniało już zupełnie.

Pojawił się na murze Łętowski. — Z życzeniem dnia dobrego do Kostki się zbliżył.

— Dobry mamy dzień — odrzekł wesoło Kostka. — Oto gości nam niespodzianych Pan Bóg zdarzył — wskazał na stoki zamkowe.

— Widzę — zachmurzył się Łętowski, oczyma uważnemi siły oblężne taksując.

— To już poważna, nie śmietankowa wyprawa, i żołnierz jak wybierany. Wielce widać księciu biskupowi o zdrowie nasze chodzi. Winniśmy mu być wdzięczni, że nas tak szacuje. To jeno

przykro mi, że ta przeszkoda zdarza się akurat podczas waszej, panie Marszałku, gościny.

— O toć fraszki. Na to ja się już stroił. Przykra może być ino niespodzianość...

— Inaczej wczora planowaliśmy.

— A no, mieliśmy im iść naprzeciw, to oni ku nam wybiegli. Coż pan pułkownik wobec tego дума?

— Dumam ich przyjąć, czem możność pozwoli.

— Prochów pono mamy skąpo.

— Toć to jedyne zagrożenie. Co zaszło, iż Orawiec na czas się nie jawił, wyrozumieć nie mogę. Obawiam się, by, teraz wracając, nie wpadł im w ręce. Dowiedzieliby się rychło o naszym kłopotcie.

— Postrzegaj się będzie, jak o oblężeniu zasłyszysz. Sił poblisce nie mamy, przy których pomocy mógłby się przez pierścień ów do zamku przedostać?

— Siły wszystkie gotowe ku Dunajcowi pociąły. Takoz drużyny Łukaszczyka i Czepca, który mi o tem meldował. Sawka jeden może być w harkłowskich lasach, o ile dalej nie pomknał. Na św. Jana, jak było rzezonem, tu mają stanać. Tymczasem musimy z tą znikomą garstką — wskazał ręką — oprzeć się dwom tyśiącom.

— Trista zjadło... My sie tu głowimy, jak dać przemocy odpór — a tam w Dunajcu czerniawa!..

Chłopów tela, że samą pojawiają wojskoby sześćo-
kroć większe ozgromili.

— Na szczęście, jazda to jeno. Będziemy ich
trzymać przez dni parę, a tymczasem z siłami
Chowaniec nadciągnie...

— Czyby nie można jako dać znać do Du-
najca?

— Pomyślmy nad tem z zapadem nocy. Choć
zamek widać szczelnie otoczyli. Ale i tak, mnie-
mam, wieść sama o oblężeniu nas tu do Dunajca
dojdzie...

— Czyby też, Ich Mielłość, nie próbować
układów z onymi — aby czas zeszedł...

— Wątpię, czy się na to chwyca. Pośpiech
im widać w myśli. Na tem całą wyprawę zasa-
dzili. Próbować jednak możemy.

To rzekłszy, przechylił się za mur i, zwraca-
jąc się do najbliższej stojących żołnierzy, huknął
w dłonie:

— Hej tam, dragoni! Sam tu bliżej!

A gdy dwóch z nich, po chwili wahania, po
pochyłości stoków podjechało:

— Czyja to dragonja? — spytał.

— Księcia biskupa! — brzmiała odpowiedź.

— Kto komendant?

— Pan pułkownik Jarocki.

— Powiedzcie panu pułkownikowi, że kome-
dant zamku prosi go na rozmowę.

Jeden z nich kopnął się na dół — niebawem
na stok powrócił.

— Pan pułkownik powiada — zawołał — że na rozmowy czasu nie ma...

— Cale niegrzeczna, jak na kawalera, odpowiedź.

— Nie oddacie, mówi, zamku dobrowolnie, to go siłą dostanie.

— Niechaj dostaje!... Widzisz, panie Marszałku, jaki nam respons przysłali. Jeszcześmy im potuchy przydali swoją niewczesną skwapliwośćią.

— Tedy będzie, co Bóg da — mruknął Łętowski. — Nic se ni mamy do wyrzutu. Kieby ino Chowańcowi dać znać...

Tymczasem pan Jarocki obłęźne począł działania. Z części sił swych utworzył łańcuch wartowniczy wokoło murów; część większą dragonów śpieszył i obsadził nimi skały wszystkie i wyniosłości naprzeciw bramy wjazdowej, skąd też wnet rozpoczęli gęstą palbę ku murom.

Kostka przykazał ludziom swoim oszczędzać kul i prochu, a strzelać jeno w potrzebie koniecznej, gdyby atak ku bramie się zbliżał. Przeto mury milczały, jakby nikogo za niemi nie było; głucho odbijał się od ich martwości huk muszkietów i osyp kul, które, szkód nie czyniąc, wapno jeno obtłukiwały.

Trwała ta strzelanina próżna — z przestankami — aż do zapadu słońca.

Pod wieczór Kostka — w przypuszczeniu, iż nocą zechce pan Jarocki zamek szturmować, kazał na mur wytoczyć beczki ze smołą, kępy ka-

mieni przystroić, belki, drągi, co jeno dla odparcia napaści mogło się zdać, i trwać załodze wszystkiej w pogotowiu.

Noc jednak przeszła spokojnie, na czuwaniu.

Zamierzał Kostka za nastawaniem Łętowskiego wysłać człowieka z wieścią do Dunajca, lecz wobec gęstości straży, która się na noc zdwoiła, i wyraźnego niepodobieństwa przedostania się przez pierścień ogni, zamiaru tego poniechał.

Nadedniem zasłyszano ruch jakiś w obozie oblężniczym; mniemając, że atak się przygotowuje, czujność na murach zdwojono.

Gdy świt rozednił świat, Kostka zobaczył w wystąpionych skałach naprzeciw grupę górali, niby swoich, w nieruchomości jak przykutych, ku murom obróconych.

W zdziwieniu, zwracając się ku obok stojącym strzelcom i grupę ową na skałach wskazując:

— Któż to tam? — spytał.

Przysłonili dłońmi oczy bystre...

— Orawcowi to ludzie! — krzyknęli. — On sam!... Jasiek! — poczęli nań wołać.

Ujrzał i Orawiec swoich... Zatrzepotał się jak jastrząb ze związanymi skrzydły, zakwilił — i oczy krwawe, nieszczęśliwe, utkwiał w postaci widnej pułkownika.

Zaiście w srogiej znalazł się niedoli.

— Że jest postronkami skrępowan, na sztyd wystawion — to nic. Jeno że przez jego nieszczęsną przewinę zamek oto zagrożon... Żeby

był dzień wcześniej przybył... ten dzień jeden akurat, który „Pod Hubą“ zbawił...

Krwawe teraz czynił sobie wyrzuty.

— Bezbronnych na łup ostawił... Ludzi i amunicję stracił... Ufanie pułkownika zawiódł... Jaką karą może być nań dość sroga? Jużby tortury wszelkie, ba śmierć samą z lekkim frasunkiem zniósł, kieby się to odrobić dało...

Ogarnął go w drodze starosta lubowelski, który z trzystu ludźmi i dwoma działami dziś nadedniem pod Czorsztyn dociągnął.

Skępowanych ustawiono w skałach naprzeciw bramy zamku, na sztyd obłożonym, działa za ich osłoną umieszczając. — Mógł stąd widzieć Orawiec wszystko, co się na murach działo, nic nie mogąc. I tkwił jak pod wyrokiem: pod oczyma sądzącymi tamtych i tych, dokoła siebie związanych. Istnie był jak jastrząb zbity, z opadłymi skrzydłami, z strzępami złamanych lotek, z krwawymi obręczami ocz, lutości godzien.

Z dniem powstałym nowe siły przybyły w sukurs Jarockiemu. Nadciągnęła, z Krakowa za nim wysłana, piechota siewierska: dwieście ludzi z dwiema harmatkami, pod wodzą Rachwalskiego. — O śródpołudni przybyło z pod Muszyny z dóbr biskupich również dwiеста ludzi i sześćdziesięciu strzelców górskich, t. zw. harników. Nadciągnęło też kilku panów z hajdukami swymi. Siły oblęgających wzrosły przez to do trzech tysięcy ludzi.

Dokoła zamku powstał ruch. Piechota szyko-

wała przyrządy obłężnicze. Zaciągano na skały harmatki...

Kostka musiał patrzeć bezsilny z murów na te przygotowania naoczne. Nie miał amunicji, by przeszkodzić.

O jedenastej rozpoczęto ze skał naprzeciw ogień. Zadymiły się stożące się przeciw murom Skałki. Każdy załom, zachylenie kryły atakujących.

Palba muszkietów zalewała grzechotem dziedzińec, dźwięczała po oknach baszt; kule działowe ze stękiem uderzały w mury, krusząc przyczoły strzelnic, czyniąc wyrwy. Huk wielotórnił strzały.

Z murów nie odpowiadano. Skryci za osłoną strzelcy, gotowi stali na odparcie szturmu. Lecz naprzeciw tak oczywistej, hukiem zdwajanej przewagi, gdy rachowali się oczyma w sile, duch w nich słabnął.

W południe ogień wzmógł się do nawałni. W ścianie górnego zamku szyby wszystkie padły — baszty oczodołami wystąpiły — w murze górnym tu i ówdzie zaświeciły szczyrby. Odpryskiem skał przymurza ranionych strzelców paru.

Ustawiono działa dwa wprost przeciw murom i, nakierowawszy je celnie, poczęto bić w bramę. Poczęły się szczypać grube tarcice jodłowe, żelazem nabijane. Widnem było, że brama wkrótce ustąpi.

Nie widział Kostka możliwości utrzymania obszernego dziedzińca dolnego garstką swych ludzi.

Jedyna rada: opuścić mury zewnętrzne i trzymać się w górnym zamku, nim odsiecz nie nadejdzie.

Kazał więc bydła część, wystarczającą dla żywności, ze stajen dolnych przeprowadzić na górny dziedziniec — poczem ściągnął ludzi z murów i zakoleniem pod osłoną krytego przymurza przewiódł ich na górny zamek.

Już też czas był najwyższy — gdyż, wraz z zaparciem bramy w zamku, brama w dziedzińcu na dole runęła.

Wkrótce fala oblężnicza wpłynęła do wnętrza twierdzy.

W zamku nagwałt zawalano bramę od środka z dziedzińca, znosząc meble, marmury, co jeno dało się znieść, i gotowano się śpiesznie do obrony.

Oblężający, widząc tak łatwo dobytą twierdzę zewnętrzną, wiedząc też o niedostatku kul i prochów w zamku, rzucili się z drągami i siekierami do wyważania bramy.

Kostka postawił strzelców w oknach ponad bramą i kazał razić szturmujących.

Ze stratą odstąpili. Więc szykować poczęli drabiny, ostrwie wysokie, by równocześnie i do okien dostępnych szturmować.

Kostka, miarkując zamierzenie owo, porozdzielał swych ludzi; po kilku usadził w niższych oknach baszty, gdzie i Łętowski z flintą zajął stanowisko, resztę, kilkunastu strzelców, rozsta-

wił w galerji przechodniej nad bramą, zdając nad nimi komendę Czepcowi.

O śródwieczerz przypuściła szturm na zamek piechota siewierska, zaganiana ztyłu klątwami Rachwalskiego.

Odparto ją strzelbą gęstą z okien — gdy Kostce dano wiadomość, że kul brakło. Kazał tedy gonty z dachu odbijać, gwoździe wyjmować i do strzelby zwijać, ołów z okien topić i lać kule, w czem niemało pomocne były dziewczęta z kuchni pod przewodem Róży.

Za nadejściem nocy ataki oblężających nie ustały. Pod osłoną nocy ludzie muszyńscy nazywali drzewa smolnego i chróstu i próbowali bramę chytrze podpalić; szczęściem rozeznała to czujność Kostki, i ogień zgóry z okien ich odstraszył.

Kazał Kostka beczki ze smołą na baszty wynieść i zapalić, a to: aby poruszenia oblężających uważać, a zarazem powiadomić Sawkę i Chowańca — gdyby ci już w drodze, jak się spodziewać należało, byli — iż zamek w niebezpieczeństwie.

Na czuwaniu nieustannem i odpieraniu szturmów zeszła noc z piątku na sobotę.

Rano uwiadomiono Kostkę, że i proch już wyszedł. A odsiecz spodziewana nie nadchodziła.

Tedy Kostka uczynił z Łętowskim naradę.

— Nie rozumiem, panie marszałku, co za przyczyna być może, iż Chowańca dotąd nie

widno. Musiały go dojść działa i ognie ze zamku...

— Jać też nie mogę pojąć — głowił się Łętowski, — czemu to opaźnianie przypisać. Miał zaraz na drugi dzień ruszać...

(Czemuż, nieszczęsna Rózo, tchnień przeciwnych nie słuchałaś w drodze, nim stanęłaś na zamku gościna?... Twoje zgubne uroki zaważyły tu srodze — iż, niewiedna, stałaś się Losu przyczyną...)

— — cóż i Sawka się nie oznajmia — rzekł w zadumaniu Kostka. — Na niego naprzód liczyłem.

Nie mógł też Kostka wiedzieć, że Sawka, przymknąwszy ku Dunajcowi, stał już z drużyną swą pod rozkazami Chowańca, jako namiestnika Łętowskiego.

— Co czynić, Wasza Miełość — marszałek się schmurzył. — Siedmi ludzi mamy rannych, reszta ledwo na nogach się trzyma...

— Co do mnie — dźwignął głowę Kostka — postanowilem bronić się do upadłego.

— Ba, upadliśmy już, widzę...

— Nie! Dopóki ta dłoń szpadę dzierży... Zresztą odsiecz musi nadejść. Dzień ten jeszcze wytrzymać.

— Prochu ni mamy. Możeby zaproponować im przerwę dniową... że to dziś święto wielgie... katoliki są przecie...

Kostka pomyślał krótko.

— Zawodne to, ale na waści życzenie...

Wychyliwszy się z okna, chustą na szpadzie począł machać. A gdy ludzie Jarockiego, sądząc, że to znak poddania, zbliżyli się pod basztę, zawołał zgóry ku nim:

— Powiedzcie pułkownikowi swemu, iż komendant zamku, przez wzgląd na św. Jana, którego dziś mamy, proponuje zawieszenie na ten dzień wojennych działań.

Jarocki w odpowiedzi pchnął siły nowe do szturm.

Porwie się Kostka do obrony... W braku strzelby zamilkłej, każe posadzki marmurowe rwać — kamienie z bruku dziedzińca wywazać — ukrop dziewczkom warzyć i donosić — i, zachęcający słowem ognistem załogę, a ducha jej dodawszy zapewnieniem, iż odsieczyno pa-trzeć, sam w zagrożonych miejscach czynnie staje, przykładem osobistym do obrony zacieklej pobudza.

Jarocki, wiedząc o spodziewanej odsieczyno, wszystkie siły wyteżył, by ją uprzędzić. Kazał bić z dział do zamku — raz po raz, nie bacząc na straty, szturmyno zawzięte ponawiał — a z okien baszt spadały cegły, kamienie, lał się ukrop, rząc okrutnie ludzi, których śmiałość ku murom zbliżyła.

Podziw brał Jarockiego, jako żołnierza, dla bohaterskiej obrony tej garstki i jej wodza. Lecz też, jako żołnierz, rozkaz miał w pamięci: za wszelką cenę zamek wziąć i herszta onego ująć. Zaciął się, że tego dokona — a Kostka, mimo, że

znów rannych paru z załogi szczuplej ubyło, sam ranny w skroń odłamkiem skały, czoło chustą owiązał i pierwszy wszędy był, gdzie nacisk szturm uderzał — tu i tam w momencie się jawił — wielokrotnił się złęcznionym oczom szturmujących — i z prawdziwie lwią rzutnością a wzgardliwą determinacją bronił się do ostatniego.

Stawał przy nim Łętowski radą i ręką, a spokojem swoim i powagą wielkze potuchy słabnącym dodawał.

— By ino przetrwać to najcięższe — mówił — by ino przetrwać! Ono tu minie przecie, ono się tu przewali...

Niezastąpioną w chwilach tych najcięższych okazała się Róża. Opatrywała rannych — posiłek, wino krzepiące ludziom donosiła — kamienie, ukrop z dołu na górę dźwigała — a w momencie ataków stawała do obrony — jak płomień rzucała się od okna do okna, chłopów odwagą wstydząc.

Tak szła godzina za godziną w zacieklej, nieustannej zmodze.

Z południa już znacznie było, gdy zaprzestano szturmów, z dział jeno bijąc w mury.

Ludzie w zamku nieco odetchnęli. Łętowski ku kuchniom poszedł. A Kostka — jak stał przy oknie baszty, wsparty na framudze muru, opuścił głowę ranną na rękę i, zmęczeniem zniewolony, zasnął.

Tedy to Czepiec, w galerji przechodniej nad

bramą strażujący, jał strzelcom zesłabionym na rozum tłumaczyć:

— Doczekamy my tu końca, psia jego mać. Nie utrzymamy się, to widne — prochu ni kul nima. I kieloż nas jest naproci tysiācom? O odsieczy jakiejś prawią — howno bude, nie odsiecz. Tu wyzdychamy marnie, a jak nas żywcem wezmą, to widno, szczo nas czeka — pokazał ręką na szyję.

— To coż mamy robić? — ozwały się popłoszone głosy.

— Musimy o sobie radzić. Co nas tam czuże sprawy... Szczo nam pany — naj ich czort woźmi!

W te razy — jakby djabeł sam, przyzwany, pomoc im oznajmia — usłyszeli z poza murów gwizd sekretny, wiadomy zbójnikom.

Wychylił się Czepiec z okna — za nim, sciekawieni, drudzy.

Kilku harników biskupich, z dóbr muszyńskich, stało naprzeciw.

Wiadomo, iż harnicy owi często się ze zbójników byłych rekrutowali. Tak i tu zdarzyło się, że było wśród nich kilku z dawnej drużyny Czepcowej. Ci, w porozumieniu z komendantem, wzywali dawnego swego herszta i krajana — bo równie z ruskiej, jak oni, był wsi — na rozmowę.

Gwizdem podobnym odpowiedział. Tedy taka się krótka między nimi, znakami jeno zbójników znanemi, wywiązała rozmowa:

— Hej, bat'ku! Pusty nas w zamok.

— Ta jako?

— Czerez bramę.

— A szczo strilcom-kamratom skażu?

— Skaży im, szczo wilni stanu.

— A jaż wilny stanu?

— Bihme!

— Za wsio dawne?

— Za wsio.

— Chto ce gwarantiruje?

— Pan Jarockij.

— Naj na chrest prysiahne!

Skoczył jeden z harników ku grupie opodal. Pan Jarocki — bowiem on tam stał wśród kilku panów — gdy mu ten owo żądanie Czepca zoren-dował, parę kroków na wzniesienie najbliższe uczynił i, zwrócony w stronę zamku, ramiona do góry podniósł, palce w krzyż jak do przysięgi nad głową składając.

— Słyszeliście? — zwrócił się Czepiec do swoich. — Co wy na to?

— To, co i wy, harnasiu.

— No to hajda! za mnoju!

Ruszył po schodach na dół — ci za nim.

Wnet odeprali zawady — otwarli bramę...

Róża wracała właśnie ze sali od rannych, gdy usłyszała hałas. Zbiegła pędem w dziedziniec. Ujrzała w bramie plecy Czepca i wpływającą falę...

— Zdrada! — krzyknęła, wznosząc ręce.

Padły od bramy strzały. Ugodzona kulą w serce, osunęła się na bruk dziedzińca. Fala przez nią runęła...

Kostka usłyszał krzyk i strzały.

— Do mnie! — zawołał. Na czele kilku dobiegłych — ze szpadą w dłoni — rzucił się na schody...

Krótką była walka — został przemocą ujęty.

Wyprowadzono więźniów na przedzamcze, gdzie stał pułkownik Jarocki w otoczeniu panów posiłkujących.

Panowie szlachta jęli szydzić a urągać pojmanym. Pan Rachwalski, na Kostkę wskazując: —

— Ha! To ów herszt najgłówniejszy. Przyszło ci wreszcie na koniec... Już ty, bratku, stryżka nie ujdiesz!...

— Mości panowie! — skarcił pan Jarocki — szacunku nieco dla odwagi, jaką ów młodzian okazał...

Kostka doń się obrócił:

— Wmość tu jesteś dowódcą?

— Jam jest — zbliżył się Jarocki.

— Każ mię waść rozwiązać.

Jarocki skinął na ludzi.

— Panie Napierski... — począł.

— Nie jestem Napierskim.

— Mości więc panie Kostka...

— Lew Aleksander me imię...

Dźwignął się, zwolniony.

— Któż zatem waść jesteś?

Więzień podniósł dumne czoło, w chuście skrwawionej, jak w koronie:

— Królewski jestem syn... Władysławowy!

Mimowolnie skłoniło się otoczenie.

Jarocki po żołniersku zasalutował.

W tym momencie zaszedł wypadek taki:

Jasiek Orawiec, obaczywszy pułkownika w więzach, nie mógł ze żalu okrutnego dać sobie rady.

— Kata! — że na mnie! Kata! — jęczał.

Aliści dojrzy, kryjącego się poza plecyma ludzi, Czepca...

A słyszał jego z harnikami znaki i widział zdradę. — Cała wściekłość Jaśka, w nim związana, przeciw onemu zdrajcy się zwróciła. Na tężył mięśnie ramion — postronki, jak nici się zerwały. Skoczył do Czepca, ujął go w kleszcze rąk — i, nim kto się mógł opatrzyć, ciało onego, wyrzucone siłą straszną, zatoczyło łuk w powietrzu nad krawędzią skał i padło w przepaść...

Tedy dał się znów związać.

Na uwagę panów szlachty, by Orawca pokazać, osatnął się pan Jarocki:

— Za cóż. Nie wart był ów nikczemnik lepszego końca.

Kazał piechotę i działa Rachwalskiemu prowadzić nawprost do Krakowa — a sam z jazdą, całym honorem otoczywszy jeńca, jak ze skarbem rzadkim — w obawie, by go górale nie próbowali odbić — ruszył okólną drogą poza Poprad.

Kostka w drodze zwrócił się do Łętowskiego:
— To mnie, panie marszałku, gnębi, że z mej przyczyny w niedolę popadłeś...

— Bóg tak chciał — odrzekł Łętowski. — Nie frasujcie się o to, Ich Miełość.. Ja się już na to stroił. Nie dumalech przecie żyć wiecznie. Ino mi o to chodzi, że mi przy poimaniu prawa wszystkie zrabowano, com je miał w zanadru. Ja bez praw tych sierota. To mnie osłabiło...

Pan Jarocki naśpieszał.

Słońce zapadało, gdy, dążąc ku Popradowi, opuszczano dolinę Podhala.

Kostka obejrzał się z żalem — i ostatnie żegnane spojrzenie posłał jeszcze ku Tatrom. Stały we krwi...

VIII.

Przywieziono ich w niedzielę 25 czerwca do Krakowa i osadzono na wieży: Kostkę na szlacheckiej, marszałka na złodziejskiej.

Sprowadzono też niebawem z Pcimia, o buntowanie chłopów pozwanego, Marcina Radockiego.

Biskup Gembicki kazał złożyć sąd z ławników miejskich, a strażnik grodzki, Grzegorz Tokarski, jako oskarżyciel, przedstawił onym protokół spisany, akta, listy i uniwersały Kostki, raporta zaciągów śląskich i najcięższy owo kamień: odezwy Chmielnickiego, które z papierów Kostki — według świadectwa maniowskiego plebana — są wyjęte. Łętowski jak i Radocki oskarżeni o spółnictwo w buncie.

Zamierzano też, za wskazaniem biskupiem, wciągnąć do sprawy i opata z Tyńca, wynawiając spisek wielki przeciw koronie, lecz dochodzenia wszczęte, nawet próby tortur, którym trzykrotnie w śledztwie Kostkę poddawano, spółnictwa mniemanego nie ujawniły, owszem Kost-

ka najmocniej zaprzeczył, jakoby w zarzucanem miał jakich spółników, i sam na siebie wszystko brał, ba, więcej nawet, niż oskarżenie głosiło.

Przed sądem owym stanąwszy, oznajmił się wtórnie królewskim synem; oświadczył, iż nie mają go prawa ławnicy grodzcy sądzić i odwołał się do sejmu.

Poparli ten jego protest, jako prawem słuszny, obrońcy z urzędu, którymi byli szlachcice; Klemens Tuczkowski, Jan Łuczyński i Stefan Ujejski.

Nie zważano całe na ów protest. Owszem na wyraźne życzenie biskupa sprawę przyśpieszono i ogłoszono wyrok skazujący: Radockiego Marcina, rektora pcimskiego, za protekcją brata organisty — na ścięcie; Łętowskiego Stanisława, Marszałkiem zwanego — na ćwiartowanie; przybranego nazwiska Kostkę z Sternbergu Aleksandra — na pal.

*

Testament Łętowskiego, w przeddzień egzekucji dyktowany:

„Ja Stanisław Marszałek alias Łętowski, widząc się być bliższym śmierci, niżli żywota, takie rozporządzenie czynię.

Naprzód duszę swoją oddaję Panu Bogu Wszechmogącemu w ręce Jego święte, a ciało ziemi. Dalej, mając synów dwóch jeszcze niedo-rosłych, na imię Szczęsnego i Jana, i córek dwie, Katarzynę, zamężną, i Annę, która jeszcze dziewczę-
kom, rolę na Czarnym Dunajcu po równej czę-

ści ich talują, z tem, aby synowie, kie dorosną, siostry swe spłacili. — A iżem wziął wtórą małżonkę z Międzyczerwiennego, na imię Małgorza: tę Stopcziną, wdowę, gdzie ja tam do niej swoje ubóstwo wniósł, jako to: zboża pospolitego korcy sto, krów trzy, jałowiat pięcioro, tedy tem zbożem, które jest teraz na polu napoły z dziećmi memi podzielić się powinna, prócz tego oddać do ich używania: pług ze żelazem, łańcuch jeden, kadzi kapustne dwie, siekierę jedną, widły sienne, sak do łowienia ryb, kozuchów dwa, toż skrzynię limbową; tę sobie Anna córka niech weźmie.

Jest też w zastawie sztuka roli we złotych dwudziestu u Mattiasa Mrowce we Wróblówce; tę sobie niechaj wykupi zięć Marcin Chizmański, jeśli zechce, abo na lata może dać wytrzymać.

Długi, które mam u ludzi: — U Wojciecha Wróblowskiego we Wróblowicach pod Krakowem złotych dwadzieścia i trzy. U sołtysa Biełańskiego, od szałasu zwanego Mała Łąka, złotych dwadzieścia i cztery. U Jędrzeja Jarzábka na Bańskim złotych półczwarta. U Stanisława Sabały kopa. U Sadowskiego Jana złotych cztery. U Oziminy na Skrzypnem złotych dziewięć. Na Załuczmem groszy dwadzieścia. Żyta korcy dwa u brata Świątkowca. U Mikołaja Stawierczaka złotych siedm, słomy mierzwianej mądel, snopków żytnich kopa. U tegoż jest kocioł miedziany w zastawie we złotych trzech, który kosztował złotych dziewięć i groszy dziesięć; po-

trzeba aby go dopłacił, abo taki oddał jaki był. — Tamże w Dunajcu winni mi za zboże, co mi po-
paśli i szkody poczynili — złotych czternaście;
a to Lebiodzina Bernat, Niedojadliczka stara
i Walenty Siuty.

A jam też winien długu pewnego: Jędrkowi
Zastodzikowi groszy dwanaście; czynszu do
dwora ze swojej części Zareka złotych ośm;
z czarnodujeckiej roli złotych półdziewięta.

To zeznanie i postanowienie moje duszą swo-
ją pieczętuję, te wszystkie rzeczy, tak ruchome
jak i nieruchome, dziatkom moim oddaję, jako
wyżej napisano jest. A małżonce mojej teraz-
niejszej połowicę zasiewku na Międzyczerwien-
nem aby dali i pięknie się z nią obeszli, to też
na uwadze mając, że koło tego robić i nakład
łożyć będzie, jak będzie zbierała społu. Po wtóre
i po trzecie proszę, synowie moi, abyście ode-
brawszy to bydło z Międzyczerwiennego, które
tam jest własne moje, jedną krowę dali siostrze
niezameżnej Annie, pod błogosławieństwem
mojem.

Plug dworski zapłacić z tych dziewięci zło-
tych, które sąm u Oziminy na Skrzypnem. To
też jeszcze poruczam dziatkom swoim, aby się
upominały od stryjecznych bratów Napolskich
grzywien szesnastu, które brat mi powinien
z części mojej.

Oznajmuję też o tem, iżem powierzył JMei
panu Jaremie list abo prawo na polanę zwaną
Zakopane, którom miał ode mnie kupić, a ponie-

waż nie kupił, aby dziatkom mym to prawo powierzone oddał.

W domu, co się tknie strony dekretów, został akt komisarski i Inwentarz skarbowy; tam je znajdziecie. A te drugie prawa sąm mi przy poimaniu na Czorszynie wzięte; potrzeba wam koniecznie mieć o to staranie, aby zwrócone były. Czeladź Jegomości księdza biskupa wzięła te prawa ode mnie; tam sie o nie pytajcie.

Wkońcu proszę was, dziatki moje, abyście mieli na duszę moją baczenie, dobrze za nią czynili, ubogich opatrowali według możności swej i Pana Boga za mnie prosili. A ja też tam za was bendę. — Panu Bogu was oddawam, niechaj was szczęści i błogosławi, póki wola Jego święta, amen.

Opiekunów tego testamentu czynię: Marcina Chizmańskiego, zięcia swego z Czarnego Dunajca, i Józefa Stopkę z Wróblówki. I proszę ich, aby o tem mieli staranie, jakoby się dziatkom mym nic nie ubliżyło. Testament ten aby ci mieli przy sobie i według niego wszystko sprawowali; od Pana Boga za to stokrotną nagrodę otrzymaję. *Stanisław Łętowski*. — Przed świętem Marji Magdaleny, 1651, w Krakowie“.

*

Mimo sprzeciwu obrońców, jaki do aktów podali, wyrok ów srogi na Kostce w dniu naczynionym został wykonany.

Pisze kronikarz onczesny:

Wieziono go ulicą Grodzką, na drabiniastym wozie stojącego, wieniec z choiny włożywszy mu na głowę, na wzdgarę, jako niby koronę królewską. A lud mnogi wyległ na Kazimierz, patrząc, jak będą syna królewskiego tracić.

Stał na onym wozie — ręce na piersiach splecione, głowa uniesiona dumnie, twarz blada bardzo, włosy w kędziorach na szyję odkrytą spadłe — i surowem spojrzeniem po tłumie cisnącym się toczył.

Dzień był lipcowy, jasny. Słońce paliło z południa.

Minięto most na Wiśle i skierowano kondukt na Krzemionki. Tu rozstawionych było kilka naście chorągwi jazdy, prócz tych stanęły dwa regimenty piechotne i co zdołano ściągnąć z grodu artylerji. Ponieważ nadlatywały pogłoski, iż lud górski tego syna królewskiego zamyśla odbić, wystąpiła na plac egzekucji niemal wszystka siła zbrojna województwa.

Sam skazaniec jakoby obawy te potwierdzał, gdy górując nad tłumem na wozie — skoro za Wisłą na przestrzeni odkrytej się ujrzał — wszystką siłę oczu na gościniec widny, ku Podhalu prowadzący, posłał. Całą niezgasłą jeszcze nadzieję żywota w ogniach żrenicznych skupił. Zdawało się: lada chwila zakurzy się spalony gościniec — zatrząsie się od świstu powietrze — i górale spadną gromem po swego wodza. Kraków mogliby znieść — taka ich tam siła na Podhalu.

Wszystką wołą ducha, oczyma przeciw pchniętą, ich przyzywał...

Wóz stanął na miejscu wybranem.

Kostka ostatni krzyk-spojrzenie ku Tatrom jeszcze wysłał, które, ze wzniesienia Krzemionek na widnokręgu dalekim szczytami sinemi widne, jak sen o umarłem szczęściu w sreżodze mglistej tajały.

Nikto się na gościńcu martwym nie pojawił. Słońce południa praży — powietrze mży — cisza, jak niebo, sroga.

Ocknął się Kostka, jak ze snu ciężkiego — tępą nudą naokół siebie popatrzy... Widzi wojsko półkolem, proporce — i tłum — tysiące twarzy, ku niemu zwróconych, jak koszmar tysiąco-głowy. Aż oczy, kołując, napotkały ostrze świe-cące pala...

Groza w nich stanęła. Perlisty pot wystąpił na czoło. Zesiniało urodne oblicze.

Otrząsł się jednak w momencie — sprostował dumnie głowę. Wzrokiem władnym po tłumie potoczył...

Dojrzał, kędyś widzianego, kobziarza z pod Tatr. Przyzwał go ruchem ręki i kazał mu grać góralskie pieśni...

...

Wyrok ów srogi ławników krakowskich, mimo, iż umysły w owym czasie, w wieku nieustannych wojen, z surowością egzekucyj podobnych były otrzaskane, zbudził w kołach szlachty niższej, zwłaszcza w krakowskiem województwie, duże niezadowolenie. Domyślano się za inkwizycyjnym tym postępkem ambicji biskupa, który dawniej już o prymasostwo zabiegał. Brano też poczęści nieszczęśliwego młodzieńca w obronę, przypuszczając tu raczej lekkomyślność niż zbrodnię; a do zmniejszenia winy Kostki przyczyniały się rozliczne nawody, głównie zaś młodość jego, względy dla zmarłego króla Władysława, przedewszystkiem niechęć wszechna do Jana Kazimierza.

Na sejmie podniesiono sprawę Napierskiego. Szlachta „skakała królowi do oczu“, wytykając mu współudział w egzekwowaniu bratanka. W Warszawie też powszechnie głoszono, że należało raczej korzystać ze zwycięstwa pod Beresteczkiem i Chmielnickiego, nie Kostkę egze-

kwować — co Wespazjan Kochowski ujął w ramę fraszki, pod wyraźnym każdymu adresem:

„Nie wiem, co to za nowy kucharz się nam zjawił —
Miasto pieczeni, Kostkę nam na rożen wprawił“.

Jeżeli w Polsce szlacheckiej tak pomrukliwie wyrok ów przyjęto, zrozumiałem jest, iż stokroć donośniejszym echem odbił się na Podhalu.

Długo tu nie wiedziano, co się z Łętowskim i Kostką, po wywiezieniu ich z pod Czorsztyna, stało.

Kobziarz, świadek naoczny, pierwszy przywiózł wieść czarną.

Gdy wiadomość o okrutnej egzekucji w Krakowie do uszu pana Zdanowskiego doszła, padł jak gromem w serce porażony. I w dzień św. Anny, dla której nabożeństwo miał szczególne, za przyczyną jej cale bezboleśnie tchnienie ostatnie wydał.

Panna Zofja Pieniążkówna, którą na drodze pod Czorsztynem zemdloną znaleziono i, poznawszy, do Łopusznej, najbliższego dworku przywieziono, długo bez pamięci w gorączce wielkiej leżała. Gdy chorość się przesiliła, i pan na jąła się podnosić, przyszła do dworku wieść niechybna o strasznej śmierci Kostki.

Tedy wtórnje w gorączkę, jeszcze groźniejszą, zapadła. Długo śmierć koło niej stała. Późwignęła się wkońcu — lecz inna, — jakby już z tamtego świata. Była jak opłatek biały w monstrancji — poza życia sprawy obrócona — bez

krwi rumieńca. Zabrana przez wuja biskupa, bezwolnie dała się do Krakowa wieźć, i tam w klasztorze na Zwierzyńcu żywota wkrótce dokonała.

Jasiek Orawiec, wraz z kilku towarzyszami, którzy do harników biskupich przystać nie chcieli, na drugi dzień po egzekucji owej na Krzemionkach tamże honorną śmiercią szubieniczną stracony.

O Chowańcu Jędrku nie słychno odtąd było. Pono sobie sam, wyrzutami krwawemi trapiosny — iże, żalością mściwy, na czas pod Czorsztyn nie przyszedł — śmierć zrobił.

Sawki jako i Łukaszczyka imię długo się jeszcze tłuło na Podhalu, łącznie z różnemi przemianami wszczętego ruchu.

Bowiem ruch ten wcale nie zgasł, jak się próżno spodziewano, ze śmiercią Kostki. Wyszłyć tam były na Podhale — nawet od Oświęcimia, Reglec i Zatora — prawie wsie całe z wójtami na czele, które już nie powróciły do swych dziedzin, w strachu przed pomstą z wojny wracających panów; i wsie te, opustoszałe, osadnikami niemieckimi później zaludniano.

Ruch ów części znacznej obszaru wojewódzkiego, zogniskowany na Podhalu, stracił jeno kie runek, gdy wskazu i wodza brakło. Łętowskiego, nie to mówiący o Kostce, nie miał kto zastąpić. Był więc jak pożar, sprzecznemi wichry miotany; sam się niszczył i spalał. Lecz trwał

długo. — Jeszcze w dwadzieścia lat potem czytamy urzędników starościńskich znamienne donosy o chłopach, „którzy w kilka tysięcy — powiada — po lasach się gromadzą, kusze sobie jakieś drewniane niby harmaty poczyniwszy, śmia regularnemu wojsku opór stawiać, chociaż na stanicach będące w pień wycinają — i niemasz sposobu ich ukrócenia“.

Ukróciły ich dopiero ekspedycje karne, przez Jana Sobieskiego wysyłane. Rozbici na mniejsze kupy, długo jeszcze jako przelotne drużyny zbójujące tłukli się po górach — niosąc ze sobą przygasłą już pamięć o jakimś herszcie jedynym, który ich kiedyś do jakiejś Sprawy powołał...

I pamięć ta z nimi się straciła.

Dziś się owo przywraca... Idea Kostki zawczesna, która zdradą była, dziś — po wiekach — naturalnym wcale musem w ciało się obleka.

Czy o takiej realizacji śnił Kostka — niewiada. Niewiada też, jakby się mu wydali na oczy dzisiejszego synowie Podhala?... Czy rozpoznałby w nich owych białych, skrzydlatych herosów?...

To pewne, że nie zawiodłyby go — równie o wschodach różowemi szczytami grające, w sroździe świetnych południ kapane a palące się krwawo o zachodach, nad niże niespodzianą jawą wydzwignione, bramą złotą do powały niebios u granic Polski przysiadłe, pięknem nieomylnem trwałe, ducha swem tchnieniem skrzy-

dłące, w cud granitowy po wieczność ziemską
zakłete, dziś — wczora — jak przed wiekami —
jednak władą podniebną nakażne, nad mijające
ludzkie sprawy dumą kamienną wzniesione,
w otchłań nieskończoności ku drogom gwiazd
snem zapatrzone — — Tatry...

Koniec.

Poręba Wielka, 1909, 1923.

Wannawa 27, czerwca 1931 r. —

